

AGNIESZKA JEŹ

KTO JEST BEZ
GRZECHU

NIE MA SPRAWIEDLIWEGO,
ANI JEDNEGO

AGNIESZKA JEŹ

KTO JEST BEZ
GRZECHU

ROZDZIAŁ 1

– Zaginęła.

Sierżant Wiera Jezierska nie mogła tego zobaczyć, bo krzesło było dostawione zbyt blisko biurka, a kobieta przycupnęła na brzegu siedziska, ale usłyszała odgłos zaplatanych i rozplatanych palców. „Denerwuje się”, pomyślała. „W sumie nic dziwnego, skoro przychodzi z taką sprawą”. Nie tylko niekontrolowany ruch dłoni zwrócił jednak uwagę Wiery. W tej kobiecie była jakaś głębiej zakorzeniona niepewność. Szczupła, na oko czterdziestokilkuletnia. Nieumalowana, z ładną cerą, zapewne będącą genetycznym darem, a nie efektem drogich zabiegów czy kosmetyków. Pod brązowym materiałem sukienki, zlewającym się kolorystycznie z półdługimi włosami, można było dostrzec zarys wystających obojczyków; jej ramiona lekko drżały, pewnie od tego ściskania palców. Usiadła w taki sposób, że była nachylona w stronę biurka; w tej postawie nie było jednak nic z chęci spoufalenia się. „Zachowuje się tak, jakby chciała mi tę sprawę wyszeptać do ucha. A potem zerwać się i zwać. Albo zemdleć”.

– Zaginęła – powtórzyła po niej.

– Właśnie. Ja już mówiłam temu panu na dole...

– Dyżurnemu.

– Dyżurnemu. Że jej nie ma. Mojej córki, Eweliny, nie ma. – Kobieta zacisnęła wargi i przeniosła spojrzenie z Wiery na podłogę.

„Nawet to robi w dziwny sposób”, pomyślała Jezierska. „Grymas, jakby próbowała się nie rozplakać albo czegoś nie powiedzieć”.

– No dobrze, to po kolei. Imię i nazwisko?

– Córki?

– Nie, pani.

– Joanna Krzysztofik.

– A córki?

– Ewelina Krzysztofik.

– Jest pełnoletnia? – To Wiera już wiedziała od dyżurnego. Niby wciąż dziecko, bo nastolatka mieszkająca z matką, ale osiemnaście lat skończyła. Powodu do alarmu właściwie nie było.

Teraz nie tylko palce kobiety nerwowo się poruszyły. Zadrzała, jakby przeszył ją nagły dreszcz.

– Jest. W grudniu zeszłego roku skończyła osiemnaście lat. Ja od razu sobie pomyślałam, że to może być przeszkoda, bo wedle prawa ona jest samodzielna, niezależna. No ale to jednak dziecko. To wciąż dziecko... – Palce znowu poszły w ruch.

Ze zdjęcia położonego na biurku patrzyła na Wierę naturalna blondynka o łagodnym spojrzeniu niezafałszowanym makijażem. Z wyglądu mało podobna do matki, ale z charakteru – zapewne tak. Zresztą, kto to wie?

– A kiedy sobie to pani pomyślała? To znaczy od kiedy córki nie ma?

– Dzisiaj jest czwartek, a ostatni raz widziałam Ewelinkę wczoraj, znaczy we środę. Dokładniej wczoraj rano, bo potem wyszłam do pracy, a ona jeszcze spała.

– Na pewno była w domu?

– Na pewno, zajrzałam do jej pokoju. Leżała w łóżku. Nie chciałam jej budzić, bo dzień wcześniej bolała ją głowa, zresztą tak było od jakiegoś czasu. Wie pani, matury, więc najpierw dużo nauki, potem stres, a teraz odchorowywanie tego stresu. Ewelinka była porządną uczennicą, obowiązkową.

„Niedobrze”, pomyślała Wiera. „Kiedy ginie porządna, obowiązkowa uczennica, finał może być nefajny. To zwykle nie są buntownicze ucieczki,

a wzorowe uczennice mało wiedzą o prawdziwym życiu. Rzeczywistość to nie ballady i romanse”.

– Zatem rano była, a kiedy zniknęła?

– Jak wróciłam z pracy, to jej już nie było. To znaczy po prostu nie było. Pomyślałam, że poszła na spacer, do sklepu, do koleżanki, może do biblioteki. Czas mijał, a ona nie wracała. Zadzwoiłam do niej, ale miała wyłączony telefon. Wysłałam z domu, tak, żeby pochodzić... Nie wiem sama, chyba miałam nadzieję, że ją spotkam, bo może będzie skądś wracała... Nie mogłam siedzieć i nic nie robić. Bezczynność byłaby okropna, no bo jak to – nie działać, kiedy dziecka nie ma?... – Spojrzenie smutnych niebieskich oczu spoczęło na Wierze.

– I co w końcu pani zrobiła?

– Wczoraj? No zadzwoniłam do mamy jej koleżanki z klasy. Numer miałam, bo razem byłyśmy w trójce klasowej. Ona zapytała córkę, Olę, czy wie, gdzie Ewelina może być. Nie wiedziała, nie widziały się od matur. Powiedziała, że może się wywiedzieć od dwóch innych koleżanek, z którymi Ewelinka była blisko. Marta i Ewa, ja je znam, i z opowiadań, i były u nas kilka razy, ale nie mam do nich numerów telefonów. Do nikogo nie mam. – Joanna Krzysztofik znowu zaczęła się wpatrywać w podłogę.

– I one też nic nie wiedziały.

Brązowe włosy lekko zafalowały – kobieta przecząco pokręciła głową.

– A do kogo jeszcze nie ma pani numeru telefonu?

– Słucham? – Spojrzała na Wierę spłoszonym wzrokiem.

– Powiedziała pani, że nie ma do nich numeru telefonu. I do nikogo też pani nie ma. To kim jest ten nikt?...

Teraz spłoszenie ustąpiło zdumieniu.

„Bingo”. Sierżant Jezierska była dziś w dobrej formie. Wypała się, bo zasnęła przed jedenastą. Nie oglądała żadnego durnego programu w telewizji, tylko wybrała książkę. Zapunktowała tym u siebie, bez względu na fakt, że to właśnie czytanie dość szybko pozbawiło ją przytomności. „Przynajmniej próbowałam”,

pomyślała rano, wyciągając spod stopy oprawiony w folię egzemplarz komedii kryminalnej. Bibliotekarka jej poleciła. „Rozerwie się pani, taka odskocznia od pracy”. Była sceptyczna, i słusznie, jak się okazało. Intuicja rzadko ją zawodziła. Teraz też działa sprawnie.

– Pomyślałam sobie jeszcze, że może poszła do Tomka.

– Chłopaka?

– Tak. Nie. To znaczy byłego chłopaka, bo oni się niedawno rozstali. No ale młodzi są, coś się mogło zmienić...

– I co, zmieniło się?

– Nie. Do niego również nie miałam numeru, ale on mieszka niedaleko nas, też na Kazimierza Wielkiego. Wieczorem było już późno, nie chciałam... Zresztą miałam nadzieję, że Ewelinka wróci, że może oni jednak są razem i po prostu... – Uciekła wzrokiem. – Młodzi są, młodość ma swoje prawa, krew nie woda, jak to się mówi, przecież to w sumie nic złego, to nie te czasy, żeby...

Znowu spojrzała na Wierę. Wyglądała, jakby czekała na poparcie tej tezy. Jezierska milczała, więc kobieta wróciła do przerwane go wątku:

– Nie wróciła, więc rano, przed pracą, zaszłam tam, zadzwoniłam domofonem, Tomek odebrał i powiedział, że też jej nie widział od matur. Potem jeszcze zadzwoniłam do swoich rodziców i do siostry, ale również nic. Siostra mnie uspokajała, że może Ewelinka gdzieś zabalowała, może oblewali, że już po egzaminach... Ale to niemożliwe, na pewno nie, bo jeśli nie z tymi, których znała najlepiej, to z kim? No i wyników przecież nie ma, jeszcze dużo czasu do ich podania. Więc nie wytrzymałam w pracy, zwolniłam się po trzech godzinach i przyszłam tutaj.

– A gdzie pani pracuje?

– W Urzędzie Miasta, w Referacie Komunikacji.

– Coś zniknęło z domu? Pieniądze, biżuteria, torba, ubrania córki – cokolwiek, co by mogło świadczyć o tym, że nie zaginęła, a po prostu wyjechała, nie informując pani o tym?

– Nie, nic. Zupełnie nic. Nie ma tylko jej torebki, takiej małej, co zawsze ją nosiła, a w niej portfel i chusteczki. – Ręce kobiety nagle wychynęły spod biurka. Zamachała nimi gwałtownie w geście zaprzeczenia. – Ona by nie mogła, tak po prostu... – Znowu oklapła.

– Nie było ostatnio żadnych kłótni, sporów, ostrej wymiany zdań między wami?

– Nie, nic. To naprawdę dobre dziecko... – Broda kobiety zaczęła się niebezpiecznie trząść.

Jezierska się spięła. Sama płakała bardzo rzadko i nie potrafiła obrać żadnej strategii wobec osób płaczących w jej obecności – pocieszyć, udać, że się tego nie dostrzega, poklepać wspierająco po ramieniu – nic jej nie podchodziło, tylko się usztywniała. Nie brakowało jej empatii, ale uzewnętrznić jej nie potrafiła.

– A inni członkowie rodziny? Rodzeństwo, ojciec? – zapytała więc szybko. Podziałało. Kobieta się otrząsnęła.

– Ewelinka jest jedynaczką. Ojciec, znaczy mój mąż, zmarł osiem lat temu.

– Mieszka pani tylko z córką?

– Nie, jest ktoś. Robert. Mój partner... – W jej tonie znowu pojawiły się te same nuty, co na początku.

– Partner. – Zapisała Wiera.

– W sensie, że nie mąż, tylko... no właśnie partner.

„Żałuje, że nie mąż”, przeleciało Wierze przez głowę. „Partner” brzmiało w jej ustach jak jakiś wyraz ze słownika nazw technicznych.

– On też nie wie nic o losach pani córki?

Szybkie, kilkukrotne pokręcenie głową.

– Jego nie ma. Wyjechał dzień wcześniej, znaczy we wtorek. Jest kierowcą TIR-a, pracuje w firmie spedycyjnej.

– Długo jesteście państwo razem?

– Cztery lata. A to ważne?

Szybkie zaprzeczenie, a teraz to pytanie. Wiera zapisała w notesie: „Partner Robert? Nerwowo”.

– Dobrze – zignorowała ostatnie pytanie. – Podstawowe informacje mam. Zaczniemy działać. Jeśli córka do jutra rana nie wróci do domu lub się nie znajdzie... gdzieś indziej...

– Szpital sprawdziłam, na izbie pracuje moja koleżanka z podstawówki. – Chyba po raz pierwszy od wejścia kobieta pozwoliła sobie na chwilę ulgi. – Gdyby jednak nie... – znowu się spięła – ...to do kogo mam zadzwonić?

Ponieważ Wiera już wstała, kobieta też się podniosła z krzesła. Włożyła kremowy sweter, który wcześniej zawiesiła na oparciu. Spod długiej sukienki wystawały espadryle na koturnie. „Ładna jest”, Wiera patrzyła na jej szczupłą sylwetkę – delikatne przeguby rąk, smukłe kostki. „Delikatna i krucha. I chyba trochę nieszczerą”.

– Do dyżurnego, przekaże mi.

Kiedy za Joanną Krzysztofik zamykały się drzwi, Jezierska usłyszała na korytarzu znajomy głos. Wyjrzała i prawie wpadła na Marię Przyzwan.

– Cześć. Co słysząc? – zapytała prokuratorka.

– Ciszę słysząc. – Wiera odwróciła się, wskazując brodą oddalającą się Joannę Krzysztofik. – Zaginięcie mamy. Chyba.

– Chyba? – Przyzwan spojrzała na nią z zainteresowaniem. – Chodź, pogadamy. – Wyminęła ją i weszła do pokoju. Na biurku komisarza Janusza Kosonia położyła torbę i zamszową kurtkę. – Czyste. Już się spakował?

– Prawie. Jakieś resztki w szufladach jeszcze ma. Pewnie głównie zapałki. – Jezierska się uśmiechnęła, ale coś ją zakłuło w środku. W tym pokoju też było słysząc ciszę.

– Smutno ci? – Przyzwan nachyliła się i otworzyła jedną z szuflad. – Rzeczywiście. – Wyciągnęła papierowe pudełko z draskami po bokach. – Chcesz jedno?

Wiera kiwnęła głową.

Przyzwan wykonała lekki ruch dłonią i zapałki łagodnym łukiem przeleciały nad biurkiem.

– Dzięki. – Wiera złapała je i wsunęła do kieszeni dzinsów. – Smutno – przyznała po chwili.

– Szczęście robi dobrze ciału – Przyzwan wyjęła z szuflady kolejną paczkę i wrzuciła ją do swojej torby – a smutek robi dobrze myśleniu. Zresztą Janusz nie umarł, przenosi się na emeryturę, nie w zaświaty czy w co tam wierzy. Pamiąteczki po nim mamy, a zadzwonić zawsze można. No i nie mieszkamy w metropolii, tylko w Giżycku, będziemy się widywać. A co z tym zaginięciem?

– Ta kobieta, która wyszła z pokoju...

– Ta ładna, ale w stylu raczej defensywnym, w najsmutniejszym odcieniu brązu i kiecce do kostek? – Przyzwan usiadła na biurku Kosonia i założyła nogę na nogę. Prokuratorka miała na sobie swoją ulubioną czarną lnianą sukienkę i nowe zamszowe szpilki w kolorze intensywnej fuksji.

– Ta. Więc ona...

Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł posterunkowy Remigiusz Staroń.

– Wiera, ja chciałem w sprawie tych mandatów... O, dzień dobry, pani prokurator!

– Cześć, Remek. Co słyhać?

Staroń lekko wzruszył ramionami.

– Zwyczajna codzienność funkcjonariusza policji. Niższego szczebla. Najniższego.

– No, mandaty to słabo człowieka rozwijają, fakt. Zaginięcie lepsze.

– A kto zaginął? – Posterunkowy spojrzał z zainteresowaniem na prokuratorkę.

– Kto zaginął, pani sierżant? – Maria Przyzwan odbiła piłeczkę do Wiery.

– Ewelina Krzysztofik. – Wiera podniosła z biurka zdjęcie dziewczyny i podała je prokuratorce. – Ma skończone osiemnaście lat, czyli wpada do kategorii dorosłych. Tegoroczna maturzystka, niedługo po egzaminach rozplynęła się w powietrzu. Matka wróciła wczoraj z pracy chwilę po szesnastej, córki nie było,

a rano jeszcze spała spokojnie w swoim łóżku. Telefon nie odpowiada, żadnej wiadomości nie zostawiła. Niczego ze sobą nie zabrała, szczoteczki, torby, choćby niedużej, tylko małą torebkę z portfelem. Obdzwonione koleżanki, były chłopak, najbliższa rodzina. W szpitalu nie leży.

– I co o tym myślisz? – Przyzwan podała zdjęcie Staroniowi, ale wciąż patrzyła na Wierę.

– Nie wiem. – Jezierska westchnęła. – Jest w tym coś dziwnego. Kobieta wydaje się miła i uczciwa, typ człowieka, co nawet papierka na ulicę nie rzuci i zawsze płaci rachunki w terminie, dokarmia piwniczne koty i tak dalej, ale... Córka zniknęła wczoraj, a ona przychodzi dziś.

– Dorosła córka – przypomniała Przyzwan.

– No wiem. Ale dorosła dopiero od kilku miesięcy, poza tym to córka, a matka i córka... – zawahała się. Jeśli o to chodzi, dysponowała wyłącznie wiedzą teoretyczną. I złymi doświadczeniami osobistymi.

– To najsilniejsze połączenie w naturze – dokończyła za nią Przyzwan.

– Właśnie. Ta kobieta boi się o córkę, to widać, kocha ją, to czuć, ale jednocześnie nie szuka jej, jak by to powiedzieć... – Wiera się zawahała.

– Z paniczną determinacją? – podsunęła Przyzwan.

– Z paniczną determinacją – powtórzył po prokuratorce Staroń. – Świetne określenie.

„Świetne”, pomyślała Wiera z zazdrością. Też by chciała umieć rzucać takie świetne określenia.

– A może dziewczyna po prostu poszła w długą? Dała nogę? – zapytał, a właściwie zaproponował posterunkowy.

– Po minie sierżant Jezierskiej widzę, że obstawia większą złożoność świata. – Przyzwan znowu spojrzała na Wierę.

– Obstawiam. Pasuje ci „pójście w długą” do takiej dziewczyny? – Podeszła do Remka i puknęła palcem w zdjęcie. – Spokojna myszka, zapewne klon cichej i nieśmiałej matki.

– No może nie do takiej, ale to młoda dziewczyna, w tym wieku to faceci i miłość na pierwszym planie, a z tego mogą się urodzić jakieś głupie pomysły. – Posterunkowy spojrział na nią znacząco.

– Faceta, znaczy chłopaka, ostatnio rzuciła, tak powiedziała matka – przypomniała Wiera.

– No to inny facet. Może dlatego rzuciła tamtego, że pojawił się nowy? – Staroń nie odpuszczał.

– A może egzaminy zaważyła? – zapytała Przyzwan – Skoro zniknęła tuż po maturach...

– Nie, to by było za szybko, wyniki są po kilku tygodniach. Zresztą, przypomnę, dobrze się uczyła. Uczy znaczy.

– A rodzice? Może jednak toksyczni. Czasem pozory mylą. „To taka spokojna rodzina”, a potem w salonie leży ojciec z siekierą wbitą w głowę – powiedziała Przyzwan.

– Tylko matka, bo ojciec nie żyje. A ona nie wygląda na toksyczną, raczej na... – Wiera znowu się zawahała. Teraz przyszło jej do głowy, że matka sama sprawiała wrażenie, jakby chciała dać nogę – z tego życia. „Jest w niej jakiś przegryw”, pomyślała. – Na zagubioną.

– Co roku kilka tysięcy dzieciaków ląduje na gigancie, bo nie mogą się dogadać z rodzicami. To najczęstsza przyczyna zaginięć – ciągnęła prokuratorka.

– Fakt – przytaknęła Wiera. Tę motywację знаła nie tylko ze statystyk, lecz także z własnego życia.

– No tak. – Staroń też przyjął ją do wiadomości, widać jednak, że trudno mu się było w nią wczuć.

– Nie ma jej od doby. Jeśli dziewczyna jest taka, jak to opisujesz, to rzeczywiście, matka trochę zwlekała. – Przyzwan zeszła z biurka i zaczęła chodzić po pokoju.

– Czasem dzieciak wraca po dniu, maks dwóch, rodzice nie chcą robić rabanu – odezwał się Staroń.

– Bo się sąsiedzi dowiedzą i będzie głupio – dokończyła za niego Wiera. Przypomniała sobie swoją ucieczkę z domu – durną, bez szans. W sumie to chciała nie tyle zwać – bo dokąd? za co? – ile żeby matka się przejęła. Przejęła się – gdy Wiera przed północą wróciła do domu, matki nie było. Szukała jej z latarką po okolicy. Sprawy jednak nigdzie nie zgłosiła. „A po co to obcych mieszać?” Tak, nigdy nie chciała mieszać obcych. Wiera poczuła skurcz złości i żalu. Dawno już ich nie dopuszczała do siebie, a teraz ta sprawa. Do tego w najbliższą niedzielę przypadał termin odwiedzin u matki w hospicjum. Zielona Dolina... Wierę przeszył dreszcz – pod tą pogodną z założenia nazwą krył się koszmar powolnego i nieuchronnego umierania. Równia pochyła – to byłaby bardziej adekwatna nazwa. Dla matki dobrze, że już niespecjalnie zdawała sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje. Zresztą wcześniej też sprawiała wrażenie, jakby mocno filtrowała rzeczywistość, przyjmując do wiadomości tylko jej wybrane fragmenty. Krzysztofik mimo wszystko wyglądała na bardziej świadomą matkę i na pewno bardziej troszczyła się o córkę – co zatem mogłoby ją powstrzymać przed wizytą na komendzie?

– Z tej rozmowy nic innego nie wyniknęło. Oczywiście, zaczniemy działać intensywniej od jutra, na razie puścimy komunikat, zaraz przygotuję – powiedziała.

Przyzwan pokiwała głową.

„Nie mam dzieci, ale obstawiam, że to nie wakacyjna ucieczka”, pomyślała Wiera.

Prokuratorka chyba czytała w jej myślach.

– Nie mam dzieci i dlatego obstawiam, że to jednak może być coś poważniejszego.

Staroń się nie odezwał.

– Dobra, to niech się toczy, a teraz – Przyzwan spojrzała na zegarek – czas na imprezę.

– Nigdy nie jest się za młodym na emeryturę, jak mówi mądrość ludowa. – Komendant Zbigniew Król potoczył wzrokiem po zebranych w jego gabinecie.

Uśmiechy na kilku twarzach wprawiły go w jeszcze lepszy humor. – Janusz jest w wieku akuratnym. Dobrze wykorzystał czas na służbę sprawiedliwości, a teraz pora, żeby dobrze wykorzystał czas dla siebie. I właśnie stąd pomysł na pożegnalny prezent. – Odwrócił się, zrobił kilka kroków i stanął przy szafie. Wyciągnął z za niej długi pakunek zawinięty w kolorowy papier i obwiązany czerwoną wstążką. – Dla ciebie, Janusz. – Podeszedł do komisarza.

– To kule? – Kosoń się uśmiechnął.

– Zawsze byłeś żartowny. To kije. Do spacerów. Do tego, jak to, o, nordic walkingu. Żebyś dbał o formę.

– Dziękuję. Spodziewałem się dyplomu czy albumu *Przyroda Polski*, a tu coś oryginalnego.

– Dyplom też będzie. I książka – przyznał komendant – ale to na koniec, w wersji oficjalnej, a na razie świętujemy półoficjalnie. No, to częstujcie się. – Król podeszedł do stołu, na którym ustawiono ciastka, colę i butelkę koniaku. – Symbolicznie. – Komendant nalał pierwszy kieliszek i jednym haustem wypił jego zawartość.

Wiera spojrzała na stojącego obok Króla Kosonia. Z jednej strony było jej smutno, że odchodzi, bo lubiła go jako człowieka i ceniła – jako policjanta. Z drugiej jednak wiedziała przecież dobrze, że to już ten czas – Kosoń był coraz mniej zainteresowany robotą, a ona chciałaby pracować z kimś, kto byłby równie zaangażowany. Z kimś bardziej doświadczonym od niej, ale pasującym do niej charakterologicznie. Po komendzie krążyła plotka o podkomisarzu z Olsztyna, który miał się do nich przenieść. Podobno oschły, ale fachowiec. Ucieszyłoby ją to.

Podeszła do stołu. Była głodna, więc sięgnęła po pączka. „Z supermarketu”, pomyślała po pierwszym kęsie i wzięła następny. Kalorie to kalorie, wszystko jedno, skąd pochodzą, byle brzuch się zapełnił.

– Chcesz? – Przyzwan wyciągnęła w jej kierunku rękę z napełnionym kieliszkiem.

Kiwnęła głową. Upiła trochę.

– Uuuu, nie podeszło? – zapytała Przyzwan, patrząc, jak Wiera się krzywi.

– To nie jest mój ulubiony gatunek. Szczerze mówiąc, wolałabym piwo.

– To w sobotę, u Ruberta. Dziś bierz, co dają. Idę po trochę cukru z tłuszczem. – Spojrzała znacząco na niedojedzoną resztkę pączka, którą Wiera trzymała w dłoni.

– Dolać? – Zygmunt Król krążył po pokoju z butelką koniaku.

– Nie, dziękuję. Jeszcze mam pracę.

– No, wszyscy mamy, to jasne. Przecież powiedziałem, że symbolicznie.

„On chyba nie pije symbolicznie”, pomyślała, patrząc na zaróżowione policzki komendanta.

– Dobry, swoje odleżał. – Król odstawił butelkę i wziął kieliszek – pełny. – A w ogóle, skoro już tu jesteśmy, to chciałem z tobą porozmawiać o przyszłości. Janusza nie będzie, no to potrzeba kogoś na zastępstwo.

Ożywiła się. Wreszcie jakiś konkret.

– Zatem chciałem ci powiedzieć, że będziesz pracować z Remkiem.

– Z Remkiem Staroniem? – Miała nadzieję, że źle usłyszała.

– Remigiusz to rzadkie imię. Zapamiętałbym, gdybyśmy mieli dwóch. A Remigiusza Staronia to na pewno mamy tylko jednego – próbował zażartować.

– Ale jak to? Z posterunkowym? – starała się ukryć rozczarowanie.

– No, zaraz to będzie starszy posterunkowy, w przyszłym roku sierżant. Więcej optymizmu.

– Mam optymizm, ale... słyszałam, to znaczy mówiło się, że ma do nas trafić podkomisarz z Olsztyna, więc pomyślałam...

– Prawdę się mówiło, bo miał. Ale wszędzie wakaty i problemy, i jednak nie do nas, a do Białegostoku, bo u nich jeszcze bardziej licho, więc rozumiesz. No. – Poklepał ją po ramieniu. – Wiem, że oczekiwałaś czegoś, znaczy kogoś innego, ale kto jak nie policjant rozumie, że życie to nie bajka? A, i jeszcze – Staroń na razie nie wie, jak dostanie starszego posterunkowego, to mu powiem. W poniedziałek znaczy.

Wiera włożyła do ust resztę pączka. Teraz jeszcze wyraźniej poczuła jego supermarketowość. Jaki z Remka będzie partner? Lubiła go, ale tak, jak się lubi niepodobnego do siebie młodszego brata – trochę opiekuńczo, trochę z przyzwoitości. Chemii, jakiegoś wyższego porozumienia, tego między nimi brakowało. Pomyślała o Ance, swojej młodszej siostrze. Z nią było gorzej niż z Remkiem, choć ostatnie miesiące przyniosły pewną poprawę ich stosunków. Po sprawie z Jeziorowskich coś w Wierze pękło, doszło nawet do tego, że sama by do Anki zadzwoniła, bo siostra jakoś ostatnio zamilkła.

„Potem, zajmę się tym potem”, pomyślała i podeszła do stołu. Komendant dostawił kolejną butelkę koniaku. Już sięgnęła po colę, żeby rozcieńczyć nią alkohol, ale przypomniały się jej słowa starego, że życie to nie bajka. „Trzeba brać się z nim za bary”, naląła sobie do pełna bursztynowego płynu, „ale to od jutra”. Teraz był czas na miękką izolację od życia.

Nie potrafiła zapomnieć. Jego bezwzględny wzrok, jego chętne ręce na jej niechętnym ciele, jego oddech odbierający jej dech. To wciąż w niej tkwiło, wryło się w pamięć, było fizycznie bolesne i obecne, niczym nieusuwalne.

Czy ta ucieczka coś da? Czy będzie w ten sposób uciekała przez całe życie?

ROZDZIAŁ 2

– Właśnie tak mieszkamy. – Joanna Krzysztofik stanęła na środku dużego pokoju i spojrzała na Wierę. Zachowywała się, jakby się gubiła w konwencji między wizytą formalną a towarzyską.

„Jak w mieszkaniu z reklamy margaryny”, pomyślała Wiera. Czysto, schludnie, nijako. Pomieszczenie było świeżo odmalowane, utrzymane w szarościach – kolor ścian zlewał się z kolorem tapicerki kanapy. Na szafce stał niezbyt duży telewizor, pod drugą ścianą niski regał z kilkoma ozdobnymi drobiazgami, nad nim półka z wazonikiem. Wszystko z płyty w ciemnobrązowej okleinie. „To wnętrze wygląda jak blok obok”, przypomniała sobie mijany budynek. Tam zrobiono już remont, malując elewację na szaro. Budynek, w którym mieszkała Krzysztofik, wciąż był w stylistyce sprzed dekady czy dwóch – żółcienie i brązy. Fascynujące było to, że po kolorze tynku czy kształcie mebli można poznać, z jakiego okresu pochodzi blok czy sprzęty w mieszkaniu. Fala mody przychodziła i równo zmiatała to, co było przed chwilą, wprowadzając nowy ład, podobnie nietrwały.

– Robert pomógł. – Kobieta wodziła wzrokiem za rozglądającą się po pokoju Wierę. – Odmalował, zrobił nowe kontakty, te wszystkie męskie sprawy ogarnął.

Wiera pokiwała głową. Nie zadawała na razie pytań, pozwalała Krzysztofik mówić. Kobieta zadzwoniła rano na komendę i potwierdziła, że córki wciąż nie ma. Wiera postanowiła działać dwutorowo i nie tracić czasu. Staronia wysłała do Tomka Czyżyka, byłego chłopaka Eweliny, a sama pojechała do jej matki.

– Jak zostałyśmy tylko we dwie z Ewelinką, to było naprawdę okropne. – Krzysztofik podeszła do okna i stanęła bokiem do Jezierskiej. – Mąż umarł nagle, tętniak pękł i już, koniec. Nic się nie dało zrobić. Nikt się nie spodziewał. Okropne chwile, a potem zrobiło się jeszcze gorzej. Zostałyśmy bez wsparcia, bez pomocy. Krzysztof, znaczy mąż, był zaradny, pomocny, zresztą znał się na wszystkim, elektryk, złota rączka. Jak go zabrakło, to wszystko się skończyło. Ewelinka tak bardzo to przeżywała. Nie dawałam sobie rady – ani psychicznie, ani fizycznie. Praca, szkoła, zakupy, obiady, wiecznie w biegu, wiecznie mało pieniędzy, ciągle coś się psuło. I ta samotność... Samotnej kobiecie jest trudno. Ale miałam zawsze ją, moją córeczkę, Ewelinkę. – Teraz Krzysztofik odwróciła się do Wieri plecami. Prawą rękę podniosła do twarzy i dłonią przetarła oczy.

– Właśnie, córka. – Wiera odczekała taktownie kilka sekund. – Chciałabym zobaczyć jej pokój.

Joanna Krzysztofik powoli się odwróciła. Wciąż miała szklisty wzrok.

– Tak, oczywiście, już pokazuję. – Wyminęła Wierę i wąskim korytarzem poprowadziła do małego pokoju po lewej stronie.

Pomieszczenie było w pewien sposób podobne do salonu – schludne i czyste. Ściany miały bardzo jasny niebieski kolor, meble były białe. Panował idealny porządek – żadnego twórczego bałaganu, porozkładanych przedmiotów, rozwieszonych ubrań, niewyniesionych kubków czy talerzyków. Wiera podeszła do biurka. Na blacie leżały równo ułożone podręczniki i książki, w trzech, tej samej wysokości, kupkach. Obok znajdował się zamknięty laptop. Łóżko było przykryte niebieską kapą, na niej dwie symetrycznie ułożone białe puchate poduszki. Na regale Wiera dostrzegła kilka ramek. Spojrzała na Krzysztofik.

– To pierwsze to nasze wspólne, z Krzysztofem, znaczy tatą Ewelinki. Zrobione w wakacje przed jego śmiercią. Pojechaliśmy nad morze, do Piasków. Córka tak się cieszyła, bo całe dwa tygodnie tam spędziliśmy i nawet pogoda dopisała, a to nad Bałtykiem nieczęste.

Wiera przyglądała się fotografii. Rzeczywiście, rodzina wyglądała na zadowoloną, może nawet szczęśliwą. O drugie zdjęcie nie musiała pytać – była na nim matka z córką. Zrobione stosunkowo niedawno, w tym wyremontowanym na szaro salonie. Trzecia ramka była natomiast pusta.

– A to? – Wskazała na nią palcem.

– Tomek tam był – odparła Krzysztofik. – Zauważyłam, że Ewelinka usunęła zdjęcie, ale nie pytałam. Ona jest czasem taka skryta... Nie w sensie, że ma przede mną jakieś tajemnice, to znaczy, że jest nieszczerą, tylko nie o wszystkich osobistych sprawach chce mówić. No ale to przecież normalne, prawda? – Pytając spojrzała na Wierę.

– To kiedy oni się rozstali? – Wiera nie odniosła się do tej kwestii.

– Tak jak powiedziałam, niedawno. Z pół miesiąca temu może...

– Córka podała jakiś powód? Powiedziała, kto kogo zostawił?

Krzysztofik delikatnie westchnęła.

– Nie, naprawdę nie. Tak ogólnie to ujęła, że się rozeszło, czy jakoś tak. Nie było w tym nic dramatycznego, jak w takiej wielkiej zawiedzionej miłości w książkach.

Wiera nie potrafiła sobie przypomnieć, żeby w jakiegokolwiek książce czytała o takiej miłości, chyba że w którejś z lektur szkolnych, ale je z założenia traktowała nierealistycznie. No, może u tej Ferrante, choć tam to było takie popieprzone. „Popieprzone”, uśmiechnęła się do tej dwuznaczności.

– A kto kogo rzucił?

– Właściwie to nie wiem. Jakoś tak zrozumiałam, jakby to była ich wspólna decyzja.

Wierze trudno było uwierzyć w taką zgodną obojętność i jej mina dobitnie to pokazywała.

– Ja też się zdziwiłam – odezwała się szybko Krzysztofik – bo dobrze im było razem, Ewelinka się na nic nie skarżyła, ale jakoś tak się rozeszło, mimo że nawet

tę samą uczelnię wybrali. Ewelinka planuje socjologię, a Tomek leśnictwo, w Olsztynie.

– Długo razem byli?

– Z pół roku, może trochę więcej.

– Mówiła pani na komendzie, że córka była ostatnio trochę zdenerwowana.

– No tak, denerwowała się maturami, nauką, punktacją. Zależy jej na studiach. Bardzo ją wspierałam, bo ona u nas by była, to znaczy będzie pierwsza w rodzinie z dyplomem. – W oczach kobiety znowu pojawiły się łzy.

– A może jednak czymś innym się denerwowała? Kimś innym? – Wiera postanowiła sprawdzić trop zasugerowany przez Staronia.

– Kimś innym? – Krzysztofik spojrzała na nią spłoszona.

– W sensie, że zostawiła tego Tomka dla innego chłopaka.

– Nie, naprawdę nie. To w ogóle niepodobne do córki. Ona jest spokojna, opanowana. To nie taki typ dziewczyny, która się ogląda za chłopcami. Do kościoła chodzi co tydzień, jakby nie mogła, to mszy w radiu odsłucha. Gdzieś tu nawet... – kobieta zaczęła się rozglądać po pokoju – o, tu leżą! – Sięgnęła głębiej na półkę regału i wysunęła kilka kolorowych gazet. „Idziemy”, Wiera przeczytała tytuł. Na okładce była para z córką, wyrysowani dziecięcą ręką. Niżej podpis: „Kocham cię, życie”. Wiera знаła ten katolicki tygodnik, Anka go kilka razy przyniosła do domu. – I do biblioteki chodziła, książki czytała. Prawie się nie malowała, nawet włosów nie farbowała.

„Wypisz, wymaluj Anka”, pomyślała Wiera. Gdyby odjąć chłopaka, nawet takiego spokojnego, bo Anka chyba nigdy z żadnym nie była.

– A może szukała nie chłopaka, tylko jakiejś grupy? Młodzi mają potrzebę bycia razem. Może kogoś poznała przez Internet?

– Ewelina jest raczej osobna, to znaczy ma koleżanki, jak to w tym wieku, ale tak rozsądnie, bez emocji. Lubi być ze mną, naprawdę byliśmy, to znaczy jesteśmy żyte.

Wiera pokiwała głową.

– Wspominała pani o partnerze. Robert...

– Robert Nęcki. Ale jego nie ma, bo pojechał w trasę. Często jeździ, taka praca. Tydzień, dwa w drodze, wraca, kilka dni odpoczywa i znowu rusza.

– Stąd jest?

– Robert? Nie, z Elbląga. A firma od nas, Auto-Trans. Poznaliśmy się w pracy, to znaczy on przyszedł z szefem, przerejestrowywali auto. Zaiskrzyło między nami, zresztą Robert potrafi być naprawdę czarujący... I tak jakoś szybko poszło, jakby samo się działo...

– Wie, gdzie może być córka?

– Nie, skąd by miał wiedzieć? – zaprzeczyła kobieta.

– Tak pani powiedział?

– Właściwie to nie – przyznała Krzysztofik po chwili zawahania. – Ma wyłączony telefon. Albo bez zasięgu. Tak się czasem zdarza w trasie.

– Lubią się?

Krzysztofik spojrzała na nią, a potem cicho powiedziała:

– Wie pani, jak to jest, kiedy kobieta zostaje sama z dzieckiem? Nie taka już młoda, w niedużym mieście? Nie wie pani i życzę, żeby pani się nie dowiedziała. Koleżanki się odsunęły, przestały zapraszać, bo samotna kobieta to zagrożenie dla stabilności małżeństwa, samotna kobieta jest, jest... przesunięta na margines życia społecznego. Wcześniej zapraszały, nawet chętnie, bo mąż był elektrykiem, zawsze coś poprawił, naprawił. Potem – jak nożem uciął. Więc jak się pojawia ktoś nowy, to trzeba zaakceptować pewne... pewne niedogodności. Nie będę ukrywała, że na początku Ewelinka była przeszkodą w naszym związku, ale to już minęło, teraz te relacje są poprawne, wszystko się jakoś ułożyło. Bez miłości, ale i bez nienawiści.

– Nie przeszkadza to pani?

– W pewnym wieku nie oczekuje się cudów. To nie rezygnacja, wręcz przeciwnie, bo my mamy plany, że jak Robert przejdzie na emeryturę, to będziemy razem jeździć po Europie. Ewelinka już po studiach, a my... – Splotła palce.

– Wspominała pani o rodzinie...

– Moi rodzice już nie żyją, teściowie są w Białymstoku, a siostra w Pułtusk. Nie wiedzą, gdzie Ewelinka mogłaby być, w każdym razie nie u nich. Jakby tylko się odezwała, to oczywiście od razu powiadomią.

– No dobrze... – „To dalej nic nie mamy”, powinna dodać, ale zamiast tego zapytała: – Mogę zabrać laptop córki? Sprawdzimy, czy tam nie ma jakiegoś tropu.

– Tak, oczywiście. To co teraz będzie? To znaczy gdzie i jak policja będzie szukała córki?

– Będziemy w kontakcie. Pani niech dalej rozpytuje znajomych, sąsiadów, może ktoś coś jednak wie. No i jest nadzieja, że córka jednak sama wróci.

– To co masz, Remek? – Wiera chciała w spokoju porozmawiać w aucie, ale za bardzo się nagrzało. Do wczoraj jeszcze temperatury nie przekraczały piętnastu stopni, a dziś poszybowały o dziesięć kresk w górę. Włożyła laptop do bagażnika, zamknęła samochód i stanęła pod drzewami. W cieniu dało się wytrzymać, choć poczuła strużkę potu spływającą po plecach.

– Pogadałem z nim. Wyszedł przed blok, zrobiliśmy rundkę po osiedlu. Zwyczajny chłopak. Zupełnie normalny. Powiedział, że Ewelina go zostawiła, bo „nie pasowali do siebie”.

– Ona jego?

– Tak. Ale on również tak uważa. I jeszcze powiedział, że ona dużo się uczyła, zresztą on też się dużo uczył, i tak nie mieli dla siebie czasu.

– A tobie to pasuje?

– Co mi pasuje? – zdziwił się Staroń.

– Że nie mieli dla siebie czasu, bo się uczyli. Osiemnastolatkowie, wiosna, kwitną bzy i kasztany, słońce, liczy się to, co teraz, a faceci w takim wieku to w ogóle się ograniczają do tego, żeby zaliczyć...

– Zaliczyć?... A, no dobra, rozumiem. No może tak, ale jemu naprawdę zależy na studiach.

– Remek, byłeś kiedyś młody? I zakochany?

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Dobra. To albo to rzeczywiście nie było nic ważnego, albo wręcz przeciwnie, i coś się wydarzyło, i dlatego dziewczyna zniknęła.

– Ja... To nie tak, że nic ważnego, bo on się wydaje przejęty, że ona zniknęła. Tylko jakby ci to wytłumaczyć... O, w taki sposób przejęty, jak ty wczoraj opowiadałaś Przyzwan o matce.

– To znaczy?

– To znaczy, jakby się bał o byłą dziewczynę, ale jednocześnie jakby wcale nie chciał, żeby jej szukać. Aha, dał mi też telefony do jej dwóch najbliższych koleżanek.

– No to trzeba i z nimi pogadać.

– Już dzwoniłem. Obie są pełnoletnie, więc nie było problemu. W sumie potwierdziły to, co powiedziała ci matka – Ewelina jest spokojna i cicha, lubiana, ale to nie typ cheerleaderki. Trzymała się na uboczu.

– W drugim obiegu towarzyskim, żadnego brylowania. Grzeczna, miła, pilna, w pokoju czysto, na półce gazety katolickie. Wychodzi nam to samo. – Wiera westchnęła. – Coś o Tomku mówiły?

– Że z klasy równoległej, też spokojny, że chyba już nie są razem, ale jakoś to kulturalnie załatwili.

– Nie wierzę, Remek.

– W co nie wierzysz?

– W tę kulturę. Wszyscy dokoła tacy, kurwa, kulturalni, mili i cisi. Jakby byli z dykty, a nie prawdziwi. A w wypadkach nie wypłynęła? Nigdzie młodej blondynki?

– Nie, czysto.

– Dobra, Remek, wracam na zakład, to jeszcze pogadamy. Dam Witkowskiemu laptop Eweliny, niech pogrzebie. Jak ludzie nie mówią nic sensownego, to może sprzęt coś zdradzi. – Rozłączyła się i poszła do samochodu. W środku pachniało

nagrzanym plastikiem mocno średniej jakości i dawno nieczyszczoną tapicerką. Nawiew buchnął jej w twarz gorącym powietrzem. Otworzyła okno i ruszyła.

– Zrobi się. – Michał Witkowski tylko nieznacznie podciągnął się w wysokim fotelu na kółkach, gdy Wiera weszła do pokoju. Dwa duże, złączone blaty miał zawalone papierami i jakimiś częściami komputerowymi. Na podłodze też leżał sprzęt.

– A kiedy się zrobi? – Popatrzyła na puszkę coli. Była lekko wilgotna, pewnie niedawno wyciągnięta z lodówki. Cholernie chciało się jej pić. Od zimnej coli lepsze byłoby tylko zimne piwo – obydwie na razie poza zasięgiem jej możliwości.

– Możesz sobie łyknąć. – Podchwycił jej spojrzenie.

– Dzięki, nie. – Nie była purystką, jeśli chodzi o higienę, ale nie miała ochoty dzielić flory bakteryjnej z Witkowskim. Czasem wydawało się jej, że ten facet nie tylko tu pracuje, lecz także je i śpi. I nie wiadomo, co jeszcze robi. – To zaginięcie, młoda dziewczyna, zaraz po maturach.

– Czegoś konkretnego szukamy?

– Jak zawsze. – Wzruszyła ramionami. – Wszystkiego. Dziwne strony, podejrzanе maile, jakieś anonimy, inicjały, pogróżki, kto do niej pisał, ona do kogo, na jakie strony wchodziła. Podobno spokojna i ułożona dziewczyna, więc szukaj czegoś odwrotnego.

– Zrobi się. – Witkowski sięgnął po puszkę. Usłyszała kilka gardłowych przełknięć, jakby bąbelki rozbijały się o przełyk. – Tylko trochę się ogarnę. – Przeleciał wzrokiem przez pokój.

Pomyślała, że jest w tym samym lesie, co ona.

Przejrzała bazę – nic, jak mówił Remek. Ewelina Krzysztofik nie padła ofiarą żadnego przestępstwa, nie leżała martwa w rowie, rozjechana przez auto, nie wypłynęła w żadnym jeziorze czy rzece, nie było jej ani w szpitalu, ani w kostnicy, ani nigdzie pomiędzy tymi dwoma miejscami. Od jej zaginięcia minęło czterdzieści osiem godzin. Magiczne czterdzieści osiem godzin, które zwyczajowo mają być

taką granicą dzielącą „może się znajdzie” od „chyba jednak się zgubił/zgubiła”. Wracła pamięcią do porannej rozmowy z Joanną Krzysztofik. Wyglądało na to, że dziewczyna rzeczywiście nie zwała z powodu konfliktu w domu. „Znaczący z powodu konfliktu z matką”, Wiera poprawiała się w myślach. Joanna Krzysztofik nie sprawiała wrażenia osoby, która z kimkolwiek może być w konflikcie; wyglądała na typ zdecydowanie wycofany. Z jej partnerem Wiera nie porozmawiała i przez najbliższe dwa tygodnie nie będzie miała okazji do osobistego kontaktu. Miała za to zapisany do niego numer, jak nic się nie ruszy, to jutro zadzwoni.

Zaburczało jej w brzuchu. Spojrzała na zegarek – było już po drugiej. Rano wypijała tylko maślanek, po wczorajszym pożegnaniu Kosonia u komendanta nie czuła się najlepiej. Nie przeholowała z koniakiem, bo jednak dość szybko się skończył, więc to raczej te pączki. A może ich ilość. No i źle się jej spało, duszno było. Wiosna gwałtownie wkroczyła w rejestry lata, i to upalnego.

Postanowiła pójść do Świtezianki. Na myśl o chłodniku z ziemniakami zrobiło się jej lepiej. Dopijała do końca wodę ze szklanki i wstała od biurka. Spojrzała jeszcze na pusty blat Kosonia. Gdyby mogła z nim pogadać... „Jutro pogadasz”. Pomyślała o imprezie, którą komisarz szykował na działce w Starych Juchach, u byłego komendanta Jerzego Ruberta. Fajne miejsce, ciche, spokojne. Przynajmniej do czasu tamtej sprawy, bo potem... Otrząsnęła się. Maria Przyzwan też będzie. No i Remek. Remka jednak nie brała pod uwagę jako partnera do ewentualnej wnikliwej rozmowy na temat tej dziewczyny. Poczowała lekką złość, że zamiast fachury przydzielono jej takiego młodzika. Znowu zaburczało jej w brzuchu. „Robię się nerwowa z głodu”.

Wyszła z pokoju.

– Siedem trzydzieści. – Kobieta w białym czepku, który kontrastował z jej czerwoną, spoconą twarzą, spojrzała na Wierę zmęczonym wzrokiem.

– Już. – Wiera próbowała wsunąć palce w tylną kieszeń dzinsów, w której trzymała drobne. Może powinna jednak kupić coś luźniejszego? Niedzinsowego

i niespodniowego? Miała wilgotne palce, spodnie nieprzyjemnie kleiły się jej do ud. – Już – powtórzyła. Zaczęła się irtować.

– Spokojnie. – Kasjerka wachlowała się zafoliowanym jadłospisem.

Prawie wyciągnęła pięciozłotówkę, gdy w drugiej kieszeni zawibrował telefon.

Z telefonem poszło łatwiej. Spojrzała na wyświetlacz – z roboty, dyżurny.

– Jezierska, co tam?

– Słuchaj, zgłoszenie jest. Masz jechać.

Drugą ręką wciąż walczyła z bilonem uwieczonym w kieszeni. Bez efektu.

– Kurwa. – Jednak wyrwało się jej to z ust.

– Spokojnie – powtórzyła kasjerka. – Nie ma się co denerwować, przecież nikt nie umarł.

Wiera uśmiechnęła się przepaszająco.

– Nie, to nie do ciebie. To jakie to zgłoszenie? – Sapnęła do telefonu i zrezygnowała z grzebania w kieszeni.

– Ze starej żwirowni w Spytkowie. Facet, około pięćdziesiątki. Leży w głębokim wyrobisku. Ma ranę kłutą klatki piersiowej i roztrzaskaną głowę.

„A jednak ktoś umarł”, pomyślała, na migi pokazując, że rezygnuje z zakupu chłodnika i ziemniaków.

Kasjerka machnęła ręką.

„I musiał być bardzo nielubiany”.

ROZDZIAŁ 3

Wyglądał jak duża szmaciana lalka niedbale rzucona na ziemię – ręce na boki, jedna noga prosto, druga dziwnie wygięta. Leżał na dnie głębokiego wyrobiska w nieużywanej już żwirowni. Dokoła były wysokie hałdy, częściowo pozarastane trawą.

– Tym razem przynajmniej nie trzeba nikogo odkopywać. – Usłyszała za sobą głos Mariusza Motyki. – Cześć.

Obróciła się w stronę technika.

– Cześć. No nie. Za to trzeba będzie tam zejść. – Rozejrzała się, szukając najlepszego miejsca.

– Nie oglądałaś go?

– Nie, przyjechałam dosłownie chwilę przed tobą. Na razie obejrzałam, jak ludzie niszczą przyrodę. – Machnęła ręką. – Najpierw żwirowisko, a teraz śmietnisko. Widziałeś kawałek wcześniej ten zwalony gruz i eternit?

– Pisali o tym jakiś czas temu w „Gazecie Olsztyńskiej”. Że ludzie wywalają śmieci, gdzie się da. Tu też. Wygodnie, bo doły po żwirowisku zostały. Ziuu! Zero kłopotu.

– Kłopot jest, bo jakoś to trzeba przywieźć, przenieść i żeby nikt cię nie zauważył... Ciekawe, jak z tym na dole. – Wskazała głową na ciało. – Kto i dlaczego go tu zostawił.

– I czy ktoś to widział.

– I czy ktoś to widział – powtórzyła za technikiem. – Ciało zauważył tamten facet. – Teraz obróciła się w drugą stronę i spojrzała na zaparkowany kilkadziesiąt metrów dalej radiowóz, przy którym stał policjant z ubranym na ciemno mężczyzną, a obok nich spory metalowy wózek.

– On to raczej zabiera, a nie przywozi – stwierdził Motyka.

Kiwnęła głową.

– Złomiarz. Zamieniłam z nim ze dwa zdania, pójdę go przepytac, jak skończymy. Którędy schodzimy?

Oboje spojrzeli w dół.

– Tu to chyba nie. – Technik krytycznie przyjrzał się zwałom luźnej ziemi, która szerokim jeźorem spływała w dół wyrobiska.

– On też tędy nie schodził. Raczej spadał. – Pokazała ręką na lekkie wgłębienie w luźnej ziemi. – I tam niżej chyba jeszcze jedno.

Motyka pokiwał głową.

– Może być. My raczej tamtędy, trawersem, co? – Popatrzył na trawy porastające zbocze wyrobiska kawałek dalej i ruszył w ich stronę.

Wiera poszła za nim. To zejście było na pewno lepsze niż zsuwanie się po hałdach ziemi, ale i tu grunt był mało stabilny. Wysokie płowe trawy i niższe zielone porastały zbocze od niedawna i nie zdążyły go mocniej związać. Wiera raz się poślizgnęła i w ostatniej chwili złapała równowagę.

Teraz stali na dole i razem z Motyką przyglądali się martwemu mężczyźnie.

Facet miał około pięćdziesięciu lat. Był w jasnoniebieskich dżinsach i granatowej koszuli z krótkim rękawem. Na nogach miał skórzane mokasyny na cienkiej podeszwie. Między jasnobezowe żłobienia w gumie wpasował się czarny kamyk. Wiera włożyła gumowe rękawiczki i kucnęła przy nim. Teraz poczuła jakiś zapach. Mocniej wciągnęła powietrze, a wraz z nim nutę dość intensywnej wody kolońskiej.

– Chyba nie planował umierać. Ani zostać zabity. Wciąż pachnie – pociągnęła nosem – chociaż nie żyje już od jakiegoś czasu, więc albo sporo na siebie wylał,

albo to coś dobrego. W ogóle to taki zadbany facet – czyste spodnie, nie licząc tej plamy na udzie, ale to pewnie podczas upadku. Koszula wyprasowana na sztywno, buty chyba nowe, w każdym razie mało noszone, ładnie obcięty. Tylko ta plama na koszuli i ta rana na głowie...

– Trochę psują całokształt – zgodził się Motyka.

Wiera znowu pochyliła się nad zmarłym. Może to była kwestia wiatru, który właśnie zmienił kierunek, a może większej bliskości – teraz jednak poczuła tę charakterystyczną, słodko-mdlącą nutę. Pusty żołądek zareagował nieprzyjemnym skurczem. Podniosła się.

– Ta brunatna plama w okolicy serca to jedno, może to go zabiło, ale głowa też nie wygląda najlepiej.

Przeniosła spojrzenie na twarz zmarłego mężczyzny. Mniej więcej jedną trzecią włosów w kolorze ciemnego blondu oblepiała zakrzepła krew, która zastygła także na lewym oku i policzku, cieńszymi strugami spływając na szyję i niknąc za kołnierzem koszuli. Impet uderzenia musiała przyjąć na siebie skroń, bo w tym miejscu obrażenia były największe.

– Co było przyczyną śmierci, to ustali ci Józwik. – Mariusz Motyka też wpatrywał się w zabitego. – Jakbyś mnie teraz zapytała, tobym ci powiedział, że jakiś gorliwiec go załatwił – pchnięcie niezbyt dużym ostrym narzędziem i całkiem spory kamień, którym dostał w głowę. I jeszcze lot w dół. Ktoś się przyłożył.

Do Wierę wróciła pierwsza myśl po zgłoszeniu: „Ktoś musiał go bardzo nie lubić”.

Patrzyła na zabitego.

– Wygląda absurdalnie, prawda?

Motyka podniósł głowę znad ciała i spojrzał na Wierę.

– Zupełnie tu nie pasuje – i jako trup, i jako żywy. Wymuskany, pachnący, a kończy nieopodał odpadów budowlanych, i do tego jeszcze zabijany na różne sposoby. Jak on się w ogóle tu dostał? Bo wygląda na to, że to tutaj ktoś go dopadł.

– Na to wygląda. Wzdłuż tej drogi jest kilka miejsc, gdzie można zostawić auto, trzeba będzie poszukać. Tego, czym dostał w głowę, i noża albo czegoś innego ostrego.

Wiera rozejrzała się dokoła. Wyrobisko miało około pięciu, może siedmiu metrów głębokości i było całkiem duże. Brzegi miało nierówne, dół – także. Gdzieś tam ziemia była mocniej pofałdowana, a w innych miejscach – równiejsza. Natura również odbierała ten teren niejednoznacznie – plamy zieleni mieszały się z nieporośniętą niczym ziemią.

Zaczęła przeczesywać teren, ale bez efektu. Po kwadransie miała wrażenie, jakby cały dzień spędziła na sawannie. Grzało tu niemiłosiernie. Gdyby tego nieżywego odnaleziono kilka dni później, straciłby znacznie więcej ze swojego wymuskania. Wcześniejsze dni były chłodne, zwłaszcza noce, ale to jednak wiosna, rozkład postępuje w miarę szybko. Facet mógł tu leżeć maksymalnie trzy, cztery dni, tak by to oceniła. Obróciła się w kierunku, gdzie pracował Motyka. Z tego miejsca nie było go widać, musiał być pochylony nad zabitym. W sumie nie takie złe miejsce na morderstwo – kameralne.

Postanowiła wdrapać się na górę inną drogą, po przeciwnej stronie wyrobiska, w miejscu, gdzie trawa była trochę niższa i trochę gęstsza. Szła powoli, uważnie patrząc pod nogi. Niedaleko zamordowanego leżała kupka kamieni – otoczaki przemieszane z jakimiś betonowymi odpadami. Z jednego z nich wystawał spory kawałek metalowego pręta. „Każdy by się pewnie nadał”, pomyślała. Człowieka można grzmotnąć w głowę w sumie byle czym, byle było ciężkie, a uderzenie dostatecznie mocne. Przesuwała się powoli; teren i tak trzeba będzie solidnie przejrzeć, a to potrwa.

Zaczęła się wspinać. Zbocze było tutaj stabilniejsze – nie sypka ziemia, lecz twarda skorupa gliny – stopa ani razu jej się nie osunęła – aż dziw, że coś tu w ogóle rośnie. Wąskim wałem nad wyrobiskiem poszła w kierunku radiowozu.

Kiwnęła głową do kolegi w mundurze, który siedział na fotelu i coś zapisywał w notesie, a potem podeszła do mężczyzny, który zawiadomił policję. Facet mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt kilka, co siedemdziesiąt lat. Ogorzały, mały, krępy,

w powycieranych sztruksach i równie zużytej koszuli flanelowej w ciemnych kolorach, skutecznie maskujących brud.

– O, pani komisarz! – Na jej widok zakręcił butelkę z wodą i włożył ją do foliówki (obie także mocno przechodzone) i umieścił w wózku. Wiera zobaczyła, że wystają z niego jakieś blachy i druty.

– Sierżant. Sierżant Wiera Jezierska – poprawiła go. – Więc to pan znalazł ciało?

– Ja. – Pokiwał głową. – Tak jak już pani sierżant powiedziałem. A jeszcze wcześniej mówiłem koledze z radiowozu, jak to było. Byłem tu na przeglądzie, czy coś przybyło, bo ja tu jestem regularnie...

– Regularnie – poprawiła go odruchowo.

– No właśnie mówię, że regularnie. Czasem coś się trafi, zwykle jest jakaś nowa dostawa towaru, znaczy coś przybywa. No więc się zjawiłem dziś tak koło południa, bo tu kawałeczek mam, zresztą dziś wstałem trochę później, bo wczoraj, no tego, z kolegami, nie, bo w poprzednie dni miałem sporo roboty, to się poświętowało, a jeszcze dziś musiałem...

„Wygląda, jakby codziennie z kolegami no tego”, pomyślała.

– ...musiałem coś załatwić u sąsiada, więc tak wyszło. Wózek tak mniej więcej tu zostawiłem i idę szukać, tą drogą, co pani władza przysłała. Sama drobnica, dwie puszki, ale postanowiłem zrobić kółko, o tak – wykonał zamaszysty ruch ręką – i z powrotem do wózka. Obeszłem połowę i patrzę, a tam coś leży, znaczy w dole leży człowiek. – Spojrzał na nią i zamilkł.

– No i co pan zrobił?

– No i się zastanowiłem. Znaczy wpierw się przestraszyłem, ale potem sobie pomyślałem, że w sumie nie wiadomo, bo może jednak co mu się stało albo się ubzdryngolił i zasnął na słońcu, i to mu zaszkodzi. Trzeba być miłosiernym i sprawdzić, zwłaszcza że on wyglądał całkiem porządnie. – Wyprostował się, chyba dumny ze swojej prospołecznej postawy.

– Nie wydało się panu dziwne, że ktoś tam leży?

– Szczerze, pani komisarz, znaczy sierżant, to właśnie się wydało, bo tu nikt porządny nie przychodzi. Albo, za przeproszeniem, tacy lumpiarze jak ja, bo może jakiś grosz w naturze się znajdzie, albo ci, co potrzebują trochę, że tak to ujmę, osobności. Osobności w parach. – Popatrzył na nią znacząco.

– Widuje pan tu takich?

– E, no co ja jestem jakiś zbok-podglądacz? Zresztą mnie te sprawy już nie biorą. Widuję za to czasem dowody takich spotkań. Gumowe dowody. – Uśmiechnął się, obnażając braki w uzębieniu.

– A dzisiaj kogoś pan tu widział, nie licząc tego zmarłego?

– Nie, dziś nie. A jeszcze kiedyś dawniej to taką, co się tu niedaleko sportowała, znaczy biegała.

– Jasne. Zatem zobaczył pan, że ktoś leży w wyrobisku, i postanowił pan sprawdzić.

– Tak było. Zeszłem na dół...

Już drugi raz się powstrzymała przed poprawieniem go. Zamiast tego zapytała:

– Którędy pan zszedł?

– O, tędy, co pani sierżant i ten drugi schodzili. W sumie to jak już byłem na dole, nawet jeszcze kawałek od niego, to już wiedziałem, że on nie żyje, bo zobaczyłem tą głowę, a potem jeszcze koszulę...

– Dotykał go pan?

– Nie, no po co? Jak i tak nieżywy, to jak bym miał mu pomóc?

– A skąd pan miał pewność, że nie żyje?

Popatrzył na nią zdumiony.

– Na wsi się wychowałem. Rozumiem, co natura do mnie mówi.

Chyba był szczery w tej swojej ludowej mądrości.

– Nic dokoła albo po drodze pan nie zauważył? Jakieś przedmioty czy coś?...

– Nie. Tylko puszkę, jak już wracałem na górę.

– I gdzie ona jest?

Facet po raz pierwszy od początku rozmowy niespokojnie się poruszył.

- Gdzie jest? No tam. – Wyciągnął rękę w kierunku wózka.
- Źle, że ją pan ruszał. – Ruszyła we wskazanym kierunku. – Która to?
- Z zubrem – bąknął.

Stanęła nad metalowym koszem. Między blachami i drutami zobaczyła kilkanaście pozgniatanych zielonych blach. Odwróciła się w stronę faceta.

– Z zubrem? – powtórzyła pytająco. Czuła, że zaczyna się irytować. Była już cholernie głodna, a nie miała przy sobie nic, nawet batona. Chciało jej się pić, a teraz jeszcze ten koleś, co zbiera puszki na miejscu zbrodni. – To łatwo pójdzie.

– No skąd ja... – zaczął, ale mu przerwała.

– Gdyby pan tyle nie pił, łatwiej by było myśleć – wycedziła. – Masz większy worek? – rzuciła głośniejszym głosem w stronę radiowozu. Policjant już niczego nie pisał, stał koło samochodu i od dłuższej chwili im się przyglądał. Teraz szybko podszedł do niej.

– Nie mam. – I przepraszająco wzruszył ramionami.

Westchnęła.

– Wezmę od siebie. Spisałeś pana?

– Z oświadczenia, nie ma przy sobie dokumentów.

– To weź oświadczenie jeszcze raz i zobacz, czy nie ma rozbieżności w zeznaniach. Potem możesz wracać. A pan niech się stawi w poniedziałek rano na komendzie, spiszemy zeznania.

– A wózek?

– A wózek zaraz, jak spakuję możliwy dowód w sprawie. Razem z kilkunastoma śmieciami.

Facet przepraszająco rozłożył ręce.

– No przecież nie celowo, pani władzo...

Machnęła ręką i poszła do samochodu. Najpierw dopiła resztę wody mineralnej, już lekko ciepłej, potem przewaliła rzeczy w schowku i wygrzebała miętówkę. Z trudem wyłuskała ją ze starej folii i włożyła do buzi. Potem wzięła nową parę rękawiczek i plastikową torbę.

– Mam, wszystko tak samo. – Usłyszała od policjanta. Kiwnęła głową.
Włożyła rękawiczki i zaczęła wybierać puszki z wózka.
– Trzynaście – powiedziała, kiedy skończyła. – Pechowo.
– Pani władzo... – zaczął facet.
– Dobra, dobra. Może pan iść. Do poniedziałku.
– No do widzenia. – I w tempie przekraczającym kondycję, jakiej się po nim spodziewała, ruszył przed siebie.

Postanowiła odłożyć puszki do auta i wrócić do Motyki, który wciąż pracował na dole wyrobiska. Jednocześnie poczuła, że chce jej się siku. Nic dziwnego, skoro zapychała dziś żołądek piciem.

Z bagażnika buchnął na nią gorąc. Jeszcze trochę tu postoi i nie będzie mogła dotknąć kierownicy.

Rozejrzała się. Najbliższa okolica była bezdrzewna, tylko spory kawałek na lewo od miejsca, gdzie teraz stała, rosły gęste i wysokie krzaki, dodatkowo oddzielone od reszty terenu niewielką górką. Westchnęła i poszła w tę stronę. Zastanawiała się, czy kolega z radiowozu ją obserwuje; faceci mieli łatwiej – odwrócić się i już. Często widywała takich na poboczu; stali tyłem do szosy, przy samochodzie, z charakterystycznie rozstawionymi nogami. Fakt – nic nie było widać, ale było jasne, co robią. Najwyraźniej jednak facetom to nie przeszkadza, a ona się zastanawiała, czy koleś z radiowozu rozgryzł cel jej oddalenia się. Westchnęła.

Górka była idealna – z bliska okazała się właściwie wałem ziemi, za którym znajdowało się niewielkie obniżenie terenu. Miejsce wprost wymarzone na szybkie kucnięcie. Już miała postawić nogę w tym dołku i odpiąć spodnie, kiedy na piaszczystym podłożu zobaczyła zapalniczkę. Metalową, dziwną. Wyciągnęła z kieszeni lateksową rękawiczkę. Z trudem wsunęła ją na spoconą dłoń. Kucnęła i wychyliła się po znalezisko. Podniosła je i wstała. Zapalniczka wyglądała oryginalnie, nie była to tania masówka z supermarketu. Błyszczała, na pewno nie leżała tu długo. Przyjrzała się jej dokładniej. Z boku miała, trochę już wytarty,

grawer: „Od A.”. Intuicja podpowiedziała jej, że może mieć coś wspólnego z tym odprasowanym i odpicowanym facetem z wyrobiska. Rozejrzała się. Wyższa trawa z boku dołka wyglądała na ugniecioną, jakby ktoś na niej usiadł albo się o nią oparł. Trzeba będzie to dokładnie sprawdzić, tak czy owak, miejscówka na sikanie przypadła. Wyciągnęła z kieszeni džinsów paczkę chusteczek, jedną rozłożyła i owinęła nią zapalniczkę. Poczuła, że pęcherz ciśnie ją coraz mocniej. Wycofała się z tego miejsca i odbiła w prawo, w chaszczę. Jeszcze kilka kroków i będzie okej – nie widziała stąd radiowozu. Nagle przystanąła. Miała wrażenie, że coś w tej gęstej zieleni mignęło jej przed oczami. Zawróciła, zrobiła dwa kroki. „Kamień? Pudełko?” Schyliła się i lekko odgarnęła trawę rękoma. Zobaczyła, że to coś to chyba nieduża torebka. Odłożyła foliówkę i pomyślała, że dobrze, że nie ściągnęła rękawiczki – w kieszeni miała jeszcze tylko jedną i teraz ją włożyła. Podniosła znalezisko, a potem przekręciła je na drugą stronę. Tak, to była torebka, ale męska – saszetka z brązowej skóry, w dobrym stanie. Ona również nie mogła tu długo leżeć. Rozpięła zamek. W środku były portfel i klucze – dwa komplety samochodowe, jeden chyba do domu, oraz paczka prezerwatyw. Papierowe niebieskie pudełko z napisem „Jeszcze więcej przyjemności dla każdego z was”. „Gumowe dowody”, przypomniały się jej słowa tego faceta. Te jednak nie zdążyły jeszcze zostać dowodami – kartonik wciąż był zafoliowany. Wyciągnęła portfel. Trochę bilonu w kieszonce, trzy stówy w przegródce. W kieszonkach z boku plastikowe karty dowodu i prawa jazdy.

– Cholera – syknęła, próbując wyciągnąć dowód. Skóra była twarda i mało wyrobiona, portfel musiał być nowy. Poczuła, jak jej dłoń poci się pod lateksem. W końcu się udało i trzymała kawałek plastiku w ręku.

Ze zdjęcia patrzył na nią facet, który leżał na dole wyrobiska z rozwaloną głową i raną kłutą klatki piersiowej.

„Robert Nęcki”, przeczytała.

Ten sam, który powinien teraz jechać TIR-em przez Europę. Ten sam, którego partnerka szukała zaginionej córki Eweliny.

ROZDZIAŁ 4

Zgrały się idealnie. Wiera zaparkowała w tym samym miejscu, co kilka godzin temu, wysiadła z auta i ruszyła w stronę bloku. Gdy zostało jej kilkadziesiąt metrów do klatki, zobaczyła idącą z naprzeciwka Joannę Krzysztofik. Tamta też ją dostrzegła; najpierw, na krótką chwilę, przystanęła, a potem zdecydowanie przyspieszyła.

– Dzień dobry! – powiedziała cicho, lekko zdyszana. – Czy coś... czy coś wiadomo?

Wiera zauważyła, że trzęsą się jej dłonie.

– Dzień dobry. Chodźmy do mieszkania, dobrze? – Dotknęła jej ramienia. Kiedy ma się komuś coś smutnego do powiedzenia, trzeba zadbać, by odbyło się to w możliwe najlepszych warunkach – znanym pomieszczeniu, w ciszy i spokoju. To korzystne nie tylko dla tego, któremu przynosi się złe wieści, lecz także dla tego, kto jest posłańcem. Wiera chciała zadbać również o siebie.

– Nie. – Z ramienia Krzysztofik zsunęła się na ziemię płócienna torba. Chwilę później sama kobieta wykonała podobny ruch – zwiotczała, zgięła się i skuliła w niezgrabnym przysiadzie. – Nie – powtórzyła, patrząc na Wierę. – Nie, nie, nie... – zaczęła płakać.

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie Jezierska, kucając obok niej. Zauważyła, że kilka osób zaczęło się im przyglądać. – Nie chodzi o pani córkę. Nie chodzi o Ewelinę. – Pokręciła głową.

– Ewelinie nic się nie stało? – Krzysztofik spojrzała na nią zażawionymi oczami.

– Nie. To znaczy nie mamy żadnych nowych wieści o pani córce. Nie o niej chcę porozmawiać. Chodźmy. – Podtrzymała jej łokieć i pomogła wstać.

– Pani Asiu, wszystko dobrze? – Z grupki obserwujących wysunęła się korpulentna starsza kobieta.

– Wszystko dobrze – odpowiedziała Wiera.

– Na pewno? Bo ja pani nie znam, a panią Asię tak i...

– Wiera Jezierska, Komenda Policji w Giżycku, właśnie mnie pani poznała.

Kobieta cofnęła się o krok.

– Bo teraz różne rzeczy się dzieją. Oszuści, co to przychodzą do domu, jakimiś perfumami spryskają, człowiek mdleje, a oni wszystko plądrują. Kradzieże na dziadka czy babcię, ciągle coś wymyślają...

– Znam panią. Pani jest z policji. – Joanna Krzysztofik podniosła z ziemi swoją torbę. Wciąż jeszcze dygotała, ale wzrok miała przytomniejszy.

– A, no chyba że tak. To miłego popołudnia. – Kobieta odwróciła się i poszła.

„Raczej się nie uda”, westchnęła w duchu Jezierska.

– Przepraszam, ale kiedy pani powiedziała, żebyśmy poszły na górę... – Krzysztofik nalała wody mineralnej do dwóch szklanek i jedną podała Wierze. Stały w kuchni, brązowo-kremowej, przed remontem.

„I tak już zostanie”, pomyślała Wiera, patrząc na kafelki wymalowane w jakiś rustykalno-sielski ornament. „Znowu będzie brak męskiej ręki w tym domu”.

– Przejdźmy do salonu, dobrze? – Kobieta wsypała do porcelanowej miski kruche ciastka.

„Jezu, no”. Policjantka miała wrażenie, że żołądek zaczyna przyklejać się jej do pleców, ale czy można się częstować słodyczami, jednocześnie informując, że partner leży nieżywy na dnie wyrobiska?...

Krzysztofik usiadła, Wiera odstawiła pustą szklankę na blat stołu.

– Doleję. – Podniosła się gospodyni.

– Nie, nie trzeba, dziękuję. – Wiera powstrzymała ją gestem dłoni. – Przychodzę w sprawie Roberta Nęckiego.

– Tak?... – Krzysztofik podniosła na nią spłoszone spojrzenie. Spłoszone i zdziwione.

Wiera zebrała się w sobie. „To w końcu lepiej, niż informować o śmierci córki”.

– Robert Nęcki nie żyje.

Kobieta wciąż na nią patrzyła. Zastygła – tkwiła nieruchomo, nic nie mówiła, nie płakała. Wyglądała na oszołomioną, ale Wiera była przekonana, że komunikat zrozumiała.

– Robert nie żyje? – odezwała się w końcu drżącym głosem. – Ale jak to? Przecież to nie on się... On jest w pracy, w trasie... Czy to jakiś wypadek? A może to pomyłka? Może jakaś pomyłka? – zaczęła mówić coraz szybciej.

– Poprosimy o identyfikację, ale dla formalności. To nie pomyłka, pani partner nie żyje. Od razu zapytam – kojarzy pani te przedmioty? – Wyciągnęła komórkę i pokazała jej zdjęcie dwóch z trzech torebek, do których włożyła rzeczy znalezione na terenie dawnej żwirowni.

– To jest... – Kobieta podeszła do niej i zbladła. – To jego... saszetka. Prawda? – Spojrzała na Wierę, jakby oczekiwała zaprzeczenia.

– To ja panią pytam. – Wiera odchrząknęła.

– Robert taką ma. Brązową, z dobrej skóry, markową. I portfel, do kompletu. Ale nie on jeden przecież, to produkcja masowa, więc... – Rozłożyła ręce.

– A to? – Teraz powiększyła fotografię srebrnej zapalniczki.

– To... – Krzysztofik najpierw odwróciła wzrok od wyświetlacza, a potem ponownie na niego popatrzyła. – To jest zapalniczka. Czy ona ma?...

– Napis? Ma. „Od A.”. To był prezent od pani? Od Asi?

– Ja... Tak, to ode mnie. – Zaczęła dygotać. Podeszła do okna, postąpiła przy nim chwilę, a potem wróciła do Wierę. – Jak? W jaki sposób? Gdzie on jest? – Stała teraz tuż obok Jezierskiej, jakby myślała, że bliższy kontakt ułatwi jej wydobycie z policjantki tych wszystkich informacji.

– W Spytkowie.

– Tu? Za Giżyckiem? – Wiera po raz pierwszy tego popołudnia usłyszała w wypowiedzi Krzysztofik coś, co wskazywało na silniejszy kontakt z rzeczywistością.

Kiwnęła głową.

– Ale jak to w Spytkowie? To w przeciwną stronę niż baza firmy. Co tam się stało? – Była ewidentnie zagubiona.

– Pani wie, gdzie to jest? Zna pani te tereny?

– Tak, znam. To znaczy wiem, gdzie to jest, bo ja jestem z Giżycka. Ale on chyba nigdy tam nie był.

– Raz na pewno. Przypuszczamy, że został zabity.

Krzysztofik zamarła. Patrzyła na Wierę już całkiem przytomnie.

– Zabity? A może utonął? Tam w okolicy jest przecież jezioro...

– Na dnie wyrobiska w dawnej żwirowni. Obrażenia wykluczają możliwość przypadkowej śmierci czy samobójstwa.

Krzysztofik powoli odwróciła się od Wiery i usiadła na kanapie. Skuliła się i ukryła twarz w dłoniach.

Jezierska podeszła do niej i po chwili wahania położyła jej dłoń na plecach.

– Przykro mi – powiedziała.

Śmierć Nęckiego specjalnie jej nie poruszyła – co prawda, oglądanie zwłok zawsze jest smutne, obrazy zostają w człowieku, ale trudno jej było wykrzesać wobec tego faceta jakieś cieplejsze uczucia. Wyglądał tak... mało pocziwie. W życiu by się przed nikim nie przyznała, że pozwala sobie na obracanie w głowie takich myśli – ona, policjantka.

Joanna Krzysztofik lekko się wyprostowała, odsunęła dłonie od twarzy. Nie płakała, ale wyglądała, jakby się nagle solidnie postarzała.

– Nie rozumiem. Tego jest za dużo. Za dużo... A kiedy on umarł? Bo przecież we wtorek wyjechał w trasę, to jak?...

– Nie wiemy, kiedy umarł, to wykaże sekcja. Wygląda jednak na to, że w ogóle nie wyjechał w trasę.

– To był rabunek?

Wiera pokręciła głową. Saszetka przecież się ostała, a niedaleko miejsca, gdzie leżały zwłoki, kilkadziesiąt metrów od asfaltówki, znalazła stare, wypucowane audi Nęckiego. Kluczyk z saszetki pasował. Samochód wyglądał na nietknięty. W bagażniku była torba z ubraniami, zapewne spakowana na wyjazd. W niej też były prezerwatywy – kolejne dwie paczki. O ile do tych w saszetce, na siłę, można jeszcze było podciągnąć Krzysztofik, to te z torby najwyraźniej miały być wykorzystane z kimś innym niż konkubina. Wiera postanowiła na razie nie dzielić się z nią tą wiedzą.

– Nic nie zginęło – ani pieniądze, ani dokumenty, ani samochód. Powód musiał być inny.

– Za dużo. Za dużo tego wszystkiego – powtórzyła Krzysztofik. – Najpierw Ewelinka, i nie wiadomo, gdzie jest, teraz Robert. Boże, o co w tym wszystkim chodzi?... – Kobieta zaczęła płakać.

„Też bym chciała wiedzieć”, pomyślała Wiera.

– Czy to się jakoś wiąże? – zapytała Krzysztofik, przecierając oczy.

– A jak według pani by mogło? – Wiera postanowiła odbić piłeczkę. Fakt, że w tym samym czasie ginie dwoje z trojga mieszkających razem i powiązanych ze sobą ludzi, jest zastanawiający. Prawie równoczesne zaginięcie Eweliny Krzysztofik i śmierć Roberta Nęckiego mogłyby być zbiegiem okoliczności, ale raczej w książce Historia niezwykłych przypadków, a nie w prawdziwym życiu.

Kobieta bezradnie pokręciła głową i znowu się rozszlochała.

Wiera uznała, że na tym etapie może zakończyć wizytę. Na razie nic więcej z niej nie wyciągnie. „Mogłabym ją jeszcze pocieszyć”, pomyślała. Podeszła do Krzysztofik i po chwili wahania delikatnie pogłaskała ją po ramieniu. To znaczy w założeniu miało być delikatnie, a wyszło jakoś kanciasto. Bycie czułą przychodziło Wierze z trudem.

– Wrócę do pani za dwie, trzy godziny, dobrze? Chciałabym jeszcze na spokojnie porozmawiać o pani partnerze. I o córce – dodała, stojąc już w progu salonu.

W spojrzeniu Krzysztofik dostrzegła smutek, którego nie potrafiła jednoznacznie ocenić – kogo, czego dotyczył? Jej samej, jej córki czy jej partnera?

– Remek, co robisz?

Wiera zastała posterunkowego przy biurku zawalonym papierami. Był w nie tak wpatrzony, że nawet nie usłyszał, kiedy zapukała i weszła. Dopiero gdy się odezwała, obrócił się w jej stronę ze swojego ciemnego kąta. Pomyślała, że ucieszą go przenosiny do jej pokoju – czeka go awans pod każdym względem.

– Papiery – wyjaśnił. – Z tego wypadku na Suwalskiej. Komendant...

– Zostaw je na razie, dobra?

– Ale komendant...

– Remek, jest po drugiej. Jest piątek. Połącz fakty.

– Po drugiej, piątek.

– Po drugiej, piątek, komendant. Co ci wychodzi?

– Wychodzi mi, że...

– Że nie musisz teraz robić tych papierów. Stary na pewno jest w drodze na działkę. Albo do córki i wnuczka. Albo gdzieś indziej, ale nie ma go na komendzie. Dokończysz potem lub w poniedziałek. A teraz bym cię prosiła, żebyś pojechał na Kazimierza Wielkiego, do...

– Do Czyżyka? Znowu?

– Nie. Do Krzysztofik. Znaczący nie do niej osobiście, tylko do sąsiadów z klatki. Pogadaj z nimi o Ewelinie i Nęckim.

– Ciekawe, że facet teraz akurat umarł – powiedział Staroń.

– Że został zabity. No, ciekawe. Więc idź i pogadaj. Nie sądzę, żeby wiedzieli, że umarł, chyba że Krzysztofik z kimś się przyjaźni i zdąży mu się wypłakać.

– A o co konkretnie mam pytać?

– O wszystko. Jaka jest córka, jaki ten facet, jacy oni we troje. Czy zgodni, czy były jakieś awantury, coś niepokojącego. Sam nie mów nic, masz powyciągać z ludzi informacje.

– Ale czasem, jak coś się powie, to ktoś się bardziej otworzy. Prawo wzajemności.

– Prawo wzajemności... – Westchnęła. Staroń ją jednak czasem rozczulał. – Dobra, Remek, bądź wzajemny, byle w granicach rozsądku. Nie dzwoń, jak skończę, sama do ciebie zadzwonię.

Gdy była już w drzwiach, zapytał ją:

– A ty dokąd jedziesz?

– Do Auto-Transu, firmy, w której pracował Nęcki.

„To równie dobrze mogłaby być siedziba firmy produkującej kostkę brukową”, pomyślała, parkując przed nowym parterowym budynkiem, ustawionym z boku gigantycznego parkingu, wyłożonego szaro-czerwoną kostką, na którym stało kilka TIR-ów. W głębi widać było okazały dom, do którego prowadziła równie wykostkowana droga, obsadzona tujami. Dokoła rozciągał się gładki trawnik. Wiera się wzdrygnęła; wiele złego mogła powiedzieć o swoim domu rodzinnym, ale nieuregulowaną, piękną naturę wokół niego lubiła. Czytała kiedyś artykuł, w którym była teza, że te wszystkie odnaturzone ogrody i ochłapy zieleni w miastach to wychodzenie z kompleksów wiejskiego pochodzenia. Ona też je miała, ale gdyby kiedyś zamieszkała w domu, gęsto i dziko obsadziłaby go roślinami.

Wysiadła z auta. Przez szybę zobaczyła, że w budynku administracyjnym siedzi jakiś facet. Weszła do środka.

– Dzień dobry, szef jest?

Mężczyzna spojrział na nią z zainteresowaniem. Był po czterdziestce, z piwnym brzuchem, na którym rozchodziła się bladoróżowa koszula. W pomieszczeniu intensywnie pachniało wodą kolońską, choć inną niż ta, którą wyczuła od Nęckiego.

– Dzień dobry. Jest, to ja, Marcin Sitarz. Słucham.

– Właściwie to szukam Roberta Nęckiego...

Facet lekko odchylił się na krzesło i uśmiechnął złośliwie.

– No to jest nas dwoje. A pani jest z nim jakoś związana?...

– Jestem z policji. Wiera Jezierska, Komenda Powiatowa w Giżycku.

Facet automatycznie się wyprostował, a po chwili wstał. Obszedł szerokie biurko i stanął obok Wiery.

– A stało się coś? – zapytał.

– Chyba tak, skoro pan się go nie doczekał.

– No nie doczekałem się i w sumie mnie to martwi. No dobra, bardziej się wkurzyłem, bo w Holandii czeka towar, warzywa i owoce, więc czekać za długo nie może, a on sobie robi jakieś obsuwy. – Widać było, że jest mocno niezadowolony z takiego stanu rzeczy. – I nawet telefonu nie odbiera, po prostu go wyłączył. No jak można być tak niepoważnym? – sapnął. – A ja tu siedzę, jak jakaś tępą pałą, i nie wiem, czy szukać zastępstwa, czy jeszcze poczekać, czy co. – Spojrzał na Wierę, jakby oczekiwał, że udzieli mu jakiejś rady.

– Trzy dni pan tak czeka? To te warzywa i owoce zaraz zgniją.

– Jak trzy dni? Od rana czekam. Dziś o szóstej miał wyjechać. – Facet był szczerze zdziwiony.

– Podobno miał ruszyć w trasę we wtorek.

– On tak powiedział? – Facet się zdumiał.

– Nie. Jego partnerka.

Marcin Sitarz trochę oklapł, jakby powietrze z niego zeszło.

– Dziś miał pojechać. W TIR-ze mamy ręczniki, miał je zostawić za Poznaniem, w magazynach, a w poniedziałek, bladym świtem, ruszyć dalej i pod Arnhem zabrać owoce i warzywa, i z powrotem do Polski.

– W piątek? I potem czekać gdzieś przez weekend?

Facet machnął ręką.

– Ja się nie mieszam w życie prywatne moich kierowców. Mówił, że jemu to pasuje, że ma coś pod zachodnią granicą do załatwienia. Jego sprawa, byle wszystko w pracy się zgadzało.

– Może kogoś miał? – Trzy paczki prezerwatyw sugerowały, że plany były szeroko zakrojone.

– Może, naprawdę nie wiem, chłopaki toby mogli więcej powiedzieć. Ja to się staram utrzymać ten biznes, a tu papierów, dokumentów i innych dupereli tyle, że ledwo dycham. – Rzeczywiście, facet dostał zadyszki. – A co się właściwie stało? – Nagle oprzytomniał.

– Właściwie to Robert Nęcki nie żyje.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

Westchnęła. Wyraz jego twarzy tak się zmienił, że nie miała ochoty na żarty.

– Naprawdę. – Pokiwała głową.

– Ale jak to? Wypadek? Bo chory raczej nie był, prawda?

– Badamy to, wszystko jednak wskazuje na udział osób trzecich.

Facet oparł się o biurko, a potem uklęknął na podłodze, złożył ręce i zaczął się modlić, zupełnie jakby jej nie było obok. Stała w milczeniu, patrząc na jego szybko poruszające się usta. Nie była zdziwiona, raczej... to zaskakujące, ale poczuła coś w rodzaju zazdrości, że istnieją takie błyskawiczne rozwiązania na trudną emocjonalnie sytuację, a ona się z nich wymiksowała. „Bo w nie nie wierzysz”, przypomniała sobie.

Po kilku dłuższych chwilach facet się podniósł i powiedział:

– Świeć, Panie, nad jego duszą. – Popatrzył na nią. – Nieładnie sobie o nim myślałem jeszcze nie tak dawno temu, naprawdę nieładnie, a on może już wtedy... No ale skąd człowiek miałby wiedzieć? To rzeczywiście tak jest, że się nie zna dnia ani godziny... – zasepił się.

– Długo pan go znał?

– Od kilku lat. Nie pamiętam dokładnie, cztery lub pięć. Pięć raczej. Zgłosił się do pracy, miał dobre CV, doświadczony, pewny siebie, nieobarczony rodziną.

– Był w związku.

– To tak, chyba tak, bo coś opowiadał, ale nie tak klasycznie, że żona, dzieci, jakieś obowiązki, takie prawdziwe. Zresztą jeśli chodzi o takie tematy, to lepiej z chłopakami, którzy jeżdżą, oni więcej o sobie wiedzą.

– Jest teraz ktoś?

– Nie, dziś już nie ma, ale mogę dać kilka numerów telefonów.

Kiwnęła głową. Wzięła kartkę, na której zapisał dwa nazwiska, ale pomyślała, że i tak lepiej będzie się umówić – podczas rozmów twarzą w twarz mogła więcej wycisnąć z rozmówcy. Działo prawo wzajemności, o którym mówił Remek.

W progu odwróciła się jeszcze do szefa Auto-Transu.

– Ma pan klucze do TIR-a, którym jeździł Robert Nęcki?

– Tak, oczywiście, drugi komplet.

– To poproszę. Oddamy, jak obejrzymy. I niech teraz nikt nie zbliża się do tego wozu.

– Tak, oczywiście. Ale kiedy to się wydarzy? Bo będę musiał kogoś nowego wziąć i auto będzie potrzebne. Śmierć jest okropna, to straszne, ale jednak życie toczy się dalej, no tak już jest i tyle. – Rozłożył ręce.

– W poniedziałek. I życie będzie mogło dalej się toczyć.

ROZDZIAŁ 5

– Cześć, Remek. I jak? – zapytała znad talerza z kaszą gryczaną z omastą i surówką z kiszanej kapusty. W Świteziance zostały już tylko końcówki potraw. To danie było kompozycją z resztek. Smakowało w sumie naprawdę nieźle i kosztowało sześć złotych, z kompotem. Zresztą po całym dniu na mineralce i dwóch batonach ze stacji benzynowej oraz tym przeleżałym cukierku sporo obniżyła wymagania kulinarne.

– Mam jeszcze dwa mieszkania. Właśnie skoczyłem na chwilę do sklepu po bułkę. Nie zdążyłem zjeść obiadu – dodał usprawiedliwiającym tonem. – Ludzie nawet mili, proponują kawę albo herbatę, ale samo picie tylko.

– Jasne. No to co masz?

– Sąsiedzi kiepsko kojarzą tego Nęckiego. Facet z parteru powiedział o nim „wyjazdowy”, ale on to w ogóle wspominał ciągle jej pierwszego męża. Znaczą Krzysztofa Krzysztofika. O matce i córce mówił tylko dobrze, to się zresztą przewijało w każdym mieszkaniu. Pod siódmką był tylko samotny emeryt, to znaczą chwilowo samotny, bo żona poszła do sklepu. „Spokojne, miłe obie panie. On, ten nowy wybranek, taki bardziej...”, jeśli dobrze usłyszałem, to „żigolak”. Kto to właściwie jest żigolak?

Kobieta w białym fartuchu i czepku na głowie podeszła do niej i teatralnym szeptem oznajmiła:

– O piątej zamykamy.

Wiera spojrzała na zegar ścienny. Miała dziesięć minut.

– To z francuskiego, sprawdź sobie, ja muszę teraz kończyć. Pogadamy jutro.
A, podjechać po ciebie?

– Będę pod komendą, tak najlepiej. O drugiej?

– Tak. No to na razie.

Rozłączyła się i weszła w Google'a. Wpisała: „żigolak”. Wiedziała, że gdzieś dzwonią, ale kościoły jej się myliły. „Żigolak – utrzymanek, czerpiący korzyści ze związku z kobietą”. „Emeryt chyba zazdrosny albo nie wie, jakie są pensje w urzędzie”, pomyślała i zaczęła energiczniej machać widelcem.

Dwadzieścia minut później po raz trzeci tego dnia podjechała na Kazimierza Wielkiego. Jej miejscówka była jednak zajęta. Musiała przez chwilę krążyć, żeby znaleźć inne miejsce. Zastanawiała się, w jakim nastroju zastanie Joannę Krzysztofik. Ta kobieta budziła w niej sprzeczne uczucia. Nie, to właściwie było źle powiedziane – uczucia budziła raczej dobre, ale mimo swojej prostolinijności sprawiała wrażenie, jakby coś ukrywała, pomijała, czegoś lub kogoś się bała. To wszystko jednak było tak samo rozmyte jak jej osobowość.

Nacisnęła guzik domofonu. Cisza. Odczekała moment i znowu zadzwoniła. Tym razem po chwili czekania Jezierska usłyszała zmęczony głos:

– Już otwieram.

Brzęknęło i weszła na klatkę.

Znowu znajdowały się w tym szarym salonie. Wierze wydawało się, że matka zaginionej i konkubina zamordowanego przez tych kilka godzin dopasowała się kolorystycznie do ścian. Wyglądała źle. „Ta rozmowa raczej nie poprawi jej nastroju”.

– Rozmawiałam z właścicielem Auto-Transu. Powiedział, że Robert Nęcki miał wyruszyć w trasę dziś.

Krzysztofik spojrzała na nią zdumiona.

– Jak to: dziś? Przecież wyjechał z domu we wtorek rano. I zaraz miał jechać do Holandii.

Kierunek akurat się zgadzał.

– Będziemy to jeszcze sprawdzać, ale wydaje się, że jednak naprawdę miał ruszyć w trasę w piątek. A jeśli tak, to jedynym wyjaśnieniem jest to, że ktoś nie mówi prawdy... – urwała.

– Ja? – Teraz Krzysztofik zbielała.

– A może Robert Nęcki? Może on panią okłamał? – Popatrzyła na nią pytająco. Twarz Krzysztofik nadal nie odzyskała poprzedniego, to znaczy szarego koloru.

– Ale dlaczego? – zapytała bezradnie.

– Może zna pani odpowiedź na to pytanie, tylko wolałaby pani nie dzielić się nią z nikim? – Przechodziła samą siebie, taka była delikatna. Nie sądziła, że tak potrafi.

– On naprawdę mi tak powiedział. Jeszcze w poniedziałek wieczorem, jak mu prasowałam koszule, to mówił, że rano rusza, bo daleko, chce jechać za dnia... A potem, we wtorek, wstałam z nim, zrobiłam mu śniadanie i jedzenie na drogę. I nawet zesłam na dół. Pocałował mnie w drzwiach klatki. I to wszystko po tym, jak miałby mnie okłamać? – Krzysztofik jakby nie usłyszała poprzedniego zdania wypowiedzianego przez Jezierską.

– Ludzie potrafią robić i mówić różne rzeczy.

Kobieta spojrzała na Wierę.

– Naprawdę nie zdarzyło się nigdy nic takiego, co by panią w jego zachowaniu zaniepokoiło? Nigdy się nie rozminął z prawdą? – Jezierska próbowała łagodnie wejść w temat.

– Ja... Ja wiem, że nie ma ideałów. I nie oczekiwałam cudów, ale... Rozumiem też, że każdy ma jakieś swoje sprawy, takie prywatne, do których innych nie dopuszcza, ale... A może nie chciał mnie czymś martwić? Może to jakieś sprawy zawodowe, jakieś porachunki, Boże, sama nie mam pojęcia. – Patrzyła na Wierę szklistymi oczami.

„Siła wyparcia”, Wiera miała przed oczami prezerwatywy z saszetki i torby podróżnej.

– A skąd pomysł o porachunkach?

– No nie wiem, no bo co by innego? To w końcu mężczyzna, oni mają różne...

– Właśnie: mężczyzna. Może chodziło o inną kobietę? – Wiera uznała, że już czas na odpowiedź.

Krzysztofik milczała. Jej twarz zastygła.

– Był taki moment – zaczęła powoli – że może i przyszła mi do głowy taka myśl, bo... bo kilka razy wrócił do domu później, niż miał, i nic nie powiedział, to znaczy jakoś tak naokoło odpowiedział. – Nerwowo zaplatała palce.

– Czyli mógłby się spotykać z kimś z Giżycka. Albo z okolicy.

– No nie wiem. – Ten szept był trudno słyszalny.

– Ale przypuszczenia pani ma?

– A dlaczego to takie ważne? – wybuchła Krzysztofik. – Robert nie żyje, Ewelinki nie ma, a pani mnie pyta o jakieś romanse, o których nie mam pojęcia!

– Ale podejrzenia pani ma?

– Nie. Tak. Może. Jaki to ma związek z tymi nieszczęściami?

– Może ma, może nie ma. – Jezierska była spokojna. Właściwie wolała, kiedy Krzysztofik się denerwowała, niż kiedy była taką budzącą litość niemotą. Litowanie się nad kimś robiło Wierze źle, bo zawsze było ryzyko, że jak zacznie współodczuwać, to dojdzie i do litowania się nad sobą. – Podobnie jak zaginięcie pani córki i śmierć pani partnera – widzi tu pani jakiś związek? Czy jest coś, co według pani mogłoby jakoś łączyć te dwie sprawy?

Krzysztofik zaczęła się lekko trząść, jakby była balonikiem, z którego schodzi powietrze.

– Nie mam pojęcia, naprawdę. Ja nic nie wiem... A wy jej szukacie, mojej Ewelinki? Szukacie jej? – Dotknęła ramienia Wiery.

– Szukamy. – To było trochę na wyrost, bo w pracy policji martwi zawsze są ważniejsi od żywych. – Na razie, przyznaję, bez większych sukcesów, dlatego każda informacja jest na wagę złota.

Krzysztofik milczała.

– Mogłabym obejrzeć rzeczy pani partnera?

Kobieta kiwnęła głową i wstała z kanapy. Powoli, mechanicznym krokiem, przeszła z salonu przez korytarz do pokoju, w którym Wiera jeszcze nie była – do sypialni. To pomieszczenie zdążyło już przejść remont. Było jasnoszare, większość metrażu zajmowało podwójne łóżko przykryte czerwoną puchatą kapą, naprzeciwko którego zamontowano szafę wnękową z dużym lustrem.

– Tu jest jego część szafy. – Krzysztofik przesunęła jedno skrzydło.

Wiera zobaczyła równo poukładane, odprasowane ubrania; część na półkach, część na wieszakach. Nie było tego dużo.

– Robert trzymał rzeczy i u siebie, to znaczy w Elblągu. Wymieniał je, jak się zmieniała pora roku. – Krzysztofik wpatrywała się w ciuchy, które zapewne sama wyprała, wyprasowała i schludnie poukładała we wspólnej szafie. Ciekawe, czy kochanka doceniała jej dbałość o garderobę Nęckiego.

– A gdzie jeszcze trzymał rzeczy?

– W szafce przy łóżku. W łazience. Lekki to w kuchni, bo zaczynał mieć problemy z ciśnieniem, ale się wyregulowało, więc lekarz pozwolił odstawić. I chyba tyle.

„Trochę jak nie do końca rozpakowany turysta”, pomyślała Wiera, przeglądając zawartość szafki nocnej. Znalazła tam tylko paczkę prezerwatyw, czyli korzystał z nich i w domu, paczkę chusteczek higienicznych i tabletki od bólu głowy. W łazience obecność faceta też była skromnie zaznaczona – woda kolońska, szampon i płyn do kąpieli dla mężczyzn oraz trzy ręczniki na kaloryferze zamiast dwóch. Wiera zastanawiała się, czy ten związek rokował na wspólną objazdową emeryturę; na razie przypominał raczej hotelowo-romansową relację.

– Niedużo tego. – Spojrzała na Krzysztofik.

– Bo pojechał w trasę. No i miał to drugie, to znaczy swoje mieszkanie, a u nas jest niewiele miejsca. – Sprawiała wrażenie, jakby się tłumaczyła z tego faktu. – A, jeszcze czasem chował rzeczy do pufa w salonie. Jakieś gazety, ładowarkę, różne takie...

Wiera weszła za nią do dużego pokoju. Do kanapy był przysunięty spory puf-podnózek. Gospodyni podniosła obciążoną szarym welurem pokrywę.

Wiera podeszła bliżej. Rzeczywiście, w środku były przede wszystkim gazety. „Auto-Moto”, „Detektyw”, „Logo”. Wyciągnęła je. Z jednej gazety wyleciał list. Spojrzała – był zaadresowany na elbląski adres i miał pieczętkę spółdzielni mieszkaniowej.

– Mieli na wiosnę zacząć modernizację – powiedziała Krzysztofik.

Wiera pokiwała głową. W pufie leżały jeszcze druty z zacętą dzierganiną i kilka motków wełny. Wiera zanurzyła w nich rękę, bo wydawało jej się, że pod nimi coś widzi. Wyprostowała się. Stała teraz naprzeciwko Krzysztofik z telefonem w ręku. Raczej damskim, sądząc po etui w kwiatki. „A może nawet dziewczęcym”, pomyślała.

– Boże, to Ewelinki!

Zgadzało się: dziewczęcy.

– Wie pani, dlaczego tu leży?

Krzysztofik pokręciła głową. Trzęsa się, widać było, że zaraz się rozpłacze.

– To jedyny telefon córki?

Kiwnięcie głową.

– Odkładała go tutaj?

Pokręcenie głową.

– A mogła go tu schować?

– Nie, chyba nie – odezwała się wreszcie kobieta. – Ewelina zawsze miała telefon przy sobie. Nie dla gier czy Internetu, tylko żeby być w kontakcie. Jeśli go nie wzięła, to... to gdzie ona teraz jest? – Krzysztofik się rozszlochała.

Bezradność. Lęk, samotność, obrzydzenie – do niego, do siebie, poczucie, że nic nie jest warta i widać zasłużyła sobie na taki los – to też ją wypełniało, ale bezradność była najgorsza. Żadnego światła w tunelu, a przecież ten tunel jest bardzo długi, bo ona jest młoda. Chyba że... Nie, ona chciała żyć, wciąż jeszcze chciała żyć, mimo wszystko.

„Gdzie ona teraz jest?”, to zdanie wracało do Wiery, kiedy siedziała przy swoim biurku i szukała informacji na temat Roberta Nęckiego. Facet był czysty. Trzy mandaty w ciągu ostatnich dwóch lat, zapłacone w terminie. Joanna Krzysztofik nie miała nawet prawa jazdy. Żadne nie było kiedykolwiek za nic karane.

Obróciła w palcach telefon dziewczyny. Był rozładowany albo popsuty, ale raczej to pierwsze. Nie wzięła go celowo czy ktoś jej go zabrał? Ale gdyby zabrał, to nie chowałby go w domu, więc to raczej ona sama. Przed czy po ewentualnym... Właśnie – czym: „ewentualnym”? Porwaniem, zamordowaniem, nakłonieniem do ucieczki? Ktoś jej coś zrobił, do czegoś ją namówił czy to wszystko to była jej inicjatywa? Wiera szukała żywej czy martwej Eweliny Krzysztofik?

A gdzie telefon Nęckiego? Zgubił go gdzieś, morderca mu zabrał?

Zabicie Nęckiego i zniknięcie dziewczyny musiały się jakoś łączyć, bo byłoby cholernie dziwne, gdyby się nie łączyły. Ale jak?

Facet ewidentnie miał na boku jakąś kobietę, a Joanna Krzysztofik, nawet jeśli nie była pewna, to miała solidne podejrzenia, o których jednak nie chciała mówić. Dlaczego? Wstydziła się? Woląca nie wypowiadać tej myśli głośno, bo musiałaby oficjalnie – znaczy oficjalnie przed sobą – podjąć jakąś decyzję: zostać z nim albo spakować te jego rzeczy w niedużą torbę i wystawić je na wycieraczkę. No ale to kiedy żył. A teraz nie żył i to już nie miało znaczenia, bo ktoś go wymiksował z jej życia. A może jednak coś było na rzeczy z „męskimi sprawami”? Może nie do kobiety się wybierał na te dni od wtorku do piątku, tylko na przykład robił jakieś lewe interesy? Za wiedzą szefa – przypominał się jej Marcin Sitarz klęczący na podłodze i modlący się – albo bez tej wiedzy? A prezerwatywy to była sprawa obok, może na jakiś przygodny lub płatny seks?

Podniosła się zza biurka. Dochodziła ósma, a ona czuła się bardzo zmęczona. Witkowskiego na pewno już nie było w pracy, ale mimo to postanowiła do niego zadzwonić.

– Hejka! – odebrał już po pierwszym sygnale.

– Cześć. Mam dla ciebie telefon. Tej samej dziewczyny, której laptop ci przyniosłam. I właśnie, może już zdążyłeś?...

– Trochę. Nawet miałem do ciebie dzwonić, ale jakoś tak...

– Trochę, czyli co wiesz?

– Trochę, czyli to, co po wierzchu. Same nudy – w poczcie jakieś koleżanki, jeden kolo, ale też wszystko takie grzeczne, jak z wypracowania normalnie. W wyszukiwarce matura, egzaminy, testy, wyniki, jakieś pytania, no po prostu szkółka. Nawet jakieś strony z religią, czy tam z mszą. Na pewno nie zabrałaś laptopa jej ciotki, emerytowanej katechetki?

– Na pewno. I to by w sumie do niej pasowało.

– Może. Ale może być i tak, że z wierzchu tak, a pod spodem jednak jakieś prawdziwe życie. Przyjdź w poniedziałek, będę wiedział. I ten telefon też obskoczę.

Leżała w łóżku. Przez otwarte okno wraz z chłodniejszymi podmuchami wiatru wpadały do pokoju głosy piątkowego życia na osiedlu. Było dopiero wpół do dziesiątej, a miała poczucie, jakby minęła północ.

Dla higieny pracy, zdrowia psychicznego i rozwoju wewnętrznego powinna poczytać, zresztą w tym celu zostawiała swój trójpak bibliotecznych książek przy łóżku.

Z komedii kryminalnej zrezygnowała. Od początku czuła, że to nie dla niej, zresztą czy lekarz by się śmiał, gdyby mu dać książkę o tym, że choroby są zabawne i w sumie to każdy potrafi sam się wyleczyć? Bibliotekarka poleciła jej także powieść. „To historia Żyda, który ucieka przed nazizmem do Anglii...”. Wiera już się spięła, przecież niedawno zawodowo przerabiała podobny wątek i czasem śniły się jej męczące, duszne sny z krwawymi obrazami, po których budziła się bardziej zmęczona niż przed zaśnięciem. „Nie, nie, to nie o tym. W gruncie rzeczy chodzi o to, że ten Żyd chce zostać prawdziwym Anglikiem”. To brzmiało lepiej; absurdalnie i lepiej. W każdym razie absurd bardziej jej pasował do prawdziwego życia niż komedia.

Sięgnęła po książkę. Nawet fajną miała okładkę, taką inną. Żadnego zdjęcia, żadnego człowieka, zwłaszcza kobiety. Obrazek wsi, pewnie angielskiej, ale tak ciekawie narysowany – kolorowe plamy, esy-floresy, dużo szczegółów. Zielona dolina. Ocknęła się. Do Zielonej Doliny, czyli do matki, ma jechać pojutrze, w niedzielę. I jeszcze nie dostała esemesa od Anki, która by jej o tym przypominała.

Ściągnęła telefon ze stolika. Nic, żadnej nowej wiadomości. „Cześć. Co u Ciebie?” Zawahała się. Mogłaby dopisać: „Zadzwoń”, ale wtedy Anka pewnie by pomyślała, że Wiera albo matka umierają, taki byłby to przełom w ich relacjach. Nacisnęła strzałkę i wiadomość została wysłana.

Znowu sięgnęła po książkę, lecz po chwili wpatrywania się w tę psychodeliczną okładkę poczuła, że zaczyna zasypiać. Pan Rosenblum musi poczekać.

ROZDZIAŁ 6

– Zenon Kielnia z tej strony. Byliśmy umówieni, ale...

– Ale? – Pasta do zębów skapnęła jej na T-shirt. Nie czarny, na szczęście, ale na szarym też będzie widać. „Kurwa”, zirytowała się. To był ładny, nowy podkoszulek z przyjemnej dla ciała bawełny organicznej. Nietani. I pasował idealnie do tramppek – też nowych i jeszcze bardziej nietanich. Uzależniła się od tej gwiazdki na kostce. Po pierwszej parze uznała, że jednak nie płaci tylko za logo – markowe rzeczy były po prostu trwalsze i lepiej zrobione. I ładniejsze. To w ogóle była zagadka – niby prawie takie same, a podróbę od razu odróżniała od oryginału. Może cały świat schodził na psy, może markowe rzeczy nie trzymały tej jakości co kiedyś, ale i tak trampki z gwiazdką były kilka razy lepsze niż trampki z bazaru.

– Ale pomyślałem, że jeśli to nie różnica, to wolałbym się umówić gdzieś indziej niż na komendzie.

– Bo? – Próbowwała zetrzeć pastę gąbką, ale niedokładnie ją spłukała i teraz pączkowały z niej bąble piany.

Nie najlepiej ten dzień się zaczynał. I jeszcze ten kierowca z Auto-Transu, który coś kręcił. Wczoraj nie chciał się spotykać w firmie, dziś dzwonił, że na komendzie też nie chce.

– No to już dwa miejsca panu nie pasują. Mogę przygotować oficjalne zaproszenie.

– Nie, nie, no dlaczego tak od razu? W pracy to mówiłem, że wolałbym nie. Nie wiem, o co pani zapyta, może coś drażliwego, a tu koledzy obok czy szef. A na

komendzie... Też bym wolał nie. Jakoś tak... i jeśli ktoś zobaczy, to jeszcze pomyśli, że mam coś na sumieniu, a ja...

– ...a pan nic nie ma na sumieniu. – Pomyślała, że może warto sprawdzić. – To gdzie?

– Niedaleko. W parku przy Warszawskiej. Przy fontannie, tej, gdzie fotograf. Ja nawet dziś mogę przyjść, mimo że to dzień wolny.

– Dla mnie też wolny.

Teoretycznie, bo przecież praca w tej firmie nie zna dniówek, ale nie będzie facet dowolnie rozporządzał jej czasem. W sumie jednak i tak nie miała nic do roboty w pierwszej połowie dnia. Ze Staroniem była umówiona na czternastą, wcześniej żadnych planów.

– To o pierwszej, w parku.

Odłożyła telefon. Ściągnęła koszulkę i zaprała plamę mydłem w płynie. Pastę wciąż było widać. Westchnęła i sięgnęła do szafki pod umywalką. Miała tam zaschnięty kawałek mydła galasowego. Wreszcie puściło. Osuszyła mokry materiał ręcznikiem i znowu włożyła T-shirt. „Doschnie naturalnie”, pomyślała.

Zenon Kielnia czekał w umówionym miejscu. Był żyłastym czterdziestolatkiem, który cierpiał chyba na nadaktywność, bo chodził alejką wte i wewte. Nie miała wątpliwości, że to on.

– Dzień dobry. – Podeszła bliżej. – Jezierska.

– Dzień dobry. – Zawahał się, czy ma jej podać rękę, czy nie; ostatecznie ruch wyciągniętej dłoni zmienił w gest, jakby chciał muchę odgonić. – Kielnia Zenon. Tu przyjemniej, nie?

„Jak Remek”, pomyślała. Choć nie, Staroń się uczył. Przestał wstawiać te wszystkie „nie” i „tak” na końcu i nawet przyswoił trudny wyraz „partykuła”. Do czterdziestki mógł osiągnąć naprawdę niezłe efekty. Tu nadzieja chyba już umarła.

– Chciałam z panem porozmawiać o Robercie Nęcim.

– O Robercie? – Kielnia aż przystanął. – A nie o... – zacukał się.

– A nie o czym? – Wiera też się zatrzymała.

– O firmie, czy ja wiem. – Wzruszył ramionami.

– A co tam takiego ciekawego?... – Postanowiła, że w poniedziałek sprawdzi jednak i Kielnię, i Auto-Trans.

– Tak ogólnie... No dobra, co ja się będę – szef miał jakieś kontrole na wiosnę, skarbówka, te sprawy, myślałem, że to pokłosie. – Ewidentnie odetchnął z ulgą.

Wierze znowu przypomniła się ta żarliwa modlitwa w biurze. Widać Boga szef Auto-Transu bał się bardziej niż Urzędu Skarbowego.

– A Robert... No, paskudna sprawa. Paskudna. Co tam się właściwie stało? Bo szef mówił tak, że nie do końca to jasne, czy on zginął przez kogoś, w sensie wypadku, czy przez kogoś – w sensie morderstwa.

– Drugi sens raczej. Ale to ja chciałam pana zapytać o różne rzeczy. Dobrze pan znał Nęckiego?

– Trudno powiedzieć. – Przeczesał włosy palcami, jakby się zastanawiał nad tym pytaniem. – Jak kolegę z pracy, tak powiem. Myśmy się w sumie rzadko widywali w bazie, częściej rozmowy w trasie były. Człowiek jedzie, droga monotonna, samotność doskwiera, to się kolegę wydzwoni i raźniej, nie? Na koniec zimy mieliśmy taką imprezę firmową. Weekend w domkach nad jeziorem, morsowanie, ognisko, kiełbasa, coś na rozgrzewkę, takie tam. Szef zasponsorował. I to właściwie był jedyny moment, żeby tak pogadać zwyczajnie, twarzą w twarz, dłużej i spokojniej.

– I czego się pan wtedy dowiedział o Robercie Nęckim?

– W sumie... W sumie to tego, co już wiedziałem. To był taki pozytywny facet. Zadowolony z życia, nigdy nie kwękał. Żartowny, dobrze pachnący, no, król życia można powiedzieć.

– Król życia? Ciągłe w trasie, robota jednak żmudna, sam pan powiedział... – Spojrzała na niego pytająco.

– Król, berło, te sprawy. Berło, rozumie pani, bo ono tak wygląda jak... – Kielnia spuścił wzrok na zamek od spodni i zaśmiał się tak, jak Wiera nie znosiła,

gdy śmiał się robiący aluzje seksualne facet. W ogóle nie znosiła facetów robiących aluzje seksualne.

– A coś więcej na ten temat? Bo ja znam tylko jeden jego seksualny podbój, jego partnerkę, z którą mieszkał w Giżycku.

– No, ja nie popieram, ale to jego życie. Zresztą spójrzmy prawdzie w oczy – gdyby był taki porządny, to czy by sobie pożył, znaczy użył? A tu – pyk i świeczka zgasła. – Strzelił palcami. – Mówił o domu „stała baza”, tak nazywał to miejsce. O partnerce prawie nie opowiadał... chociaż, zaraz, zaraz, o, już sobie przypomniałem – że pracuje w Referacie Komunikacji i jakby co...

– Jakby co „co”? – Tym razem Wiera przystanęła.

Kielnia też się zatrzymał. Chyba sobie uświadomił, że się zagalopował, a Jezierska zaczęła się zastanawiać, czy jest coś, czego Joanna Krzysztofik jeszcze jej nie powiedziała.

– Tak mnie pani za słówka łapie – poskarżył się.

– Ja? Uderz w stół, a nożyce się odezwą. Zna pan takie przysłowie?

– No znam, co mam nie znać. Tyle że kontakt z policją tak na mnie działa. Nie najlepiej. – Zrobił minę niewiniątka.

– Jakieś przykre doświadczenia? – zapytała kpiąco.

– A można mieć z wami jakieś przyjemne? – Teraz zdziwił się szczerze. – No dobrze, ale my przecież nie o tym. Więc ja Roberta Nęckiego znałem tylko trochę. Gdyby mnie pani zapytała o opinię, tobym powiedział, że on był z takich, co całe życie w podróży. I zawodowo, i prywatnie. Ustatkowanie to nie dla niego. Zawsze coś musiało się dziać.

Wiera przypomniała sobie jego ciało leżące na dnie wyrobiska.

Działo się, do końca.

– Gotowy?

Remigiusz Staroń kiwnął głową. Oczywisty gest, ale w tym przypadku mało przekonujący. Na popołudnie była umówiona w prosektorium z Józwikiem. Postanowiła zabrać Staronia. Stary kazał jej pracować nad tą sprawą razem z nim,

w poniedziałek zrobi z niego starszego posterunkowego, więc niech chłopak się wciąga w prawdziwe życie. Była w tym teoretyczna słuszność, ale było i coś z... Zastanowiła się – z „mściwej satysfakcji”. Pamiętała przecież swoje pierwsze zawodowe spotkanie z opracowywanymi zwłokami. Czy to jednak wina Remka, że nie ma kasy w budżecie, a ludzie nie chcą iść do pracy w policji? No nie. Spojrzała na niego z ukosa. Był blady od momentu, gdy zobaczyła go pod komendą.

Do tej pory jechali w milczeniu, ale im bliżej Olsztyna, tym częściej Wiera zerkała na posterunkowego. I to, co widziała, w końcu zmobilizowało ją do rozmowy.

– Rozmawiałam z kolegą Nęckiego z pracy – postanowiła odciągnąć jego myśli od tego, co niebawem miało się wydarzyć. – Wychodzi na to, że nasz denat miał bogate życie seksualne, nieograniczone do Joanny Krzysztofik albo wręcz z nią miał ograniczone. I że, być może, prowadził jakieś brudne interesy, choć tu już same domysły.

– Ciekawe, czy coś z tego sprowadziło na niego śmierć. – Remek odwrócił się w jej stronę. Wciąż był bladawy i jakby się trochę w sobie zapadł.

– Ciekawe. Może być, że ani jedno, ani drugie, ale doświadczenie pokazuje, że ludzie zwykle zapracowują sobie na śmierć.

Pokiwał głową.

– Żal mi tej kobiety. – Westchnął.

– Joanny Krzysztofik?

Kiwnął głową.

– Najpierw córka, potem konkubent...

– W sumie to nie wiadomo, jak to z kolejnością było. Józwik nam powie.

Minęli tablicę z napisem „Olsztyn”.

Remigiusz Staroń znowu zamilkł.

Westchnęła w duchu.

– Chodź – powiedziała, gdy zaparkowała przed budynkiem, w którym mieściła się Katedra Medycyny Sądowej.

Stali na korytarzu. Tu jeszcze pachniało w miarę zwyczajnie, ale i tak Staroń wyglądał, jakby miał ochotę osunąć się po ścianie i zalec na podłodze. Wiera przypomniała sobie swój pierwszy raz z trupem, już w pracy. Kosoń dał jej wtedy niezwykle aromatyczną miętówkę; pomogło – pół na pół – to, że Kosoń był empatyczny, i to, że olejek miętowy trochę przytłumił gnilną słodycz prosektorium.

– Remek, masz ochotę na gumę?

Spojrzał na nią zdumiony. Jego mina świadczyła o tym, że potraktował propozycję Wiery jak zaproszenie na rosół przy stole prosektoryjnym.

– Do żucia. Dla zapachu. – Nie chciała tak całkiem wprost mu składać tej antywymiotnej propozycji. – Jest miętowa. Superekstramiętowa.

Zrozumiał. Wyciągnął rękę po paczkę.

Drzwi się otworzyły.

Wiera z uznaniem spojrzała na Marka Jóźwika. Od ostatniego ich spotkania nie przytył ani w żaden inny sposób się nie rozlazł. Miała wręcz wrażenie, że jest w lepszej kondycji. Był taki jakby bardziej zwarty, umięśniony.

– O. Nowa konfiguracja. – Spojrzał na nich.

– Nowa. Szef, znaczy Janusz...

– Wiem, wiem. Dziś spotkamy się pewnie jeszcze raz?...

– W Starych Juchach?

Pokiwał głową.

– Szkoda, znaczy zawsze jest taki sam żal, jak ktoś w porządku opuszcza szeregi. Ale takie prawo natury. Ważne, żeby ta natura nie pomyślała, że teraz to człowiek jest już zupełnie nieprzydatny, i żeby go nie wyeliminowała. W pewnym wieku trzeba bardziej o siebie zadbać. Ja już teraz mam kijki i psa. Fulmar, opowiadałem?

Kiwnęła głową. Pamiętała też, że wtedy jej powiedział, że nikt jej nie pokocha tak mocno jak pies. Mógł mieć rację. Do tej pory miał, choć nie sprawiła sobie psa, ale co do facetów – sprawdzało się. Byle kundelek dałby jej więcej radości.

– Szef też dostał kije.

– To namówię go jeszcze na psa. Mój Fulmar to jedna z lepszych decyzji w życiu. Fotel i tak miałem wywalić, wyżarty bok tylko mnie zmobilizował. A pani sierżant wciąż sama, znaczy bez psa? – Przyjrzał się jej. I chyba mrugnął okiem, a może tylko jej się wydawało.

– Sama. Bez psa.

– A kolega?

– Remigiusz Staroń. Posterunkowy Remigiusz Staroń. – Remek automatycznie się wyprostował. – Też nie mam psa.

– Szkoda. Nie wiecie, co tracicie. A życie takie krótkie... – Obejrzał się za siebie, w głąb sali. – No to chodźmy, bo niedługo impreza i cały bigos nam zjedzą. Albo kaszanke.

Remek znowu przybladł. Zajął strategiczną pozycję, za plecami Wiery. Powoli przejeżdżał wzrokiem po pomieszczeniu, skrzętnie omijając stół i zwłoki Roberta Nęckiego.

– Coś więcej już wiadomo niż z opisu i zdjęć Motyki? – zapytał Józwik.

– Co do samego miejsca i narzędzia zbrodni – nie – odpowiedziała.

– Narzędzia... Raczej powiedziałbym: narzędzi.

– To od czego on właściwie umarł? – Zza pleców Jezierskiej dobiegł zduszony głos Staronia.

– I to jest bardzo zasadne pytanie – ucieszył się Józwik. – Generalnie i niezaprzeczalnie – facet umarł od uderzenia w głowę. Tępe narzędzie, z dużą dozą prawdopodobieństwa kamień. Masywny uraz twarzoczaszki. Upadek z wysokości trochę go pogruchotał, ale na pewno nie był przyczyną śmierci. Uprzedzając pytanie – nie wygląda, żeby się bronił. Żadnych otarć, siniaków, resztek pod paznokciami, które świadczyłyby o walce. Ciekawa za to jest sprawa rany klatki piersiowej. – Józwik dotknął palcem niedużego nacięcia. – To jednokrotnie zadany cios małym, choć ostrym i dość długim nożem.

– Na pewno nie to go zabiło? – zdziwił się Remek.

Wiera też by raczej obstawiała tę przyczynę śmierci. Zastanawiała się nad tym po pierwszych oględzinach zwłok i doszła do takich wniosków.

– Umarłby od tego, gdyby nie dostał w łeb – odparł Józwik. Podszedł do blatu pod ścianą i przyniósł leżącą na nim teczkę. – Ale na pewno nie od razu. Zresztą on sam raczej nie zdawał sobie sprawy z tego, jak to dźgnięcie jest niebezpieczne, bo... – Zamilkł i spojrzał na nich triumfująco-zachęcającym spojrzeniem.

– Bo?... – powtórzyła bezradnie Wiera. Nie lubiła być bezradna i nie lubiła się bawić w gry, w których nie miała szansy zwyciężyć.

– Bo on miał na tej ranie plaster – oznajmił Józwik.

– Plaster? Taki zwykły plaster? – zdumiał się Staroń.

– Zwykły, beżowy przyklepic na taśmie, spory kawałek, niezbyt równo ciachnięty, jakimiś tępymi nożyczkami, bo posiepany, pewnie cięty z rolki. O, taki.

– Wyciągnął z teczki zdjęcie, na którym było zbliżenie rany. Plaster był spory, poplamiony krwią, ale brzegi były dość dobrze widoczne – rzeczywiście, jakby poszarpane czy ząbkowane.

– Ale to chyba bez sensu... – Wiera próbowała wstawić ten fakt w ciąg przyczynowo-skutkowy. – Przecież on się sam nie zranił?

– Nie. Bez szans, nie wygiąłby ręki pod takim kątem. Cios zadano z góry, z siłą większą, niż gdyby sam próbował sobie pogrzebać ostrzem w mostku. Na pewno ktoś go zaatakował.

– Więc jeśli ktoś, znaczy morderca, najpierw go dźgnął, z oczywistym zamiarem, to potem by go zaklejał? To się kupy nie trzyma... Chyba że żałował, że to zrobił, bo to było w afekcie, potem przyszło szybkie opamiętanie, moment przełączenia z powrotem do rzeczywistości i ten ktoś postanowił nalepić plaster, jakby to było zdarte kolano, a nie odroczone wyrok śmierci. – Nie kleiło się jej to.

Józwik wzruszył ramionami.

– Tego wam nie powiem. Mogę rzucić garść szczegółów technicznych z mojej działki. – Podszedł do blatu, wyjął z teczki kartkę i zaczął czytać: – „W linii pachowej przedniej, tuż poniżej lewego gruczołu sutkowego, stwierdzono ranę

długości około dwóch i pół centymetra i szerokości około pięciu milimetrów. Stwierdzono również objawy płynu w lewej jamie opłucnowej oraz cechy odmy, a także powiększenie sylwetki serca. W osierdziu stwierdzono płynną krew i skrzepy w ilości około trzystu mililitrów. Stwierdzono także uszkodzenie mięszu (rana długości około jednego centymetra) dolnego płata płuca lewego. Ponadto stwierdzono ranę osierdzia długości około dziesięciu centymetrów i ranę lewej komory serca długości około jednego centymetra – oceny dokonano po szerokim otwarciu worka osierdziowego”.

– Po czymś takim naprawdę można żyć? – zdziwiła się Wiera. – Z tego opisu by wnikało, że to szybsza śmierć.

– Można, do kilku godzin. Można nawet wcześniej plasterek nakleić i pomyśleć, że będzie git. Jakby ktoś go nie stuknął w głowę i ktoś by go wcześniej znalazł, a karetka dojechała na czas do szpitala, to jeszcze by sobie pożył. A tak to... – Rozłożył ręce. – Musiał komuś zaleźć za skórę i chyba nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Co to za koleś w ogóle?

– Kierowca TIR-a. Jedyny pewnik na razie to to, że zdradzał konkubinę. W saszetce znalezionej niedaleko miejsca zbrodni i należącej do niego były prezerwatywy, w jego torbie podróżnej też, a kumpel z pracy powiedział, że lubił się zabawić. I może kręcił jakieś lody na boku – przemyt czy coś takiego.

– Pani sierżant ma szczęście do skomplikowanych spraw. I prostych facetów. – Jóźwik się uśmiechnął. – On mi się w ogóle wydał podejrzany. – Stuknął palcem w zdjęcie, na którym było widać skórzaną brązową saszetkę Nęckiego. – Kto teraz nosi takie pederastki?

– To on był tym... jak to, gejem, znaczy homoseksualistą? – Remek wysunął się zza placów Wiery. Zauważyła, że w rękę trzyma do połowy opróżnione opakowanie gum. – No chyba nie, bo przecież był w związku z tą Krzysztofik.

– E, no nie sędzę, to raczej typ macho. Te torebeczki to były modne, jak ciebie nawet w planach nie było. Lata siedemdziesiąte, pamiętam, jak się facetom zawsze coś smętnie majtało przy nadgarstkach. Od razu je ochrzczono pederastkami, że

take niemeńskie, a że dla ciemnego ludu geje i ci, co się lubują w bardzo młodych chłopcach, to jedno, no to poszło to w tę stronę i taka nazwa.

– Bez względu na nazwę miał tam prezerwatywy i wszystko wskazuje na to, że Robert Nęcki lubił korzystać z życia – stwierdziła Wiera.

– Ktoś jednak zdecydowanie chciał go pozbawić wszystkich przyszłych uciech.
– Józwik pogodnie się uśmiechnął.

– No dobra, to wiemy, że zabił go uraz głowy. A w jakiej kolejności to się odbyło – najpierw był nóż czy najpierw zepchnięcie? Wygląda na to, że facet się w ogóle nie bronił – stwierdziła Jezierska.

– Fakt, jak powiedziałem, nie ma śladów świadczących o tym, że stawiał opór. Pierwszy był nóż. Spadł później.

– To właściwie jest jeszcze bardziej skomplikowane – odezwała się Wiera po chwili namysłu. – Nie tylko przez ten cholerny plaster. Bo obok tego dużego wyrobiska jest mniejsze, to znaczy mniejszy dołek, taki dwa na dwa metry. Jakaś nierówność terenu, zresztą nieistotne. To obok niego znalazłam tę saszetkę czy tam pederastkę. A w nim samym zapalniczkę, też należącą do ofiary, a oprócz tego ślady, jakby ktoś tam siadał, kładł się, opierał, może upadł, zapewne on. – Spojrzała na ciało Roberta Nęckiego. – I wtedy mógł zgubić tę zapalniczkę, bo pewnie nosił ją w spodniach, było na niej włókno, obstawiam, że badanie potwierdzi, że z materiału, z którego zrobiono kieszenie.

– Ciekawe, co on tam robił, w tym małym dołku – odezwał się Staroń. Wciąż był blady jak sprane prześcieradło, ale trzymał się dzielnie.

– Może ktoś go napadł, zaatakował tym nożem, a on upadł... Mógł po takim dźgnięciu? – Spojrzała na Józwika.

– Mógł. Nie dlatego, że zemdłał, ale dlatego, że to jednak szok. Albo się potknął. Albo popchnął go – celowo lub nie – ten, kto zadał cios.

– Czyli mogło być tak, że morderca na niego napadł, on się wywalił w ten dołek, potem jednak się podniósł, morderca go opatrzył, później znowu zmienił zdanie i grzmotnął go w łeb, a na koniec zwałił do wyrobiska... – Kiedy to

opowiadała, miała lekko przymknięte oczy; tak łatwiej było jej się skupić. – Nie, tak nie mogło być – uniosła powieki – bo nie ma śladów ciągnięcia ciała po ziemi. Musiał go walnąć w głowę tuż nad brzegiem wyrobiska, a on się zachwiał i spadł. To by chyba pasowało?... – Popatrzyła na Jóźwika.

– Ciekawa koncepcja, choć na granicy ryzyka błędu. Plamy opadowe sugerują, że on umierał na leżąco.

– Na leżąco? W sensie, że nie od razu go to uderzenie w skroń zabiło?

– W sensie, że najprawdopodobniej został uderzony w głowę, kiedy leżał.

– Ale to... – Próbowała zrozumieć, co to znaczy.

– I żeby zbytnio nie ułatwić dochodzenia, dodam, że między zadaniem ciosu tym nożem a uderzeniem w głowę też upłynęło trochę czasu.

– Ile?

– Może pół godziny, może dwie, taki zakres bym przyjął. W każdym razie następstwo nie było natychmiastowe, co również potwierdza ten plaster. A tak ogólnie, to zmarł od siedemdziesięciu dwóch do dziewięćdziesięciu sześciu godzin temu, ten przedział czasowy.

– Czyli między wtorkiem rano a środą rano – policzył szybko Staroń.

Jóźwik kiwnął głową.

– Wtorek, środa – powtórzyła Wiera, zaabsorbowana jednak poprzednią kwestią. – A co do chronologii... To by znaczyło, że... – zawahała się – ...że początek by się zgadzał: cios, mały upadek, plaster... Potem luka, a finał taki, że on leży w wyrobisku, a morderca wali go kamieniem w łeb. Zamiast dźgnąć go jeszcze kilka razy.

– Mogłoby tak być – zgodził się Jóźwik.

– W sumie, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy na dnie tego dołu, to wyglądał tak luźno. „Jakby zasnął na słońcu po picciu”, powiedział facet, który go znalazł.

– Ale co on by tam robił na dole? – zdziwił się Staroń.

– Nie wiem, Remek, to właśnie musimy ustalić – co się wydarzyło w czasie, kiedy on czekał na śmierć. No i kto go zabijał na raty.

ROZDZIAŁ 7

– Zaraz, to chyba tu było. No i przejechałam, kur... – Pohamowała się. Zauważyła, że Remek nie przeklina i nie lubi słuchać wulgaryzmów. Wrzuciła wsteczny i ostro ruszyła do tyłu.

Staroń obejrzał się przez ramię.

– Sprawdziłam, czy nikogo za nami nie ma. – Uśmiechnęła się.

– Jakoś tak szybko, że nie zauważyłem... Zresztą co dwie głowy, to nie jedna.

– Nie, Remek. W aucie może być tylko jeden kierowca. I na razie jestem to ja.

– Znowu była podenerwowana. Słabe śniadanie i oszczędzanie sił na działkową wyżerkę to był jeden powód, drugi natomiast wynikał z natłoku myśli po wizycie u Józwicka. Niezły burdel z tym morderstwem. I jeszcze gdzieś w tę sprawę musiała wcisnąć Ewelinę Krzysztofik, bo gdyby miała kasę, toby obstawiła, że zaginięcie dziewczyny jakoś się z tą historią ze zwirowni łączy.

Gruntową drogą dojechali do posiadłości Ruberta. Łąka na poboczu wąskiej drogi była zastawiona autami.

– Cześć, szefie. – Wiera przywitała się z Kosoniem. Nie sądziła, że zadrży jej głos – a jednak.

– Cześć, Wiera. Już: eksszefie.

– Nie, szef zawsze... – Urwała. Ani ten cholerny zeszyt, w którym zapisywała nowo poznane, trudne wyrazy, ani te książki z biblioteki – nic nie pomogło, zabrakło jej elokwencji. A może odwagi. Albo umiejętności wyrażania uczuć.

„Albo tego wszystkiego razem”, pomyślała. – Trochę smutno – wykrztusiła w końcu.

– Naturalna kolej rzeczy. – Janusz Kosoń się uśmiechnął. – Czas dla młodych. Cześć, Remek. – Wychylił się do stojącego przy bramie Staronia. – Zresztą zobacz, czy tu nie jest ładnie? Fontanna szemrze, w stawie można nogi pomoczyć, ptaki śpiewają, grill się grzeje. I nawet mam dla ciebie oscypka, wegetarianko.

Ostatni raz oscypka jadła w zeszłym roku w Zakopanem, kiedy próbowała połączyć wszystkie nitki mazursko-podhalańskiej sprawy. Wtedy od razu wiedziała, że łatwo nie będzie, tu miała nadzieję na coś prostszego. „Uważaj na to, o czym marzysz”, to była jedna z ulubionych przestróg Przyzwan. Słuszna, jak większość uwag prokuratoroki.

Rozejrzała się; Maria Przyzwan stała obok Jerzego Ruberta, który przewracał mięso na grillu. Podeszła do nich.

– O, jesteś. Jurek, ściągnij ser, bo kapeć z niego zostanie. Trzymaj. – Podała Wierze dwa dość mocno już przypieczone oscypki, obok których pacnęła łyżkę żurawiny. – I jak? – zapytała, gdy Wiera zaczęła jeść.

– Dobrze, bardzo. – Rzeczywiście były smaczne.

– Żeberka nie chcesz? Zobacz, jakie ładne. – Rubert szczypcami podniósł przypieczone mięso.

– Nie, dzięki. – Nie była konsekwentną wegetarianką; zdarzały się jej odstępstwa od zielonej diety, ale teraz naprawdę nie miała ochoty na otłuszczone białko.

– To może kolega się skusi? – Emerytowany komendant spojrzął na Staronia.

– Posterunkowy Remigiusz Staroń. Nie mieliśmy wcześniej przyjemności...

– To już mamy. Co ci dać, synu – żeberko czy kaszanekę? Kaszanekę też polecam, kumpel robi. Z wczorajszej produkcji, świeża krew, można powiedzieć.

Remkiem wstrząsnął delikatny dreszcz.

– Jedziemy prosto od Józwika. – Wiera poklepała posterunkowego po plecach.

– Ten kierowca?... – zainteresowała się prokuratoroka.

– Robert Nęcki. – Kiwnęła głową Wiera.

– I co macie? Ja wpadnę do trupiarni w poniedziałek rano, bo dziś miałam kolizję z sądem.

– Wszystkiego w bród. Dwa narzędzia zbrodni, która rozciągnęła się w czasie. Najpierw nóż, po którym zapewne upadł, ale się podniósł i jeszcze dał sobie zakleić ranę plastrem. Potem coś, a później zaległ na dnie wyrobiska i tam morderca rozwalil mu głowę. To wszystko trwało nie mniej niż pół godziny i maks dwie, a wydarzyło się między wtorkiem a środą.

– Ciekawe... – Przyzwan usiadła na drewnianej ławie przy stole. Wiera i Remek dołączyli do niej. Prokuratorka wyglądała inaczej niż w pracy – w dżinsach, T-shircie i bez makijażu sprawiała wrażenie delikatniejszej. – Bardzo ciekawe, bo morderca jakby nie mógł się zdecydować – czy i jak zabić. Co nam to o nim mówi? – Popatrzyła na Wierę.

– Z wyglądu rany i przypuszczalnego przebiegu zdarzeń mówi to nam, że ma około metra sześćdziesięciu pięciu, jest albo niezbyt silny, albo starszy i chyba działał pod wpływem emocji, bez przemyślanego planu. A to by znaczyło, że ewentualne męskie porachunki, jakoś zasugerowane przez konkubinę i możliwe w świetle tajemniczych spraw Nęckiego, nie pasują do tej zbrodni – stwierdziła Jezierska.

– Mnie się nasuwa pytanie, dlaczego ktoś zabijał go na raty – powiedziała Przyzwan. – I dlaczego Nęcki się nie bronił, jakby po każdym kolejnym ataku uznawał, że to nic takiego. Albo jakby nie był w stanie się obronić. Był związany, odurzony?...

– Związany nie, może ewentualnie otumaniony, jak Józwik skończy, to będzie wiadomo. Może Nęcki po prostu znał mordercę?

Prokuratorka pokiwała głową. Ukroiła sobie kolejny plasterek kaszanki.

– I może nie traktował jego grózb serio. Nawet tego pierwszego ataku z nożem.
– Wiera próbowała poukładać jakoś w głowie tę rozsypankę.

– Mogłabym tak obstawić. I jaki wniosek byś z tego wysnuła?

– Że był zadufany w sobie.

– Nie o nim, tylko o napastniku. – Przyzwan odłożyła sztucce na brązowy gliniany talerz, już pusty.

– Że... że mógł być kobietą. – Wiera od razu pomyślała o zaginionej dziewczynie.

Po minie Przyzwan poznała, że prokuratorka odgadła jej myśli.

– To jest zastanawiająca koincydencja. A jakbyście to połączyli?

– Ale co? – zaniepokoił się Staroń. – Co znaczy ta, ta... koincośtam?

„Niech pyta”, pomyślała Wiera. Sens rozumiała, wyrazu nie знаła.

– Przypadek. Zbieg różnych wydarzeń. Filozofowie mówią, że koincydencja jest wtedy, gdy dzieje się coś dziwnego, co jest niezależne od znanych nam praw fizyki. Na przykład, to już nie filozofowie, siedzisz w robocie i masz ochotę na ruskie, wracasz do domu, a tam mama podaje ci co?...

– Ruskie? – upewnił się Staroń.

– Właśnie. Tu prawie jednocześnie znika dziewczyna i znika facet, z jednego mieszkania. Przypadek? On nie żyje, a ona?...

– Ale według tego, co matka opowiadała, to między nimi było średnio, raczej obojętnie. Tolerowali się. Nie było powodu, żeby się nawzajem powybić. Chyba.

– Wiera się zawahała. Wciąż czuła niedosyt wiedzy na temat tej trójstronnej relacji. Krzysztofik była skrytą osobą.

– Więc może chodzi o coś przeciwnego? – zasugerowała Przyzwan.

– Przeciwnego? – Wiera nie zrozumiała. – A! – Dotarło do niej. – Nie, zupełnie tego nie czuję. Facet jej nie akceptował, potem dopiero jakoś się uładziło. Nie sądzę, żeby ona była nim zainteresowana. On nią to może tak – przypomniły się jej te prezerwatywy – bo najwyraźniej lubił sobie pobzykać, ale ona? No nie.

– Ale ona mogła się w niego zapatrzeć, tak czy owak. Emocje nie liczą się z logiką. Brak ojca, każdy dojrzały facet, nawet dupek, mógł jej zaimponować. Rozstała się ostatnio z chłopakiem... – Przyzwan znacząco nie dokończyła.

– To by mogło pasować. – Staroń się ożywił. – Zostawiła chłopaka dla innego, na przykład dla tego faceta. Pamiętasz, Wiera, jak mówiłem...

– Mnie się to nie klei – przerwała mu Jezierska. – Ale nawet, hipotetycznie, gdyby się zapatrzyła, to czy chciałyby go zabijać?

– Jeśli ją odtrącił, bo był lojalny wobec jej matki? – zapytał Remek.

– On lojalny? – Wiera prychnęła. – Zapomnij, Remek. To musi mieć związek, od początku to powtarzam, ale nie mam pojęcia jaki. – Wzruszyła bezradnie ramionami.

– No, Wiera jest przekonana, że to się łączy. – Staroń odkroił kawałek żeberka. Po chwili zawahania włożył go sobie do ust. Uśmiechnął się błogo. – Rewelacja – powiedział w stronę przechodzącego Ruberta.

– Mamy dużo, wieczór młody, jedz. – Stary komendant zaczął układać kolejne kawałki mięsa na skwierczącym ruszcie.

– A ty nie jesteś przekonany? – Przyzwan spojrzała na posterunkowego.

– Nie mam pojęcia. Ta dziewczyna to chodzące dobro, tak wszyscy o niej mówią, a ten facet – chyba wręcz przeciwnie. Więc jeśli nic do siebie nie mieli – ani on do niej, ani ona do niego, no to o co by chodziło? – Staroń mocował się z kością żeberka.

Wiera poczuła nieprzyjemny dreszcz na plecach. Było coś takiego, o co mogło chodzić. Coś, co sama dobrze знаła. Na razie jednak nic nie wskazywało na taki trop.

– Matka nam czegoś nie mówi. – Odchrząknęła i oderwała z kromki kawałek skórki. Chleb był bardzo smaczny, na pewno nie z supermarketu, a mimo to chwilowo straciła apetyt. – Czegoś, co może mieć wpływ na obie te sprawy. A w przypadek nie wierzę. Jakiś węzeł musi być.

Przyzwan się uśmiechnęła.

– Gdybym była jak Coelho, tobym powiedziała, że nic na świecie nie dzieje się przypadkowo. Ale nie jestem, więc powiem, że to, co przypadkowe, zwykle okazuje się potem koniecznością.

– Rany, wy po pracy o pracy? Nawet wtedy, kiedy odchodzę na emeryturę? To się zdarza raz w życiu. – Przysiadł się do nich Janusz Kosoń. – Porozmawiajmy o czymś ciekawszym. Na przykład o nordic walkingu. Albo o zakładaniu pasieki. Albo o robieniu nalewek.

– Zaczynasz mnie przekonywać. – Przyzwan się zaśmiała.

– Przekonasz się do końca, jak wjedzie kwas chlebowy. Zapytaj Wierę.

Jezierska pamiętała ten smak. Był rewelacyjny. Kosoń miał rację – trzeba dać sobie oddech, na chwilę się wymiksować. Kto jest cały czas w pracy, jest nieefektywny.

– Remek, chcesz być kierowcą w drodze powrotnej? – Zauważyła, że Kosoń postawił na ziemi skrzynkę schłodzonego piwa, i sięgnęła do kieszeni dzinsów po kluczyki. Posuwistym ruchem pchnęła je przez stół do Remka.

– Jurek ma piwniczkę. Przyjemny chłód procentów. – Komisarz złowił jej spojrzenie. – To co najpierw?

Odezwał się dzwonek telefonu.

Wszyscy się poruszyli.

– To mój. – Wiera sięgnęła do płóciennej torby, którą położyła obok siebie. – Z roboty – zdziwiła się. Odebrała i przez chwilę słuchała rozmówcy. – No dobra, to by było tyle. – Podniosła się niechętnie. – Remek, oddawaj kluczyki, jedziemy. Zgłosił się Tomek Czyżyk, podobno jest roztrzęsiony. Ma coś pilnego do powiedzenia na temat zaginionej.

Bała się. Bała się. Bała się. Bała się...

ROZDZIAŁ 8

– Ja... czy ja mógłbym porozmawiać tylko z panem? – wyszeptał chłopak i mimowolnie obejrzał się na sierżant Jezierską.

– No... – Teraz za tym spojrzeniem powędrowało także spojrzenie Remigiusza Staronia.

– Nie. – Ich wątpliwości rozwiązał krótki i stanowczy sprzeciw Wiery.

Staroń najpierw rozłożył bezradnie ręce, potem pokiwał głową, a na koniec nią pokręcił.

– To co takiego pilnego chciał nam pan powiedzieć, że nie mogło to poczekać do poniedziałku rano, tylko zaciągnęło nas na komendę w sobotę o dwudziestej siedemnaście? I co może usłyszeć tylko funkcjonariusz policji, broń Boże funkcjonariuszka?

„Gnojek jeden. Kolejny, który uważa, że sprawy załatwia się z facetem, a kobieta to się nadaje na sekretarkę”. Była zła. Miała potrzebę sobotniego resetu, naprawdę chciała pożegnać Kosonia i jeszcze liczyła, że z rozmów z Przyzwan, byłym szefem, a może i Rubertem wyniknie coś, co pozwoli pchnąć sprawę Nęckiego do przodu. A tu się zjawia ten chłopaczek i odstawia, jakby to powiedziała Przyzwan, maczystowski cyrk.

– To nie... znaczy ja... nie w sensie... – Chłopak zupełnie się pogubił.

– Dobra. – Trochę odpuściła. Jak ma coś ważnego do wyznania o Ewelinie Krzysztofik, lepiej, żeby się nie zaciął w sobie. – W czym rzecz? O czym pan nam

nie powiedział?

– Więc chodzi o to, że to nie do końca było tak, że Ewelina mnie zostawiła – wydukał, patrząc w podłogę.

– Jak bardzo było inaczej? – zapytała Jezierska.

– No, było trochę inaczej. – Czyżyk w końcu podniósł wzrok, ale mimo że odpowiadał na pytanie Wiery, to wpatrywał się w Staronia. – To ja ją zostawiłem.

– Fakt. To jest inaczej. Trochę inaczej. A to trochę to sto osiemdziesiąt stopni – zakpiła Wiera. – Teraz sobie pan przypomniał, jaka była prawda? A wcześniej bez problemu składał pan fałszywe wyjaśnienia? Oj, ale, jaki pech, okłamywanie funkcjonariusza policji, nawet tak miłego, jak posterunkowy Staroń, ma swoje konsekwencje. I one już miłe nie są. – Schodziło z niej napięcie mijającego tygodnia. Miała ochotę dowalić temu chłopczkowi.

– Nie teraz, nie. – Czyżyk w końcu spojrzał na nią. Widziała, że jest przestraszony. – Ja od razu wiedziałem, jaka jest prawda, tylko się przestraszyłem. Bo kiedy Ewelina zniknęła, to nagle wszystko zaczęło wyglądać inaczej. To znaczy już wcześniej zrobiło się niefajnie, ale jeszcze miałem nadzieję, że... że to się rozejdzie po kościach. Że jednak nie...

– Co: nie? Co miało się rozejść po kościach?

– No cała ta sprawa...

– Dlaczego pan mnie okłamał? – Staroniowi w końcu udało się dołączyć do dyskusji.

– Bo jakoś tak... Głupio to wyszło. To znaczy głupio mi się zrobiło, że tak ją potraktowałem.

Remek pokiwał głową, z, jak się Wierze wydało, ludzkim zrozumieniem. Miał go zdecydowanie więcej niż sierżantka.

– To takie czyste wyrzuty sumienia czy jednak za nimi coś stoi? – Wiera była czujna, jak zawsze.

– No bo gdyby ona, znaczy Ewelina już się znalazła... ale się nie znalazła. I do tego jeszcze ten jej ojczym nie żyje, więc to wszystko razem się pokomplikowało

i wiem, że policja znowu będzie pytać, więc to w końcu wyjdzie na jaw, że powiedziałem nieprawdę – wydusił z siebie.

– Zaginięcie pana byłej dziewczyny ma związek ze śmiercią Roberta Nęckiego?
– zapytała Wiera.

– Nie, chyba nie. No bo jaki?

– To my pytamy. A dlaczego pan ją zostawił?

Chłopak znowu zaczął się wpatrywać w swoje buty. Ładne, czyste, markowe. Wiera kojarzyła te dwie litery; kosztowały więcej niż jej jedna gwiazdka. Nastolatek, a ubrany lepiej niż pracująca kobieta.

– Bo się trochę posprzecaliśmy.

Wiera spojrzała na Staronia. Tym razem oboje pomyśleli to samo.

– Posprzecaliście się i ona potem zniknęła? – dopowiedziała Jezierska.

– Tak. To znaczy nie. To znaczy i tak, i nie. Bo po raz pierwszy posprzecaliśmy się trochę wcześniej, a potem to już tak jakoś...

– A o co się posprzecaliście? – zapytała.

Chłopak podniósł głowę. Wciąż siedział zgarbiony, ale teraz patrzył prosto na Jezierską.

– Bo Ewelina była w ciąży. To znaczy tak podejrzewała.

Wiera poczuła dreszcz. Wreszcie coś, jakiś konkret.

– Kiedy o tym rozmawialiście?

– Pierwszy raz to jakieś dwa tygodnie temu chyba, może trochę dawniej? Bo... bo... no okres jej się spóźniał. Wtedy to jeszcze bez stresu, ale potem... nic się nie zmieniało, wciąż go nie było i Ewelina zaczęła pytać, co robimy, ale przecież co ja mogłem?

– Fakt. Zupełnie nic. – Wiera poczuła, że zaczyna się gotować.

– To jest sprawa kobiety, zresztą ja nie wiem, jak to w ogóle możliwe, bo myśmy się zabezpieczali, znaczy ja się zabezpieczałem. – Chłopak się wyprostował i usztywnił.

– Czyli to męska sprawa poszła nie tak.

– Nie, właśnie nie, więc jeśli to było dobrze, to... to co ja miałem sobie pomyśleć? – Odzyskiwał rezon.

– Że żadna antykoncepcja nie jest w stu procentach skuteczna, więc należy wliczyć ewentualną wpadkę? Tak sobie zgaduję. – Wiera poczuła, że jej kolano rytmicznie się zgina. Nic nie mogła poradzić na to, że ten chłopaczek ją wnerwiał. – To jak to było: ona powiedziała, że powie mamie, urodzi bez względu na wszystko, a pan chciał zachować tajemnicę i nie mieć dziecka, więc zaczęliście się kłócić, emocje wzięły górę i... – Urwała, patrząc na niego wyczekująco.

– Nie, no nie! – Tomasz Czyżyk poderwał się z krzesła. – Ja wiem, co pani chce powiedzieć, ale to nieprawda. Ja jej nic nie zrobiłem, przysięgam! Nie mógłbym, naprawdę bym nie mógł. Ona była w sumie w porządku, naprawdę. Miła, spokojna, ładna. To wcale nie jest częste. Gdyby nie ta sytuacja... Pokłóciliśmy się, bo ona powiedziała, że jeśli jest w tej ciąży, to nie usunie, bo nie wolno, to grzech, zresztą tak jej mówi sumienie. Ja próbowałem tłumaczyć, że studia, że tego nie da się połączyć, że to nie jest dobry czas. Nie mogliśmy się dogadać, w końcu ona sobie poszła, bo myśmy rozmawiali na ulicy.

– Kiedy to było?

– W poprzedni poniedziałek.

– Czyli widział się z nią pan po maturach – wtrącił Staroń.

Chłopak kiwnął głową. Pewność siebie znowu go opuściła.

– To już była kolejna rozmowa. Na ten sam temat. Bo to wciąż było niewyjaśnione. Znaczy ona nadal nie miała tego okresu. Już sporo ponad tydzień po terminie, a nie chciała zrobić testu i jakoś tak gwałtownie to się odbyło, znaczy emocje były złe, ale po prostu sobie poszła. Poszła i tyle. Już więcej od tamtej pory jej nie widziałem. Przysięgam! – Wiera miała wrażenie, że chłopak zaraz padnie jej do nóg i pocałuje trampki.

– A co pan robił w ostatnią środę? – zapytała, opanowując emocje. Nie może się nakrecać, to zaburza ogląd sytuacji.

– Byłem w Olsztynie, znaczy na uczelni. W sprawie studiów. W sekretariacie, to dotyczyło dokumentów, sekretarka na pewno mnie pamięta. No i byłem z ojcem, bo pojechał ze mną, a potem jeszcze poszliśmy do mojej ciotki na obiad, bo ona mieszka w Olsztynie, i wróciliśmy dopiero wieczorem, już było ciemno. Więc wtedy, kiedy ona zaginęła, to mnie nie było w Giżycku – zakończył prawie triumfalnie.

Wiera poczuła się jak przekłuty balonik. Sprawdzą to alibi, ale o ile ciotka i ojciec mogliby kłamać, to pracownica sekretariatu raczej nie.

– No to... – zaczął niepewnie Staroń.

Wiera powstrzymała go ruchem dłoni.

– A co pan wie o relacji między Ewelina a jej ojczymem?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Niewiele. Prawie w ogóle o nim nie mówiła. Nie lubiła go. Uważała, że on nie jest odpowiedni dla jej matki.

– A mówiła dlaczego?

– Że mama jest taka dobra – i to fakt, to bardzo miła kobieta – a on typ cwaniaka. I że za grosz mu nie ufa. Że to koleś, który by własną matkę sprzedał. Bez zasad.

– Podawała przykłady?

– Nie... To było tak po prostu mówione. Zresztą Ewelina była dość skryta.

– Nigdy nie powiedziała... albo inaczej; nigdy nie zauważył pan, że ona jednak mogłaby go lubić?

– Lubić? – Czyżyk wyglądał na zagubionego. – Nie, no przecież powiedziałem. I jeszcze mówiła, że jakby coś się stało, to matka by nie mogła na niego liczyć.

„To zupełnie jak Ewelina na ciebie”, pomyślała Wiera.

– To na razie wszystko. Pewnie będziemy chcieli jeszcze z panem porozmawiać, więc proszę sobie nie robić na razie żadnych wakacji. – Wiera podniosła się z krzesła.

Chłopak też powoli wstał.

– A czy to mogłoby nie być w domu? Bo rodzice...

– Mogłoby – odpowiedziała wbrew sobie.

– Wiera... – Staroń poczekał, aż za Czyżykiem zamknęły się drzwi. Patrzył na nią jakoś dziwnie.

– Wiem, kawał drania. Lękliwego drania.

– Tak, to też, ale... On się ciebie bał. W sensie, że go docisnęłaś.

Tak, to, co Jezierska widziała w oczach Staronia, to był podziw. Zrobiło się jej miło.

– Byłaś jak pani prokurator.

Teraz zrobiło się jej cholernie miło. Remek nie wiedział, ile stresu kosztowało ją samodzielne, znaczy bez Kosonia, prowadzenie sprawy. Nie wiedział też, jak często się zastanawiała, co by w takiej sytuacji powiedziała lub zrobiła Przyzwan.

– Uczę się od najlepszych. – Klepnęła go w ramię, niby od niechcienia. Wzruszenie to nie była ta cecha, którą chciałyby pokazywać Staroniowi.

– A myślisz, że on może mieć związek z jej zaginięciem? Czy mógłby ją?... – Posterunkowy zawiesił na niej spojrzenie.

– Myślę, że jest po prostu dupkiem, a nie mordercą czy porywaczem. – Wiera sięgnęła po bluzę. – Jest późno, ale pojedziemy do Joanny Krzysztofik.

– W ciąży? – Kobieta wyglądała, jakby miała nie przetrzymać trzeciego ciosu w tym tygodniu.

Siedziała na kanapie w salonie i patrzyła na nich tak, jakby ich nie widziała.

– Prawdopodobnie, nie miał pewności. A pani nic nie podejrzewała? – Wiera widziała, że Staroń przycupnął stłamszony, obserwując, jak kobieta cierpi. Jej też było nieprzyjemnie, ale gorsze było, że choć mieli coraz więcej tropów, to prowadziły ich one donikąd. Nęcki nic już im nie powie, Ewelina – na razie – też nie, dlatego tak ważne było to, żeby docisnąć matkę. – Przepraszam, ale to istotne w świetle jej zaginięcia. – Wiera przesunęła krzesło i siadła naprzeciwko kobiety.

– Istotne, prawda. Ale ja naprawdę nic nie wiedziałam. Naprawdę.

Wierze w końcu udało się nawiązać kontakt wzrokowy z Krzysztofik, miała jednak wątpliwości, czy matka Eweliny jest w kontakcie z samą sobą.

– Nic? Córka nie czuła się źle? Nie było jej niedobrze? Nie chodziła zapłakana? Nic nie wzbudziło pani podejrzeń?

– Nie. Ewelinka nigdy nie sprawiała problemów. Nigdy. To było, wie pani, takie dobre dziecko, od samego początku. Więc z czasem tak przywykłam do tego, że ona jest samoobsługowa, jak to się mówi, że może przestałam tak baczenie się jej przyglądać. W szkole zawsze ją chwalili; inni rodzice szli, żeby słuchać uwag, ja – po pochwały. W liceum to samo. Od sąsiadów – to samo. Koleżanki – też. I nawet ten Tomek... – Jej ramiona zaczęły niebezpiecznie drżeć. – Jak jakieś dziecko nie sprawia żadnych problemów, to się robi takie trochę... przezroczyście?

„Przezroczyście dziecko”. Wiera to знаła. Też była „przezroczystym dzieckiem”. Zejść ojcu z oczu, nie dokładać zmartwień matce, w obu przypadkach – zniknąć. W pierwszym – z ulgą, w drugim – z bólem. Przed czym uciekała Ewelina Krzysztofik?...

– A co, według pani, córka by zrobiła, gdyby naprawdę była w ciąży? Powiedziałyby pani? Chciałyby urodzić dziecko? Usunąć?

– Ja... – Krzysztofik widocznie się wahała.

– Nie prowadzę dochodzenia w sprawie ewentualnej nielegalnej aborcji, tylko szukam pani córki. I tylko prawda może jej pomóc.

– Nie, Ewelinka na pewno by nie usunęła ciąży. Na pewno. Ona jest wierząca i dobra, ja to pani mówiłam, i to jest najświętsza prawda. – Kobieta złożyła ręce jak do modlitwy.

– A powiedziałyby pani?

– Tak bym odpowiedziała, ale widać nie powiedziałam, co znaczy, że nie byłam tak dobrą matką, jak myślałam. – Znowu łzy napłynęły jej do oczu. – A ja tylko chciałam dobrze. Dobrze dla niej i dla siebie, a wyszło... – Teraz już nie udało się jej powstrzymać łez. Zaczęła płakać całą sobą – roztrzęsła się, ukryła twarz w dłoniach.

– Ale co to znaczy, że... – Staroń podniósł się i zrobił dwa kroki w jej stronę.

Wiera przytrzymała go za rękę.

– Zostaw, Remek. Nie teraz. – Pokręciła głową. – Nic z tego nie będzie – szepnęła. – Zadzwoń w poniedziałek – powiedziała głośno, patrząc na Krzysztofik.

Bez reakcji.

– Chciałem ją zapytać, co miała na myśli, że chciała dobrze, a wyszło źle. – Staroń zatrzymał się przy samochodzie.

– Teraz nic ci nie powie. Musi się wypłakać i trochę dojść do siebie. – Wiera otworzyła drzwi, ale z wnętrza popłynęło nieprzyjemnie duszne ciepło. – Niech się chwilę wywietrzy.

Staroń kiwnął głową.

– Ona jest w rozsypce, ale mnie się wydaje, że ona w ogóle jest taka od śmierci męża, bo potem już nie miała normalnego życia – stwierdził Staroń.

– Znaczą jakiego „normalnego”?

– No, tradycyjnego – małżeństwo, dzieci, jakiś ład.

– Małżeństwo to nie jest norma, Remek. I nie musi być normalne. W sumie to chyba nawet rzadko jest.

– E, przesadzasz... Ale ja nie o tym, tylko o tym, że ten jej kolo to nie był odpowiedni. Z innym, znaczą porządniejszym, by było inaczej. I pewnie by się ożenił, czyli wychodzi jednak na to, że małżeństwo jest lepsze od niemałżeństwa.

– Ale z ciebie filozof. – Wiera pokręciła głową.

– Ale zobacz: ona niby z kimś, a sama. Puszczają ją kantem, nie wiadomo, co jeszcze robił.

– W małżeństwach też tak bywa.

– No dobra, ale i tak uważam, że nic nie zastąpi normalnego domu.

– Ale... – chciała go dalej pozbawiać złudzeń, lecz usłyszała dźwięk telefonu. Wygrzebała go z torby. – Przyzwan – rzuciła w stronę Remka i odebrała. – No, jest coś nowego – powiedziała po chwili do aparatu. – Dziewczyna być może była

w ciąży ze swoim chłopakiem, znaczy byłym chłopakiem, a on nie wytrzymał presji i ją rzucił. Alibi na dzień zniknięcia ma i, szczerze, nie wygląda na mordercę, tylko na dupka. – Znowu chwilę milczała, słuchając prokuratorki. – Tak, wpadnę. No to do zobaczenia.

Spojrzała na Staronia.

– Wracasz ze mną na imprezę?

Posterunkowy się zawahał.

– Nie, jednak już nie... pójdę do domu. Pomyślę sobie na spokojnie o tej sprawie i w ogóle. To się robi coraz dziwniejsze. A ona, ta dziewczyna, jeśli oczywiście wciąż żyje, to gdzie by się mogła ukryć? Bez znajomości, pieniędzy?... Jak kamień w wodę, co?

Wiera pokiwała głową. Ewelina Krzysztofik nie dawała znaku życia – i oby chodziło tylko o znak.

Zabrała jedynie dokumenty, nic więcej. Nic z tego domu, w którym... Przyspieszyła. Nie oglądała się za siebie, bo wtedy mogłaby się złamać, zawahać, wrócić. Trochę dlatego, że świat mógł się okazać jeszcze gorszy niż dom, bo podobno w domu najlepiej, a jeśli tak, to... a trochę dlatego, że było jej żal matki. Wcześniej wyklinała ją w myślach – że jej nie obroniła, nie uchroniła, a to przecież podstawowy obowiązek tej, która dała życie. Ale matka samej siebie nie potrafiła obronić.

Jechała i próbowała posplatać w głowie te nitki, które mieli. Cholernie krzywy splot jej wychodził. „Jak kamień w wodę”. Prawda. Wziąwszy pod uwagę, że dziewczyna była młoda, niezaradna, pogubiona, to ukrywanie się wychodziło jej świetnie. Chyba że... Odgoniła tę myśl. Wciąż jeszcze nie było żadnych dowodów, że taki miałyby być finał. Bardzo by nie chciała, żeby taki był. Jednak zaczęła się użalać – i nad tą matką, i nad córką. Jeszcze chwila i...

„Niedobrze”, pomyślała i docisnęła pedał gazu.

– Wiesz, wszystko jest możliwe. – Maria Przyzwan siedziała na ławce pod domem i paliła. – Tacy spokojni, jak wpadną w panikę, to potrafią zrobić coś

zupełnie nieracjonalnego. Na przykład zabić dziewczynę, bo jest w niechcianej ciąży i teraz nie będzie można normalnie studiować za kasę starych i w piątki chodzić z kumplami na piwo, tylko trzeba będzie stanąć na wysokości zadania. Po raz pierwszy doświadczyć prawdziwego życia. – Wypuściła z ust obłoczek dymu.

– To prawda, ale on ma alibi na środę, znaczy sprawdzimy je, ale nie sądzę, żeby kłamał, to nie ten typ.

– Pani sierżant stawia na intuicję? – Prokuratorka znowu się zaciągnęła.

– Ja...

– Nie mówię, że to źle, słuchaj tego głosu, ale krytycznie. No dobra, to sprawa się trochę skomplikowała. W dalszym ciągu może być tak, że jednak nie była w ciąży i wtedy powód zniknięcia wciąż jest nieznany, albo jednak była i chciała tę ciążę usunąć.

– Matka twierdzi, że by tego nie zrobiła, ale... – Wiera się zawahała. – Chciała studiować. Nie chciała mieć takiego życia jak matka, więc pewnie jednakby dokonała aborcji.

– To ci mówi intuicja?

Jezierska kiwnęła głową. „I doświadczenie”, dodała w myślach.

– Spróbuj się postawić w jej sytuacji: masz osiemnaście lat, jesteś w ciąży, w której nie chcesz być. Nie masz pieniędzy, przyjaciół, wsparcia. I co wtedy?

Nie chciała się stawiać w takiej sytuacji. Właściwie: nie chciała wracać do takiej sytuacji, jak wówczas, dawno temu.

Otrząsnęła się.

– To kosztuje. Od kiedy aborcja jest jeszcze bardziej wbrew prawu, niż była, pewnie kosztuje jeszcze więcej. Od czasu zaostrzenia ustawy nie mieliśmy żadnego donosu, żadnej sprawy, ale to oczywiste – im bardziej coś nielegalne, tym droższe jest obejście tego. Więc może ktoś jej pomógł? Jedna z tych organizacji, na morzu, falach czy...

– ...czy gdziekolwiek poza tym opresyjnym państwem – dokończyła za nią Przymian.

– Ale tak czy owak, to czy to mogłoby się obyć zupełnie bezkosztowo? I czy dziewczyna taka jak Ewelina wiedziałaby, że takie organizacje w ogóle istnieją? Witkowski nie znalazł w jej laptopie żadnych wyszukiwań związanych z tym tematem, jeszcze z nim pogadam w poniedziałek, aleby powiedział, a podał mi same nudne rzeczy. No i jednak wciąż się waham – te msze w Internecie, gazety katolickie, krzyż na ścianie.

– To często tylko pusta symbolika. – Przyzwan była sceptyczna.

– Bywa, ale chyba nie u niej.

– W każdym razie z takim problemem się do kościoła nie idzie. Kiedyś tak – żeby urodzić bez wstydu i potem zostawić w sierocińcu, ale świat poszedł do przodu.

„Czasem świat zostaje z tyłu”, pomyślała Wiera. Gdyby prokuratorka lepiej знаła ją i jej rodzinę...

– O, kogo ja tu widzę! – Rozpoznała głos Marka Jóźwika. Odwróciła się; patomorfolog przyszedł razem z Januszem Kosoniem. – Panie wciąż w robocie czy już po?

– Zawsze na służbie. – Przyzwan się uśmiechnęła.

– Tego ostatniego rozbieracie na kawałki? – zapytał.

– Teoretycznie. Na zajęcia praktyczne wpadam w poniedziałek bladym świtem, bo prawdziwe rozbieranie to twoja działka. – Prokuratorka wciąż się uśmiechała.

– Działka to jest moja i widzę, że mi gdzieś impreza ucieka. – Znad stawu dołączył do nich Rubert. – Zajmijcie się na razie żywymi, co?

– No, ale wiesz, Jurek – odezwał się milczący dotąd Kosoń. – Umarli często są kluczem do żywych. Wiera, zacznij intensywnie od tego faceta z wyrobiska.

– Jeszcze chwila i dam ci raport – powiedział Jóźwik, płynnie przechodząc na „ty” – ale tam już prawie nic nowego nie będzie.

– Brał coś? Albo ktoś mu coś podał? – zapytała Wiera.

Jóźwik pokręcił głową.

– Czysto.

– W poniedziałek rano robimy przeszukanie TIR-a, którym jeździł. Na razie jest zabezpieczony na parkingu Auto-Transu. Powiem Remkowi, żeby ich sprawdził. Jeden z kierowców mówił o kontrolach, Krzysztofik o jakichś męskich sprawach... Może to jest ten kierunek? Ale jeśli tak, to dziewczyna się tu w ogóle nie klei. I ta matka... Z nią jest coś nie tak.

– Uważasz, że jest jakoś zamieszana w jedną lub drugą sprawę? – zapytała Przyzwan.

– Może nie zamieszana, ale coś ukrywa, nie jest do końca szczerą.

– Jeśli tak, to, patrząc na nią, powodem może być wstyd lub lęk. Może źle pojmowana lojalność?

Wiera знаła ten zestaw.

– Może.

– Dobra, chwilowo zarządzam koniec. – Kosoń podał Wierze butelkę kwasu chlebowego. – To na początek.

Początek miał długie rozwinięcie, środek także, a końca Wiera nie pamiętała zbyt dobrze.

Obudziła się w niedzielę rano z bólem głowy. Rozejrzała się dokoła – spała na wąskim tapczanie w miniaturowym pokoju gościnnym wyłożonym błyszczącą boazerią. Wszystko tu było takie miodowo-musztardowe. Przymknęła oczy i pomyślała, że potrzebuje więcej zieleni i tlenu. Przeszła przez korytarz i dalej, salonem, gdzie zobaczyła śpiących Józwika i Kosonia. Nie budząc ich, wyszła na zewnątrz.

Z ulgą głębiej wciągnęła powietrze. Zapach majowego poranka w lesie był niepodrabialny. Poczuli się lepiej. Wyciągnęła z torby notes, wyrwała jedną kartkę i napisała na niej: „Dzięki za wszystko. Do widzenia/do usłyszenia”. Zostawiła ją na stole w salonie i poszła do auta. Nieprzepisowo, bo w jej żyłach na pewno krążył jeszcze alkohol.

W domu długo stała pod prysznicem. Lubiła strumień ciepłej wody na swoim ciele, ale nie chodziło tylko o fizyczną przyjemność – odwlekała moment wizyty

w Zielonej Dolinie. Nie potrafiła się uwolnić od napięcia, które towarzyszyło jej podczas spotkań z matką. „Spotkań”, westchnęła. Jakże to były spotkania? Jeździła do obcej kobiety i nic nie mogła zrobić z tą obcością. Z tamtą dawną między nimi – też zresztą nie.

Zakręciła wodę i wyszła spod prysznic. Mocno wytarła ciało spranym już trochę ręcznikiem. Jej skóra się zaróżowiła; lubiła taki stan. Z niezadowoleniem zauważyła jednak, że jej nogi pokryły się ciemnobrązowymi kropkami. Nie miała ochoty ich teraz golić – schylenie się i równe ciągnięcie żyłki od kostki aż do połowy uda nie były wskazane w jej dzisiejszym stanie. Wiera prawie się nie malowała, nie farbowała włosów, nie ubierała kobieco, więc w sumie mogła dołączyć do grupy ciałopozytywnych osób, akceptujących siebie takimi, jakimi stworzyły ich geny, ale gładkie nogi lubiła. Nawet tylko dla siebie, na przykład w zimie, gdy nie było szans, żeby ktokolwiek mógł ją zobaczyć bez spodni. Westchnęła; zajmie się tym wieczorem, teraz chciała jak najszybciej odbębnić Zieloną Dolinę. „Odbębnić”, tak niestety pomyślała.

Włożyła džinsy i biały T-shirt. Matka podobno się rozpoznała na widok jasnych kolorów, tak jej powiedziała siostra dyrektorka. Ciekawe, jak wobec tego znosiła ciemne habity dokoła. I wizyty Anki.

„Anka”, przesunęła talerz z kanapką i położyła przed sobą telefon. Nic, zero nowych wiadomości, żadnych nieodebranych połączeń. Sprawdziła, czy ostatni esemes do siostry został wysłany – został.

„Kurwa, Anka, co się z tobą dzieje?”, pomyślała. Nie potrafiła powiedzieć, jaka emocja w niej przeważała – złość czy niepokój. „Ale co by się miało jej stać?” A nawet jeśli, to siostry, współtowarzyszki tego przedziwnego zakonnego życia, które wybrała Anka, dałyby jej znać. Są świetnie zorganizowane, znalazłyby ją. Więc raczej po prostu milczy i ignoruje Wierę, ale dlaczego? Przecież nic się nie stało?...

Po dłuższej chwili wahania ponownie wysłała tę samą wiadomość. Nie powinna się teraz rozpraszać, bo nie ruszy z tą cholerną sprawą do przodu.

Nęcki już w kostnicy, a gdzie jest Ewelina Krzysztofik?

ROZDZIAŁ 9

– Jak marynarz – co port, to ciepłe łóżko. – Wiera z niedowierzaniem przeglądała kalendarz Roberta Nęckiego wyciągnięty z kabiny TIR-a. – Kurwa, nie wierzę!

– Co? – Motyka odwrócił się w jej stronę.

– Zobacz. – Wiera podeszła do technika. Podsunęła mu pod nos czerwony notes wielkości A4. – Tu na końcu masz skorowidz i alfabetycznie zapisywane nazwiska. Są jacyś kumple, serwis, spółdzielnia mieszkaniowa, wszystko normalnie. Ale są też inicjały – AK, BG, MJ i tak dalej. Trochę tajemniczo, pewnie to te kobiety, z którymi się umawiał w trasie.

– Schowek widziałaś?... – Motyka się roześmiał. – On chyba kupował te gumki w hurcie.

– Widziałam. – Wiera zauważyła kolejne dwie paczki prezerwatyw wciśnięte w głąb schowka. – Albo jakiś seksoholik, albo maniak zabezpieczania się. Ale dobra, wracając do notesu – popatrz, przy tych inicjałach są numerki.

– Oceniał je? – zdziwił się Motyka.

– Nie. – Wiera przekartkowała kalendarz i zatrzymała się na stronie z mapą Polski. – Rozmieszczał. Pod Poznaniem na przykład jest piątka, BG. W kierunku na Szczecin – dwójka, MJ. I tak dalej.

– Kurwa, fakt. – Motyka pokręcił głową. – Metodyczny facet.

– Zorganizowany. W Giżycku jest numer siedem, JK.

– To ta, z którą mieszka?

Wiera pokiwała głową.

– Dobra, to jedziemy dalej... Co my tu mamy pod fotelem? – Schyliła się. – O, adidas. Mniej wyjściowe niż tamte mokasyny. – Podniosła jeden but. – Ciekawe... – Przyjrzała mu się. – Tu w podeszwie jest taki mały kamyczek, na oko bardzo podobny do tego z mokasynów, czyli może też ze źwirowiska?... Poczekaj. – Zauważyła, że na parking wjeżdża jakiś TIR. – Zobaczę, kto to, bo chyba nie ten kierowca, z którym już rozmawiałam. – Odłożyła notes na fotel i poszła w tamtą stronę. – Dzień dobry!

Mężczyzna, który wysiadł właśnie z kabiny, obrócił się w jej stronę. Był podobny do Zenona Kielni – też około czterdziestki i też szczupły. Może nie aż tak, ale w formie. Jak na facetów, którzy spędzają życie na siedząco, było to trochę dziwne. „Może coś biorą?”, pomyślała.

– Dzień dobry – odpowiedział trochę zdziwiony.

– Sierżant Wiera Jezierska, Komenda Powiatowa Policji w Giżycku. Możemy chwilę porozmawiać?

Zauważyła, że się wzdrygnął. Westchnęła.

– Chodzi o Roberta Nęckiego.

Facet się rozluźnił.

– A, o to. To znaczy przykra sprawa, kurde, naprawdę.

– A o co innego by mogło chodzić? – Zawsze zadawała to pytanie, prawie odruchowo.

– E, no jak o co? Kiedy policja się człowiekiem interesuje, to jest stres. Od razu nerwy, czy wszystko w porządku, czy może jednak coś nie.

– Uczciwy obywatel nie ma się czego bać – zakpiła lekko.

– Niby tak, ale wie pani, znaczy pani sierżant, jak to jest. Czasem coś się stanie, coś się zrobi, jakaś duperela i naprawdę nieumyślnie, bo się człowiek zagapi albo zapomni, a tu kontrola i bach!, jakby się z automatem rozmawiało, zero zrozumienia. No i... – zawahał się – ...bez urazy, bo to nie ma być złośliwe, ale

społeczeństwo ostatnio mniej lubi policję, tak generalnie. Za te flirty z władzą, nie?... – Spojrzał na nią całkiem prostodusznie.

Mogłaby się z nim zgodzić, ale poprzestała na cichej prawie-akceptacji. Była policjantką, a jednocześnie nie do końca czuła się częścią policji.

– Właśnie, co do flirtów. Jak dobrze znał pan Nęckiego? Tak prywatnie?

– Prywatnie? Flirty z Robertem? – zdębiał.

– Nie w tym sensie. Wiemy, że Robert Nęcki lubił kobiety. Pytałam, czy znał go pan prywatnie.

– A co to właściwie znaczy znać kogoś?... – Facet się zamyślił.

„Jezu, filozof mi się trafił”, westchnęła w duchu.

– Wiedzieć, co robi poza pracą i co myśli – w pracy i poza nią.

– Nie, no przecież rozumiem, tak się głośno zastanawiam. Ja wiem, o co pani pyta, bo rozmawiałem z Zenkiem. Robert myślał o kobietach. W pracy i poza nią. W pracy się raczej nie spotykał z nimi, bo jak, ale kiedy miał wolne... – Zrobił znaczącą minę.

– Wszyscy o tym wiedzieli?

– Wszyscy? No nie wiem, akurat z Zenkiem i Robertem byliśmy we trzech trochę bliżej, tak wyszło.

– Pan Kielnia nie wspominał o tym, że był bliżej Nęckiego.

– No bo to w sumie może być względne. Chodziło mi o to, że jeśli już z kimś Robert rozmawiał, to ze mną lub Zenkiem. Z nami najbardziej, choć w sumie to Zenek ma rację – jakaś wielka przyjaźń to nie była.

– Czy Nęcki opowiadał panu czasem o swojej partnerce?

– W sumie niedużo. I o tamtych różnych też niedużo, same takie męskie przechwałki czy różne sugestie, nigdy konkretów. Albo nie chciał za wiele zdradzić, albo sam może uważał, że to nie do końca fair. Więc o tej... zaraz... Annie?

– Joannie.

– Tak, Joannie, więc o niej to mówił, że jest wygodna do życia. I czasem do użycia. Tak mówił, to jego słowa. Żartował, taki miał styl.

„Podrzędny”, pomyślała Wiera.

– Coś jeszcze?

Facet wzruszył ramionami.

– Chyba nie... On nie był aż taki wylewny. I właściwie to nie wiem, ile z tego, co mówił, było prawdą, a ile sobie koloryzował. Na pewno lubił, żeby inni o nim myśleli, że jest casanovą.

„Trochę się zgadzało, nie był tylko erotomanem-gawędziarzem”.

– A inne sprawy? Coś, co mogłoby mieć znaczenie?

Facet podrapał się po głowie.

– Nie... raczej nie.

– Dobra, to dziękuję. Gdyby pan sobie coś... – chciała mu podać swój numer, ale jej przerwał.

– W sumie... – Wyglądał, jakby jeszcze się zastanawiał, czy to mówić. – Nie tak dawno powiedział o tej Joannie, że ona jest jeszcze całkiem niezła. Chodziło o to, że nie taka młoda, a wciąż się trzyma, a potem dodał: „ale córeczka jeszcze lepsza”.

Wiera się spięła.

– Na pewno tak powiedział?

– Na pewno. Może to też były takie przechwałki? A może nie. Inaczej bym nie mówił, ale on nie żyje i kto wie, co jest ważne.

Wracała do centrum. Wciąż obracała w głowie to zdanie. Jeśli Nęcki nie zmyślał i ten facet nie zmyślał, toby znaczyło, że Staroń i Przyzwan mieli rację, a ona się myliła, kategorycznie odrzucając możliwość jakichkolwiek bliższych kontaktów Eweliny Krzysztofik z konkubentem jej matki. A jeśli naprawdę coś między nimi było? Jeśli naprawdę dziewczyna się nim, mimo wszystko, zauroczyła, bo brakowało jej ojca i tak głupio jej się pomieszały uczucia? A może wcale nie głupio, tylko zwyczajnie jej się spodobał? Młode dziewczyny popełniają

różne błędy, nawet jeśli są dobrymi uczennicami i praktykującymi katoliczkami. Wtedy może nawet częściej, bo nie mają pojęcia o prawdziwym życiu. „A co, jeśli ta ciąża to nie z Czyżykiem, tylko?...” Albo – znowu to do niej wróciło – jeśli te bliskie kontakty z Nęcim były, ale dziewczyna wcale ich nie chciała?

– Wiera, jesteś – ucieszył się Staroń. – Bo ten Budnik na ciebie czeka.

– Budnik? – Wciąż myślała o tym, co przyszło jej do głowy podczas jazdy na komendę.

– No ten złomiarz, facet z wózkiem z wyrobiska.

– A, tak. Już jest? – Zapomniała o nim zupełnie.

– Podobno kazałaś mu być rano, więc się spał i był tu przed ósmą.

Spojrzała na zegar ścienny – dochodziła dziesiąta.

– Kurde, no. Dobra, Remek, to zróbmy tak, że ty odbierzesz jego zeznania, bo ja mam coś do załatwienia.

– Tak?... Znaczy na pewno ja? – Posterunkowy nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

– No raczej nie stary.

– Właśnie, bo stary, znaczy komendant, powiedział, żebym do niego przyszedł o jedenastej trzydzieści.

– Półtorej godziny, spokojnie się wyrobisz. – Domyślała się, jaki jest cel tej rozmowy. „Starszy posterunkowy”, przyjrzała mu się. I nic, dalej był tym samym, pociesznym Remkiem.

– Bo nie chciałbym się spóźnić...

– Czyli masz świetną motywację.

– No tak. – Nie był do końca przekonany. – A, przyszła informacja od operatora o telefonie Nęckiego. Ostatnie namierzenie było we wtorek o trzynastej osiemnaście. Potem cisza.

– Czyli pewnie ten, kto go zabił, zabrał mu telefon... Dobra, Remek, bo widzę Witkowskiego, a muszę z nim pogadać. Michał! – zawołała.

Chłopak odwrócił się w jej stronę.

– A, to ty.

– Idziemy na górę? – ucieszyła się, że już się uporał z robotą.

– W sumie nie ma potrzeby. Choćbym flaki wypruł z tego sprzętu, to nic ciekawego ci nie dam, bo tam nic ciekawego nie ma. Ci młodzi to zupełnie nie potrafią teraz żyć.

– Zupełnie?

– Ni chu... No zupełnie. To było tak nudne, że zasypiałem. Ta dziewczyna egzystowała jak zakonnica. Miała konto na fejsie, ale prawie nieużywane.

– Mówiłeś, że był jakiś chłopak.

– No był. W komórce też, chyba ten sam. Jakieś oschłe te wszystkie testy, żadne „misiaczku” czy „robaczku”, tylko „Tomku”. Kto tak w ogóle mówi? Cyborgi. I jeszcze jakby się nie ciupciali czy coś.

– Tu się akurat mylisz. A jakiś inny facet? Imię Robert?

– Nie, nic. Jakieś ciuchy oglądała w sklepie internetowym. I kremy do twarzy. I to były najnormalniejsze rzeczy.

– A esemesy?

– Z matką i tym „Tomku”.

– Wyślesz mi?

– Wyślę. Ponudzisz się.

Poczuła się rozczarowana.

– No nic, dzięki.

Zauważył zawód na jej twarzy.

– A ten kolo, co go zaciukali? Jego nic nie masz?

– Nic.

– Czasem bywa pod górkę, co? – Klepnął ją po plecach i poszedł na górę.

Chwilę stała na korytarzu. Tak, w tej sprawie z dołu było pod górkę. Na razie szło jak po grudzie. Poszła do pokoju. Remka już nie było. Odszukała numer telefonu do Tomka Czyżyka.

– Jezierska, dzień dobry.

Poczuła napięcie po drugiej stronie.

– Dzień dobry. – I cisza.

– Muszę z panem porozmawiać.

– Znowu? – prawie jęknął.

– Znowu. I może wcale nie ostatni raz. Im częściej będzie pan mówił prawdę, tym szybciej skończymy te rozmowy. – Nerwy, znowu te cholerne nerwy, które potrafiła luzować tylko złościwością.

– Ale nie w domu?...

– Nie. Pod komendą za pół godziny?

– Tak, nawet dwadzieścia minut, przyjadę na rowerze, bo potem mama... Bo mogę być wcześniej.

Odłożyła telefon.

„Sprawdź Auto-Trans, mieli jakieś kontrole w US. I właściciela oraz Zenona Kielnię”, wysłała esemes Staroniowi. Przy okazji weszła do wiadomości od Anki. Odzewu wciąż nie było, siostra milczała.

– Ja już mówiłem, że Ewelina nie lubiła ojczyma. – Chłopak rozglądał się, jakby się upewniał, czy nikt go nie obserwuje. Stali na rogu budynku, między dwoma zaparkowanymi radiowozami. Czyżyk przyjechał dobrym, terenowym rowerem. „Chłopak, który zupełnie nie zna życia”, pomyślała Wiera. Ona nie miała swojego roweru i uczyła się jeździć na rowerze ojca, jak akurat miał dobry humor. Nawet jednak jego dobry humor nie mógł dopasować wielkości ramy i kół do małej i chudej dziewczynki.

– Wiem. Ale może jednak było coś, co rzuciłoby inne światło na tę relację? – Nie chciała go w żaden sposób naprowadzać.

– Ale w sensie, że jak inne? Naprawdę go nie lubiła. Dawniej to jeszcze coś tam mówiła, znaczy narzekała, ale ostatnio to już nie. Przestała, jakby w ogóle nie istniał.

– Ostatnio, czyli kiedy?

Czyżyk wzruszył ramionami.

– Miesiąc? Dwa?

– Nie zdziwiło to pana?

– Nie. Mieliśmy inne sprawy. Matury, studia i jeszcze to, znaczy ta... – Przeturlał butem kamyk.

– Dobra. Zadam teraz panu pytanie, ale niech się pan dobrze zastanowi, zanim pan odpowie. Żadnych kłamstw, żadnych domysłów. Czy jest możliwe, żeby Ewelinę i Roberta Nęckiego coś łączyło? W sensie relacji – osobistej. A nawet intymnej?

Chłopak patrzył na nią z najszczerzym zdumieniem w oczach.

– Intymnej? W sensie, że oni?...

– Że ona mu się podobała. I być może Ewelina – z trudem przeszło jej to przez gardło – odwzajemniała to zainteresowanie.

– Czy to by znaczyło, że ona w tej ciąży mogła nie być ze mną?

„Kurwa”, zaklęła w myślach. „Źle to rozegrałam”.

– Mogła być? – Czyżyk wyglądał na bardzo zadowolonego z tej myśli. Na jego twarzy malowała się ewidentna ulga.

– To jest sytuacja czysto hipotetyczna. Nie ma żadnego dowodu, że tak było, rozumie pan? Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

– No, hipotetycznie to wszystko mogło być.

– Ja jestem od hipotez, pan od prawdy. I faktów. To jak?

Chłopak zmarkotniał.

– Nie znam takich faktów, zresztą gdybym znał, tobyśmy nie byli razem. To znaczy już wcześniej, zanim, ewentualnie... Ale jeśli, jeśli jednak – znowu się zapalił – toby znaczyło, że ta ciąża, też jeśli jest, to może nie ze mną, a z nim? Tak by mogło być, ojciec mówi, że ciche wody zawsze najwięcej wywijają.

– Ojciec mówi. – Popatrzyła na niego z politowaniem. – Może powinnam z nim pogadać?

– Nie, no po co? – Czyżyk od razu spokorniał. – Tak tylko...

„Przyzwan miała rację, ten chłopak nie dorósł, wciąż jest dzieciakiem z głową zapchaną szowinistycznymi tekstami. Sama bym go zostawiła”, pomyślała. „Zwłaszcza gdybym była z nim w ciąży”.

– Niech pan będzie dostępny dla policji.

Kiwnął głową, wsiadł na rower i odjechał.

Wyciągnęła z kieszeni telefon. Wybrała numer do Joanny Krzysztofik.

– Jezierska. Jest pani w domu? Możemy się zobaczyć? Tak, mamy coś nowego. Nie, nie znaleźliśmy pani córki.

Szła na Kazimierza Wielkiego, próbując zebrać do kupy to, co już miała. Co się stało z Ewelina Krzysztofik? Czy naprawdę była w ciąży? A jeśli tak, to z kim? I czy ma to związek z jej zaginięciem? Kto – choć przed tym pytaniem czuła opór – w tym układzie jest ofiarą: Nęcki czy Ewelina? Czy dziewczyna żyje? Czy to możliwe, żeby zabiła Nęckiego, a potem związała? A może to on ją sprzątnął, bo mu się sytuacja wymknęła spod kontroli? Ale w takim razie kim był jego morderca: zazdrosnym chłopakiem, zdesperowaną matką, zazdrosną czy wręcz przeciwnie – chcącą chronić córkę, czy ktoś inny?

Nacisnęła guzik domofonu; brzęknęło i weszła do klatki.

Joanna Krzysztofik była cieniem dawnej siebie, a ponieważ już wcześniej wyglądała nie najlepiej, to teraz budziła litość – blada cera, mocno podkrążone oczy, podkreślone jeszcze mocnym spięciem włosów odsłaniającym twarz. Ta sama brązowa sukienka i ten sam kremowy sweter, co za pierwszym razem, mimo że na zewnątrz było dwadzieścia stopni.

– Czy są jakieś nowe wieści? – zapytała cicho, kiedy usiadły w salonie.

– Pyta pani o córkę czy o partnera?

Kobieta bezradnie rozłożyła ręce.

– O oboje. O córkę.

– Zbieramy informacje – zaczęła oględnie Wiera. – Rozmawiamy z ludźmi. Z panią też bym chciała jeszcze porozmawiać – o Robercie Nęcim.

– Ja już wszystko powiedziałam... – zaczęła Krzysztofik obronnym tonem.

– Czy on panią zdradzał? Była inna kobieta? – Wiera postanowiła na razie użyć liczby pojedynczej.

Gospodyni spojrzała na nią zmieszana.

– Ja...

– Była czy nie?

Krzysztofik zaczęła nerwowo pocierać palce, a potem drapać się po rękę.

Wiera zauważyła, że na dłoniach ma czerwone plamy.

Kobieta wychwyciła jej spojrzenie.

– To z nerwów. Zawsze, kiedy się denerwuję, to tak...

– Więc?...

– Myślę, że tak. Pani o to pytała, ale to jest takie... takie... upokarzające, żeby przed obcymi...

– A przed sobą? – nie powstrzymała się Wiera.

– Przed sobą? – zdziwiła się Krzysztofik.

– Przed sobą nie jest upokarzające?

Kobieta pokiwała głową.

– Jest, może jest. Ja nie jestem taka... ostra, nie potrafię tak stanowczo... Więc najpierw były drobne sygnały, jakieś dziwne spóźnienia, wyjścia, zresztą już przecież mówiłam. Tylko że ja naprawdę myślałam, że to chodzi o kolegów, taki męski świat, bo Robert na pewno się spotykał i w męskim gronie. On tego potrzebował, odreagowywał wtedy stres.

– A co go stresowało?

– Praca. Zmęczenie, długie trasy, odpowiedzialność. Wracał do domu, przez dwa, trzy dni było dobrze, a potem zaczynało go nosić. A jak go nosiło... Robił się nerwowy, potrafił krzyknąć czy... – Krzysztofik urwała.

– Czy co? – Wiera poczuła pulsowanie w skroni.

– Jak się zdenerwował, to na przykład tak za ramię chwycić. – Krzysztofik złapała się jedną ręką za ramię.

– I co jeszcze?

Kobieta pokręciła głową.

– Uderzyć – powiedziała po chwili cicho, patrząc w podłogę. – Ale nie żeby krzywdę zrobić, tylko...

– Tylko co? – Pulsowanie się nasiliło. Wiera poczuła, że ma sucho w ustach.

– Tylko... Nie wiem. – Była bliska rozplakania się. – No po prostu... Ja wiem, że to nie do końca normalne, że nie tak to powinno wyglądać, ale on się naprawdę denerwował... – Zaczęła wyłamywać sobie palce.

Jezierska mogłaby jej teraz powiedzieć, że nic nie usprawiedliwia przemocy i tak dalej, aleby nie trafiło. Kobieta wciąż była w fazie zamknięcia na oczywistą prawdę – wybrała sobie na partnera przemocowca i do tego lowelasa.

– A czym się denerwował? – zapytała więc.

Krzysztofik bezradnie rozłożyła ręce.

– Nie mówił. – Znowu zaczęła się drapać w przedramię, teraz już podwijając rękaw swetra. – I kiedyś, nie tak dawno, jak prałam jego koszulę, to znalazłam na kołnierzu włos. Nie mój, nie jego. Długi, jasny.

„Długi, jasny”.

– A to nie mógł być włos pani córki?

– Eweliny? No nie, skąd. Oni się przecież... – Krzysztofik urwała w pół zdania.

Wiera po jej minie poznała, że zrozumiała sugestię. Wpatrywała się w Jezierską okrągłymi ze zdumienia oczami, a jej paznokcie coraz szybciej jeździły po skórze.

– Eweliny? – powtórzyła. – Ewelina go nie lubiła, nie chciała go tu nigdy, na pewno by się do niego nie zbliżyła. Na pewno. Jeszcze mi mówiła, żebym go pogoniła, bo... Boże, czy on coś zrobił mojej córeczce? – Poderwała się z kanapy i doskoczyła do Wiery. Sierżant zobaczyła, że z rozdrapanej skóry sączy się krew.

– To tylko hipotezy. Tylko pytania. – Położyła ręce na ramionach kobiety. – Niech pani usiądzie i się uspokoi. Gdzie ma pani apteczkę? – Spojrzała na krwawiącą rękę.

– W kuchni – odparła machinalnie Krzysztofik. – W drugiej szufladzie od okna mam plastry i leki.

– Przyniosę – powiedziała Wiera.

„Druga od okna”, spojrzała na zabudowę kuchenną i pociągnęła porcelanową gałkę szuflady. Były w niej tabletki przeciwbólowe, termometr, woda utleniona, gaza i plastry. Wzięła tekturowe pudełko i otworzyła je. W środku zostały tylko bardzo małe przylepce, na ranę Krzysztofik przydałoby się coś większego. Mocniej wysunęła szufladę. W głębi zobaczyła duży plaster zwinięty w rolkę.

– Idealny – powiedziała na głos.

Obok leżały małe plastikowe nożyczki.

Rozwinęła plater i odmierzyła odpowiedni kawałek. Przyłożyła nożyczki i wykonała pierwsze cięcie. Szło opornie. Spróbowała jeszcze raz. Materiał się strzępił. Spojrzała na nożyczki – dopiero teraz zauważyła, że to dziecięce nożyczki do ozdobnego cięcia papieru ze specjalnie profilowanymi w trójkątny wzorek ostrzami. Zajrzała do szuflady – innych nie było. Odłożyła je i sięgnęła po jeden z noży umieszczonych w drewnianym stojaku. Rozprostowała plaster na blacie, żeby sobie ułatwić pracę, i wtedy zobaczyła efekt swoich nieudolnych cięć – jakby poszarpane ząbki. Takie same jak na plastrze zaklejającym ranę Nęckiego.

ROZDZIAŁ 10

To nie miało tak być, to się w ogóle nie miało wydarzyć, przecież ona by nigdy... Wciąż nie rozumiała, jak do tego doszło. Najpierw to, że on... Poczuła, że ją mdli. To było obleśne, obrzydliwe, najgorsze, co się może młodej dziewczynie przytrafić. Ale to się stało, a ona przestała być sobą – już nie była ani spokojna, ani grzeczna, ani tym bardziej uległa. Zaczęła się bronić, słuchała już tylko głosu natury. A natura każe wyeliminować przeciwnika.

– Wcześniej mi to umknęło. Kurwa. – Wiera stała nad apteczką wyjętą z samochodu Nęckiego. Wtedy, gdy znalazła zaparkowane na poboczu audi, sprawdziła, co jest w środku. I nawet otworzyła tę cholerną apteczkę. I nawet miała pod palcami pękate opakowanie z gazą, ale nie zauważyła, że między białymi opakowaniami zawierającymi sterylny materiał są koślawo ucięte dwa kawałki plastra – takiego samego, jak w mieszkaniu Joanny Krzysztofik. I takiego samego, jak na klatce piersiowej Nęckiego. Wiera wróciła do niej z tym posiepanym przyklepcem, żeby zakleić rękę, którą kobieta sobie podrapała. Zapytała, od kiedy w kuchennej szufladzie z lekami leżą dziwaczne nożyczki, nienadające się do cięcia. „Od kilku tygodni. Poprzednie się gdzieś zagubiły. Te są Ewelinki, jeszcze z podstawówki. Robiła nimi różne wycinanki”. Krzysztofik znowu wpadła w szloch. Jezierska nic więcej z niej nie wyciągnęła.

– Bywa – mruknął Motyka. – W sumie też mogłem zauważyć. Ale zobacz, jak one starannie włożone. Gdyby ktoś je wcisnął byle jak, gdyby wystawały, byłoby łatwiej. A tu jakiś pedant to zrobił.

– Albo pedantka.

„Joanna Krzysztofik była w pracy we wtorek i w środę, ale wtorkowe popołudnie miała wolne. Ewelina Krzysztofik miała wolne oba te dni”, pomyślała.

– Badamy tamten plaster, będziesz wiedziała, kto go dotykał, no chyba że był w rękawiczkach.

– A na tym jednym – Wiera wskazała jeden z dwóch przylepców – ta plamka to chyba krew?

– Najprawdopodobniej. – Motyka przyjrzał się czerwonobrazowemu miejscu. – Myślisz, że mogłaby być mordercy?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może. Może też był ranny, może pilnował Nęckiego, żeby nie zwał, może przypadkiem coś skapnęło... A jak inne ślady z auta?

– Tylko Nęcki. Nie za dużo, bo samochód był niedawno solidnie wyczyszczony. Wypucowane plastiki, odkurzony. Nie wydaje mi się, żeby to było celowo. Ten samochód od lat musiał być tak muskany, najwyraźniej facet w obsesyjno-porządkowy sposób traktował wszystkie swoje rzeczy. Żadnych śladów krwi, jeśli o to pytasz.

– Sprawdźmy tę apteczkę. Kto jej dotykał, czyja krew jest na plastrze. – Wiera kiwnęła głową Mariuszowi Motyce i wyszła z pokoju.

Szła korytarzem w podłym nastroju. „Dupa z ciebie, a nie śledcza”, myślała. „Co mówił Kosoń? Metodyka. Brak pośpiechu. Uważność. Namysł. Czego z tego zestawu użyłaś?” Czuła, że zaczyna ją boleć głowa. I że się spina. Nie potrafiła się tego oduczyć, zresztą jak, skoro całe życie przeszła na takim zwarcu? Zawsze jakby podłączona do prądu o słabym napięciu – bez względu na to, czy chodziło o coś stresującego, czy o przyjemniejsze uczucie, w niej coś dygotało. „Spalasz się”, powiedział jej kiedyś Kosoń. Miał rację; dzień po dniu, niezauważalnie dla innych, spalała się.

– Wiera! – Nim weszła do pokoju, dopadł do niej Remigiusz Staroń. – Byłem u komendanta, wiesz?

– Wiem. Wiem, bo mówiłeś, że będziesz. – Wzięła głębszy oddech. Dogryzanie Remkowi to też część tego spalania się.

– Właśnie. I już nie jestem posterunkowym, tylko starszym posterunkowym. Nieźle, co?

– Bardzo dobrze. Gratuluję.

– I komendant jeszcze powiedział, że teraz oficjalnie jestem z tobą w tej sprawie. I że jesteście parą. Zawodowo znaczy.

Patrzyła na niego. Nigdy nie była taka, jak Remigiusz Staroń, pogodny chłopak z bezproblemowej rodziny, ale także kiedyś zaczynała tę robotę i dostał się jej Janusz Kosoń, mądry i wspierający partner, dla którego była lekko szurniętą i trochę neurotyczną dziewczyną, która niewiele umie. I taką ją zaakceptował.

– Gratuluję, Remek, naprawdę. – Wyciągnęła do niego rękę. – To bardzo dobra wiadomość.

Staroń pokraśniał.

– A teraz... – Sięgnęła do kieszeni po telefon. Chciała zadzwonić do Przyzwan, żeby poinformować ją o nowych odkryciach w śledztwie. I żeby poznać jej opinię. I żeby poczuć się pewniej. Opuściła rękę. – A teraz chodź, bo są nowe fakty, musimy pogadać.

– I co myślisz? – zapytała, gdy siedzieli w pokoju. Na razie oboje przy jej biurku – biurko Kosonia stało puste. Było jasne, że to ona się tam zainstaluje, bo miejscówka była atrakcyjniejsza – przy oknie, a samo biurko – większe. Nawet krzesło miało lepsze parametry – nowsze, lepiej wyprofilowane. Nie potrafiła jednak jeszcze się przesiąść.

– No... – zaczął Staroń z namysłem – ...toby mogło znaczyć różne rzeczy. Bo każde z tej trójki mogło sobie ukroić taki plaster. Tyle że gdyby on miał być użyty w takiej sytuacji jak ta z Nęckim, toby się morderca chyba zastanowił, nie? Znaczący zastanowiłby się, bo to jest tak, jakby zostawić ślad. No i w ogóle – zabijać i opatrywać jednocześnie?

– Właśnie. – Wiera kiwnęła głową. – Wychodzi na to, że on sam sobie ukroił te plastry i schował do apteczki w samochodzie. Zresztą to nam powie Motyka. Powie nam też, kto dotykał plastra, który miał zabezpieczyć ranę Nęckiego na klatce piersiowej. Dopóki myślałam, że morderca, to było dziwne, ale gdyby się okazało, że sam Nęcki, toby było jeszcze dziwniejsze. Chyba. Póki Motyka nam nie rozjaśni mroku, mamy jeszcze bardziej zagmatwaną historię. I... – Zawahała się. Kiedy opatrywała ranę Joannie Krzysztofik, zauważyła, że kobieta ma bliznę na ręce, powyżej łokcia. Właściwie nie jedną, a takie wąskie szramy, jakby niedawno zagojone. Nie na tyle niedawno, żeby mogły się wiązać z jakąś szamotaniną w ciągu kilku ostatnich dni, ale też nie wyglądały na ślady sprzed wielu lat.

– I ja się zastanawiam, Remek, kto w tym układzie mógłby być ofiarą, a kto oprawcą.

Właściwie to nawet nie musiała się zastanawiać.

– No tak, ale jednocześnie robi się dziwna sytuacja z tą dziewczyną. Bo jeśli ten kierowca nie zmyśla, a raczej nie, to coś było między Nęckiem a Ewelina – stwierdził Staroń.

– Kierowca raczej nie zmyśla, pytanie, czy nie zmyślał Nęcki. Że w różny sposób realizował swoje potrzeby seksualne, to już wiemy. Trochę opowiadał kolegom, ale mógł też te opowieści ubarwiać, na przykład wątkiem z córką konkubiny, że niby nawet takie młode na niego lecą. Ale mogłoby być i tak, jak mówiła Przyzwan – że ta dziewczyna się w nim zakochała czy tam zapatrzyła się w niego. Niby nieprawdopodobne w naszym układzie, ale czasem młode dziewczyny ulegają starszym facetom, czasem rywalizują z matkami.

– Z Krzysztofik? Kurde, ona naprawdę wydaje mi się pocziwa... – Staroń się zasepił.

– Chyba jest pocziwa, ale... ale relacja między matką a córką jest porąbana, nawet jak jest dobra, uwierz, Remek. A i pocziwych da się doprowadzić do takiego stanu, że chcą kogoś zabić. I czasem im się udaje zrealizować taki plan. Krzysztofik, nawet jeśli rzeczywiście Nęcki miał romans z jej córką, raczej o tym

nie wiedziała. „Co on zrobił mojej córeczce!”, tak krzyknęła i to było szczere. Więc możemy dołożyć kolejną hipotezę, że on faktycznie coś robił Ewelinie, coś wbrew jej woli.

– Że ją wykorzystywał?

Wiera kiwnęła głową.

– No nie wiem... – Remek nie był przekonany. – Bo on chyba nie miał problemu z relacjami, w sensie, że były różne inne kobiety. A może... może on tę młodą... jak to powiedzieć... nie że zmuszał, ale tak oplątał...

– Uwiódł.

– O, no właśnie. I ona w to poszła, że tak powiem, mało świadomie i może nawet wcale nie myślała wtedy o matce. – Staroń był ewidentnie zadowolony z takiego scenariusza.

– Hipotetycznie. Póki nie mamy wyników od Motyki, to ten wątek traktujemy czysto teoretycznie. Natomiast z pewnością Robert Nęcki z kimś zdradzał Joannę Krzysztofik. Więc jeśli córka czy jakakolwiek inna kobieta miała z nim romans, to gdzie się mogli spotykać? – zapytała i równocześnie uświadomiła sobie, że biorąc pod uwagę wiek i sytuację życiową Staronia, to raczej pyta siebie, więc sama sobie odpowiedziała: – Dom odpada, sprawdzimy okoliczne motele. Zabieramy zdjęcie Nęckiego i dziewczyny i jedziemy.

– Mazury, Bruno i inne takie miejscówki bym sobie odpuściła. Za wysokie progi, zresztą myślę, że on by jednak nie ryzykował schadzek w samym Giżycku. Zawsze istniałoby ryzyko, że zobaczy go jakiś znajomy albo znajoma Krzysztofik. Jeśli już, to obstawiam tereny poza miastem.

– Ale to Mazury. Tu co krok jakieś miejsca noclegowe. – Staroń wpatrywał się w mapy Google'a, które Wiera odpaliła na komórce.

– Fakt, łatwo nie będzie, ale mamy kilka godzin. Południe bym na razie zostawiła – tam dużo wody, ceny wyższe, a jemu przecież nie zależało na widoku z okna. Tak samo północny zachód. W sumie najbardziej prawdopodobny jest kierunek na wschód i północny wschód, o tu. – Przejechała palcem do góry.

– Jak do Spytkowa?

– Jak do Spytkowa.

– A może on nie jeździł wcale do żadnego hotelu, tylko tak wiesz, w naturze?...

– Ciepło jest od kilku dni, a Nęcki nie wyglądał na abstynenta seksualnego. Ani też na faceta, który by ryzykował odmrożenie strategicznych dla niego narządów. Wyglądał za to na kogoś, kto nie lubi sobie utrudniać życia, więc pewnie obczaił jeden kierunek, bo pamiętaj, że on nie był stąd, nie znał dobrze tych terenów. Dobra, to co my tu mamy... Pokoje u Krystyny – nie, Domek na górze – nie...

– Czemu nie?

– Bo to miejscówki, gdzie masz kontakt z właścicielem, a on by wolał anonimowo, znaczy bierzesz klucz w recepcji i potem go odkładasz na ladę, i znikasz. Im mniej świadków, tym lepiej. Sunny Camp – ale to tylko w sezonie. O, zobacz, te dwa pasują: Motel Przystań i Motel Pod Grzybkiem. Dobra, jedziemy.

Zanim głos nawigacji powiedział, że do Motelu Przystań jeszcze tysiąc siedemset metrów, skojarzyła to miejsce. Pierwsze, w którym była z miłym, przystojnym facetem odpoczywającym w „mazurskiej ciszy, żeby naładować akumulatory”. I od tego pierwszego faceta usłyszała w dniu jego wyjazdu, że „ma zobowiązania”. Kolejne próby znalezienia miłości zaczynały się i kończyły według tego samego schematu – jej rozum szedł się kochać, ona szła się kochać, a na koniec facet odjeżdżał. Trzy razy miała taki Dzień Świstaka. Nie licząc Antoniego Gazdy, tyle że wtedy to on przyszedł do niej. No i prawie poznała jego żonę – w tym sensie ten związek można było uznać za bardziej zaawansowany.

Zaparkowała. Poczula skurcz w brzuchu. Niby minęło, a jednak coś zostało – oby nie ten sam recepcjonista – tacy ludzie mają świetną pamięć, a ona wolałaby być jedynym świadkiem tamtej zenującej sytuacji.

Miała szczęście. Na recepcji piętrowego budynku, który od czasu jej pobytu zdążył obrosnąć winobluszczem i w ogóle zrobił się bardziej zanurzony w zieleni, siedziała młoda dziewczyna w białej bluzce, pewnie młodsza od Remka.

– Dzień dobry! – ucieszyła się na ich widok. – Państwo z rezerwacji? – Spojrzała w monitor.

– Nie, z policji. – Wiera wyciągnęła legitymację. – Mamy kilka pytań.

– Jejku, a stało się coś? – Dziewczyna wyglądała, jakby nie potrafiła się zdecydować – czy bardziej to intrygujące, czy przerażające.

– Nie, nic, chodzi tylko o informacje. – Staroń lekko wychylił się przez kontuar, zwieszając się w stronę dziewczyny.

„Jaki wyrywny”, pomyślała Wiera, ku swojemu zdziwieniu, z pewną czułością.

– Zna pani tego mężczyznę lub tę kobietę? – Przesunęła w jej kierunku zdjęcie Nęckiego i młodej Krzysztofik.

Dziewczyna nachyliła się nad fotografiami.

– Nie, nie znam.

– Na pewno?

– Na pewno. Nigdy ich tu nie widziałam.

– A długo tu pani pracuje?

– Od jesieni zeszłego roku.

– Sama czy na zmianę z kimś?

– Jest druga dziewczyna, ona przyjeżdża na popołudnie, to znaczy czasem ja mam na rano, a czasem ona. Tak się wymieniamy. Dziś będzie po trzeciej.

Wiera się zawahała. Mogło się zdarzyć tak, że akurat tylko tamta trafiała na Nęckiego. Mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Wpadną tu jeszcze raz w drodze powrotnej.

– Dobra, to na razie tyle, dziękujemy.

Odwróciła się i poszła do wyjścia. Przy drzwiach zauważyła, że jest sama. Obejrzała się. Remek, który wciąż stał przy kontuarze, podchwycił jej spojrzenie. Coś powiedział do dziewczyny, kiwnął głową i szybkim krokiem dołączył do Wiery.

– Poprosiłem, że gdyby... – zaczął, gdy wsiedli do auta.

– Coś sobie przypomniała, to żeby koniecznie dała ci znać. Pardon – nam znać.
– Wiera przekręciła kluczyk w stacyjce. „Zabiorę cię właśnie tam...” – zaśpiewała im Kancelarya. Nie spojrzała na Staronia, ale mogłaby się założyć, że się zaróżowił. – Dobra, to teraz do Grzybka. A ty sprawdź, co jeszcze mamy w niedalekiej okolicy, tak bardziej na wschód.

– Kuźwa, no nie wierzę. Motel Pod Grzybkiem we wsi Pieczarki. – Wiera patrzyła na dwupiętrowy budynek w niepokojącym odcieniu brązu. – Pełen romantyzm, a estetyka pasuje do obu nazw. Szyld to chyba ten sam od trzydziestu lat. – Przeniosła spojrzenie na wyblakłą tablicę nad wejściem. – Idziemy.

Jednego temu motelowi nie można było zarzucić – był absolutnie spójny stylistycznie – w środku i na zewnątrz, w klimacie i całokształcie. Przywitała ich recepcja obłożona drewnem wymalowanym na mocny brąz. Nad kontuarem zawieszono coś w rodzaju strzechy, a z tyłu naklejono fototapetę z lasem. „Od razu się wszystkiego odechciewa, seksu też”, pomyślała.

Nacisnęła dzwonek, bo recepcja była pusta. Po kilku chwilach przyszedł mężczyzna w kremowej koszuli i brązowych sztruksach, typ kelnera wygi.

– Dzień dobry. Niestety, dziś nieczynne, bo mamy awarię w kotłowni. Do jutra będzie naprawiona, a do tego pierwsze piętro po odświeżeniu, więc... – zaczął zawodowo wypracowanym tonem.

– Dziękujemy, ale my w innej sprawie. Sierżant Wiera Jezierska i po... starszy posterunkowy Remigiusz Staroń z Komendy Powiatowej Policji w Giżycku.

Twarz mężczyzny przeciął krótki grymas, ale zaraz wrócił na nią uśmiech.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

Wiera pomyślała, że gdyby miała sobie wyobrazić żywego Roberta Nęckiego, to byłby właśnie takim uprzejmo-oślizgłym facetem.

– Zna pan tych ludzi? – Podała mu dwa zdjęcia.

Facet przyglądał się Ewelinie Krzysztofik.

– Nie, nigdy jej nie widziałem – stwierdził i wyciągnął na wierzch fotografię Nęckiego.

„Bingo!”, pomyślała Wiera. Mrugnięcie okiem, uniesiona brew – musiał go kojarzyć.

– A tego tak, owszem, wpadał czasem – przyznał.

– Na pewno nie z tą dziewczyną? – zapytała Wiera.

– Na pewno, on nie w takich się lubował. – Mężczyzna się zaśmiał, drapieźnie obnażając zęby.

– A w jakich się „lubował”? Bo rozumiem, że nie przyjeżdżał tu sam.

Facet lekko się spiął.

– Wie pani sierżant, motel to trochę jak konfesjonał. No, może ksiądz toby się obraził, ale chodzi o to, że tu się przyjeżdża często, że tak powiem, incognito. Recepcjonista nie pyta o nic, tylko bierze kasę, daje kluczyk, a co tam ludzie w tych pokojach robią i z kim, to ich sprawa, byle grzecznie i bez awantur. Więc w sumie...

– Więc w sumie mężczyzna ze zdjęcia nie żyje, nie będzie zły, że coś wyszło z tego konfesjonału czy tam motelu. – Wiera podchwyciła pełne uznania spojrzenie Staronia.

– To zmienia postać rzeczy... – Recepcjonista pokiwał głową. – Dobra, kojarzę go, na pewno. Wpadał, kiedy robiło się zimno. To się zaczęło rok temu, chyba na wiosnę. Jeszcze była resztką śniegu w lesie, kiedy przyjechał po raz pierwszy.

– Sam? – zapytał Staroń.

– I tak, i nie. Bo sam przyszedł po klucz i zapłacić, ale potem przyjechała kobieta i tylko powiedziała, że na spotkanie, i poszła na górę. I zawsze tak było, tyle że potem to już jedynie kiwała głową i nic nie mówiła. A on zawsze brał dwunastkę, to nawet nie musiała o nic pytać.

– Czyli kobieta była zawsze ta sama? – Wiera spojrzała na tablicę, gdzie wisały klucze. Dziś był komplet.

Recepcjonista kiwnął głową.

– Uuuu, to była, że tak to ujmę, kobieta totalna. – Aż cmoknął.

– Totalna? – Staroń nie zrozumiał.

– No, z oddechem i siedziskiem, blondyna, że uh.

– A coś jeszcze?

– Taka bardzo zrobiona, nawet nie umiem powiedzieć, czy bardzo ładna. Efektowna, to jest dobre słowo. Dopracowana. Nie taka młoda, ale apetyczna, jak Kasia Figura kiedyś. Wcale mu się nie dziwię, taką kobietę to tylko rwać, jak dojrzałe wiśnie.

„Romantyk się znalazł”, pomyślała Wiera. W tym miejscu, w tym facecie i w całej tej sytuacji było coś lepkiego i niefajnego.

– Nic pan o niej nie wie? Jak się nazywała, kim była, czym przyjeżdżała?

– Nie, nic z tych rzeczy. Z autem to dziwne, bo chyba nie parkowała przed motelem, ale mogła na drugim, starym parkingu, za drzewami.

– A mogłaby być stąd?

– Nie, tu to wiocha, jakby męża rogaczem robiła, to nie tak blisko.

– Dobra, jeszcze jedno – powiedział pan, że wpadał, kiedy robiło się zimno?... A kiedy było ciepło, to nie?

– No nie. Najpierw na wiosnę, potem nie było go, znaczy ich, przez wakacje i dopiero w październiku, jak się grzybiarze z Warszawy sypnęli. Ja sobie kiedyś nawet zażartowałem, że szkoda kasy, jak trawka gorąca, a on przytaknął. Może na serio?...

– I co myślisz? – Staroń usiadł obok Wiery i zamknął drzwi auta.

– Że Nęcki na pewno zdradzał Joannę Krzysztofik, ale niekoniecznie z jej córką.

– No, ten gostek mówił, że z totalną blondyną.

– To, że była blondyna, nie wyklucza, że była i Ewelina Krzysztofik, choć... – Zawahała się. – Nie wiem, Remek, intuicja mi jednak mówi, że taki układ jest bardzo mało prawdopodobny. To znaczy w wariacie, że ona sama, z własnej woli...

– Ale przecież dopuszczając taką możliwość – zdziwił się Staroń.

– Dopuszczałam, bo śledczy nie powinien się zamykać na żaden wariant, nawet jeśli ma... – „zupełnie inne doświadczenia”, pomyślała – ...zupełnie inne spojrzenie. W każdym razie dziewczyny wciąż nie ma, a my jesteśmy w lesie. – Spojrzała przez okno, na drzewa pokryte świeżą zielenią. – Dobra, skupiamy się na tym, co mamy. To znaczy – co prawdopodobnie mamy, czyli na ciąży.

– Wiera, a ty myślisz, że ona żyje?

– Czyżyk jej raczej nie zabił, on jest ogólnie niesamodzielny. Tu podtrzymuję zdanie: dupek. Nęcki?... Martwi nie mordują. Może na razie przyjmijmy, że była w ciąży, z Czyżykiem, i jednak, mimo wszystko, nie chciała tego dziecka. Zdecydowała się na aborcję i coś poszło nie tak. Może gdzieś leży i dochodzi do siebie?

– A może właśnie po takim zabiegu zmarła? I ktoś, kto jej to robił, przestraszył się i gdzieś ukrył ciało? I w ogóle to przypadek, że to w tym samym czasie, co Nęcki?

Wiera westchnęła.

– Może, wszystko, kurna, może. Remek, zabierzesz się do szukania ogłoszeń o aborcji. „Aaaa, ginekolog wszystko”, „Każdy problem, ginekolog”, „Antykoncepcja po” i tak dalej. Szukaj w miarę blisko, generalnie w kierunku wschodnim.

– Ale tylko do granicy?

– Szczerze – nie wiem. Nie miałam nigdy takiej sprawy. W żadnym znaczeniu. – Złapała jego pytające spojrzenie. – Dasz sobie radę. – Uśmiechnęła się pokrzepiająco. – Ja zaproszę Krzysztofik na komendę. Może to ją zmotywuje, bo że cierpi, to jedno, a że wciąż coś ukrywa, to drugie. – Wyciągnęła telefon i wybrała numer. Odchrząknęła i zaczęła oficjalnym tonem: – Wiera Jezierska, Komenda Powiatowa Policji w Giżycku. Chciałam zaprosić panią dziś na piętnastą. W celu złożenia zeznań. Wolalabym nie mówić o tym przez telefon. Do widzenia.

– Nie byłaś za bardzo miła – stwierdził Remek.

– Bycie za bardzo miłym często się mści. Zresztą – tu chodzi o jej córkę. Dobra, a my, skoro już tutaj jesteśmy, to podjedziemy do tej nieczynnej żwirowni. W adidasie Nęckiego z TIR-a też była czarna grudka, co znaczy, że był tam wcześniej, a może nawet bywał tam regularnie. W porze ciepłej.

– Mało romantycznie. – Staroń rozejrzał się po okolicy. – Doły, trawsko, śmieci.

– Fakt. Ale miejscówka za darmo.

– A ty myślisz, że on nie miał kasy? Że nie było go stać na coś bardziej cywilizowanego? Przecież miał robotę, pewnie nawet niezłe płacną, mieszkał u konkubiny. Chyba że ją jakoś wspierał finansowo?...

– I jednocześnie pukał na boku inną? Facet jest skłonny sypnąć kasą, jak jest zakochany, a tu to już przeszłość. Może zbierał na swoją objazdówkę po Europie? Może na coś innego? A może czegoś ważnego o nim nie wiemy? O, tutaj go znaleźliśmy. – Wiera zatrzymała się nad brzegiem wyrobiska. Obok powiewała biało-niebieska taśma policyjna.

– Na zdjęciach wyglądało, jakby było płytsze – stwierdził Staroń. – A ten pierwszy dołek?

– Tam. – Wiera pokazała ręką na wał ziemi i krzaki.

Staroń poszedł we wskazanym kierunku. Obserwowała, jak podchodzi do miejsca, gdzie znalazła saszetkę i zapalniczkę, a potem kuca i długo mu się przygląda. W końcu się podniósł i zaczął iść w jej kierunku.

– Próbuję to sobie wyobrazić i nie potrafię. Ktoś go zaatakował przy tym małym dołku nożem. I on tam się opatrzył? – zapytał.

– Nie wiem. Przeszukanie terenu pod kątem tych kawałków papieru, które się odkleja z plastra, nic nie dało. Albo ktoś je zabrał, ale je zwiało, bo są lekkie. Pytanie numer dwa: on albo ktoś miał ten plaster czy musiał po niego iść? Jeśli to Nęccki, to poszedł, bo dwa kolejne miał w apteczce, zresztą na jednym jest chyba krew. Auto zaparkował tam. – Pokazała w drugą stronę. – Kawałek. I on tam idzie,

sam albo z mordercą, a potem wraca i staje nad tym dużym dołem, wdzięcznie spada, by niedługo potem dostać w łeb.

– Patrz, tam ktoś jest! – Staroń odruchowo złapał Wierę za rękę.

Jezierska podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Naprzeciwko nich, brzegiem wyrobiska, biegła jakaś kobieta.

– Może nie wszyscy przyjeżdżają tu po seks albo śmierć – skwitowała Wiera.

Dystans między nimi a kobietą się zmniejszał. Zdecydowanie była biegaczką – obcisły różowy strój, dobre, równe tempo. Gdy była już blisko, Wiera podeszła do brzegu wyrobiska, zagradzając jej drogę. Kobieta jakby dopiero teraz ją zobaczyła. Gwałtownie wyhamowała i się zatrzymała. Lekko dyszała; Wiera zobaczyła na jej skroniach pot. Biegaczka zastopowała zegarek i wyjęła słuchawki z uszu. Spojrzała na Wierę z mieszaniną niechęci i chyba lęku.

– Przepraszam, stało się coś? – zapytała z jeszcze szybszym, słyszalnym oddechem. Obrzuciła też spojrzeniem Staronia.

– Wiera Jezierska, Komenda Policji w Giżycku. – Sierżant wyciągnęła w jej kierunku legitymację.

Kobieta przez chwilę wpatrywała się w dane.

– Stało się coś? – powtórzyła, ale już spokojniej.

– W zeszłym tygodniu doszło tu do morderstwa. Zresztą widać. – Popatrzyła na wstążkę biało-niebieskiej taśmy.

– Faktycznie. Nie zauważyłam. Pod słońce i ta trawa wysoka... – Kobieta pokiwała głową.

– Często tu pani biega?

– Regularnie. Staram się dwa razy w tygodniu. Tu mam kawałek, więc podjeżdżam. Wiem, to się może wydawać dziwne...

– Jechać autem, żeby biegać? Mnie się w ogóle biegacze wydają dziwni, auto niewiele tu zmienia.

– Dziwni?

– Chodzić – okej, ale dyszeć?

Kobieta się roześmiała.

– A, w tym sensie. Nie, mnie chodziło o to, że tu jest średnio ładnie. Ale mnie to pasuje. Mimo wszystko jest zielono, teren zróżnicowany i pusty. Znaczący tak było. – Kobieta popatrzyła na taśmę.

– Naprawdę nie ma lepszej miejscówki? – zdziwił się Staroń.

– Tam dalej – kobieta pokazała ręką w kierunku głównej szosy – jest fajny kawałek Mazur, ale do biegania słabo. Rezerwat florystyczny, ale ścisły, więc tam nie wolno chodzić, bo wierzba lapońska, polodowcowy relikw i w ogóle...

– Spotykała tu pani kogoś ostatnio? – Wiera nie była zainteresowana walorami przyrodniczymi regionu.

– W biegu. – Kobieta się uśmiechnęła. – Chyba tylko takich, co nie bardzo mogą iść w inne miejsca, bo tam nie wolno tego, co oni by chcieli robić – pić, wywozić śmieci, może uprawiać seks...

– Widziała tu pani takich? To znaczy tych od seksu?

– Jakieś dzieciaki. Leżały w trawie, kawałek stąd. Były mocno przepłoszone, jak obok nich przebiegłam, to było w weekend.

– W ostatni weekend?

– Tak.

– A ktoś jeszcze? Ktoś starszy niż dzieciaki?

– Żeby leżał w trawie i się kochał? Nie.

– A w ogóle kogoś innego w ostatnim czasie?

Kobieta się zastanowiła.

– Zeszłym razem widziałam młodego faceta. Sikał. To było blisko drogi, po prostu zatrzymał samochód i kawałek odszedł. A jakieś dwa tygodnie temu starszego pana na spacerze, z tamtej strony. – Pokazała ręką w przeciwnym kierunku. – Tak w ogóle to więcej osób widziałam, bo ja tu trenuję od prawie roku, ale nic podejrzanego, jak na moje oko, zresztą jak biegam, to się wyłączam. – Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Jasne. To jeszcze, dla czystej formalności, wezmę od pani dane i telefon. Może będziemy chcieli o coś zapytać. – Wiera wyciągnęła notes.

– Oczywiście. A, jeśli ja też mogę o coś spytać – ta osoba, która tu zginęła... Bo ja teraz dopiero sobie uświadomiłam, że ja już o tym czytałam, w „Gazecie Olsztyńskiej”, prawda? Więc czy to było przypadkowe, czy celowe, bo z artykułu to niewiele wynikało... Może to ryzykowne, że ja tak tu biegam?

„To, co przypadkowe, okazuje się zwykle koniecznością”, Wierze przypomniały się słowa prokuratorki.

– Myślę, że może pani sobie biegać. – Jezierska kiwnęła głową i poszła w stronę auta.

ROZDZIAŁ 11

– Blondynkę? – Joanna Krzysztofik siedziała przed Wierą w skulonej pozycji.

„Gdyby mogła, podciągnęłaby kolana i zwinęła się w embrion”, stwierdziła Wiera. I od razu pomyślała także o Ewelinie Krzysztofik.

– Tak. O pełnych kształtach, zadbaną.

Patrzyła na kobietę przed sobą i miała świadomość, że to, co mówi, musi ją ranić. Zasada wzajemności jednak w tym przypadku nie zadziałała, więc koniec z wrażliwością.

– Ale... – Oczy Krzysztofik wyrażały pełną bezradność.

– Blondynka, wybujała, jak to się potocznie mówi. Spotykali się w różnych miejscach, na przykład w motelu za miastem.

Krzysztofik pochyliła się nad biurkiem, jednocześnie po omacku szukając czegoś w torebce. Po chwili wyciągnęła z niej chusteczkę i przytknęła ją do twarzy. W końcu się uniosła i trochę wyprostowała.

– Sama pani powiedziała, że znalazła kiedyś jasny włos na jego ubraniu. A że to kochanki, to pani wiedziała?

Krzysztofik kiwnęła głową. Znowu była w brązowej sukience i kremowym swetrze. Wyglądała jak podstarzała nowicjuszka. „Przegryw”, pomyślała Wiera za pierwszym razem. Teraz się w tym utwierdzała.

– To dlaczego nie powiedziała pani tego od razu?

Kobieta milczała.

– Jedno to sprawa morderstwa, drugie – zaginięcia pani córki. Każda informacja, która ma z nimi związek, może mieć znaczenie dla sprawy, dla obu spraw. Każda, rozumie pani? – Teraz to Wiera się nachyliła w jej stronę.

– Ja...

I kiedy Wiera pomyślała, że już nic z tego nie będzie, usłyszała:

– Ja wiedziałam, bo on kupił perfumy. Damskie. Przypadkiem je zauważyłam, w szafie, jak... jak mu spodnie odkładałam. Zafoliowane, z hologramem, nie jakieś podróbki z bazaru. Nawet lepsze niż w drogerii, jakby były z zagranicy albo dobrego sklepu. Czerwone opakowanie z taką wypukłą złotą wstążką. Ucieszyłam się, że to dla mnie, na Dzień Kobiet, bo to było na początku marca. W Dzień Kobiet przyniósł mi tulipany. I nic więcej. A perfumy zniknęły. A potem było to, co już mówiłam, że kilka razy się spóźnił, że ten włos, że był taki... nieobecny albo zdenerwowany.

– Kto to jest? Kim jest ta kobieta?

– Nie wiem, tego naprawdę nie wiem! – Krzysztofik przyłożyła zaciśniętą w pięść dłoń do piersi.

– Ona może mieć związek ze śmiercią Roberta Nęckiego. I z zaginięciem pani córki.

Tego Wiera nie mogła wiedzieć, ale czuła, że sam Nęcki już nie wystarczy, by sprowokować Krzysztofik do mówienia.

– Jak to? – Patrzyła na Wierę zdumiona. – Coś więcej wiadomo o Ewelinie?

– Zna pani tę kobietę? – Wiera powtórzyła pytanie.

– Nie, naprawdę nie, przysięgam! Ja już to powiem – tak, domyślałam się, przecież nie jestem głupia. Było mi jednak wstyd o tym komuś mówić, zresztą komu? Znajomi myślą, że mnie jest... że było mi dobrze, ja ich nie wyprowadzałam z błędu. Też chciałam w to wierzyć. No i na początku było naprawdę dobrze, dopiero potem... A on za każdym razem przepraszał, mówił, że to ze zmęczenia, nerwów, bo ja jestem cudowna. Potem już nie mówił, że jestem cudowna, tylko żebym bardziej o sobie zadbała, bo się starzeję. Albo żebym lepszą

pracę znalazła, a nie od ósmej do szesnastej za państwowe stawki. A później znowu przeproszał, i tak od ściany do ściany. Pokłócił się, obraził, szarpnął, uderzył, a potem kupował wino i kwiaty. Ewelinka powiedziała, żebym go zostawiła, że on nie jest mnie wart, ale ona zaraz wyjedzie na studia i ja zostanę sama jak palec. I to już będzie koniec. Zresztą... Ja chyba zrobiłam większą głupotę. – Spojrzała pytająco na Wierę.

– A dokładniej? – Jezierska poczuła, że puls jej przyspiesza. Może wreszcie będzie coś konkretnego.

– Bo ja zbierałam pieniądze na studia dla Ewelinki. Od pięciu lat odkładałam po dwieście złotych miesięcznie. Zebrałam ponad dziesięć tysięcy. I... – Urwała.

– I co?

– I ja mu je pożyczyłam. – Kobieta zaczęła szlochać. – I on mi już ich nie odda, i kiedy Ewelinka się odnajdzie, to nie będę miała jak jej pomóc.

Wiera poczuła, że żołądek się jej zaciska. „Wyłącz współczucie”.

– Po co mu były te pieniądze?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie wiem, to znaczy nie wiem dokładnie. Mówił, że ma długi, że musi je spłacić.

– Długi? Za co?

– Naprawdę nie wiem. On mi tego nie powiedział. „Jeśli mnie kochasz, to mi pożyczysz”, tak mówił. I jeszcze, że się na pewno odkuje, to mi wtedy odda.

– A mówił, komu jest winien? Koledze z pracy na przykład?

Krzysztofik pokręciła głową.

– Nie, nie mówił. Wydaje mi się, że nie chodziło o pracę. On jeździł do jakiegoś baru przy targu.

– Na Targowisku Miejskim?

– Tak. To znaczy nie na samym placu, ale gdzieś obok. Na początku to go rzeczywiście relaksowało, ale potem coraz częściej bywało tak, że choć jechał w dobrym humorze, to wracał w gorszym, i do tego podchmielony. I wtedy... –

Krzysztofik kilka razy podrapała ramię w swetrze. – A pod koniec maja to wrócił całkiem zły i wtedy mnie zapytał o te pieniądze. I ja mu je pożyczyłam... – Zaczęła się trząść. – A teraz nic nie mam: ani tych pieniędzy, ani jego, ani Ewelinki.

Matka.

Boże, jak ją to bolało! Mogła mieć w życiu pod górkę, czasem los tak podle rozda karty, ale zawsze, na pociechę, na zmianę tego losu, na bezpieczną terażniejszość i pewną przyszłość, jest matka.

U nich role się odwróciły.

Bardzo matkę kochała i jednocześnie jej nienawidziła.

Nie lubiła tego miejsca. Nawet nie samego targu, bo ten był w sumie okej, zwyczajne stoiska i budki, ale całego otoczenia. Nic tu do siebie nie pasowało. Jasne, taka była historia tych terenów, ale przecież teraz to już by można budować tak, żeby oczy nie bolały. W ogóle można budować tak, żeby człowiek się nie czuł źle wśród architektury, a tutaj – pstrokato, żadnego ujednolicenia – tam daszek, tu podcienie, różnaitość mdlących pastelowych tynków i do tego wszędzie banery, szyldy, plakaty. „Centrum Handlowe Dominik”, a nad wejściem, bo czemu nie, łup, „Lajla”.

Obeszła plac handlowy i nic – w najbliższej okolicy żadnego baru. Może w którejś z bocznych ulic? Wybrała Traugutta, tam też był pawilon handlowy, więc może w jego pobliżu coś dla zgłodniałych. „Lombardomat”, z daleka zobaczyła szyld jednego z lokali. Dodatkowo na szybie mrugał czerwony napis „Otwarte”. Ciekawe, czy Nęcki go kiedyś odwiedził, skoro miał problemy finansowe. Zaraz obok lombardu był bar Gryz, na oko sądząc, przypasowałyby kierowcy TIR-a. Tę spójność stylistyczną psuło trochę sportowe subaru z wielkim spojlerem z tyłu. Widać było, że nie nowe, bo zarówno ten kawał plastiku, jak i intensywnie niebieski kolor były modne kilka lat temu, ale tak czy owak, ten samochód nie pasował do swojsko-siermiężnych klimatów. Po krótkiej chwili namysłu postanowiła jednak najpierw pójść do „sklepu pierwszej pomocy”, jak Kosoń nazywał lombardy.

Weszła do środka. „Wszystko tu mają”, pomyślała, patrząc na witryny.

– W czym mogę pomóc? – Usłyszała za sobą męski głos.

Obejrzała się. Znała tego faceta. W zeszłym roku miał sprawę za pobicie – za dużo alkoholu, niefajni koledzy i finał w sądzie. On też ją poznał.

– O, dzień dobry. – Był i zdziwiony, i lekko wystraszony, i trochę niechętny. – To uczciwy biznes – dodał.

– Dzień dobry. Przecież nie mówię, że nie. – Nie miała ochoty bardziej go do siebie zniechęcać.

– Pani sierżant chce coś kupić czy zastawić? – Chyba chciał być zabawny.

– Ani jedno, ani drugie. Mam pytanie.

Facet lekko stężał. Nie był z tych najbardziej przepłoszonych, więc pewnie miał coś na sumieniu.

– Pan wyszedł na warunkowym, prawda? – zapytała i przeniosła wzrok na witrynę z biżuterią. Było zaskakująco dużo pierścionków, które wyglądały na zaręczynowe. „Ciekawe, kto je przynosi? Ona, bo go rzuciła, czy on, bo ona go nie chciała?” Wszystkie bardzo podobne, miłość na jedno kopyto. Obrączek nie było, te pewnie się przetapiało.

– No tak. A stało się coś?

– Nie. Chyba... – Tak, to był zdecydowanie dobry pomysł, żeby tu wpaść. – Ale może mógłby mi pan w czymś pomóc. – Wyciągnęła zdjęcie Roberta Nęckiego. – Zna go pan? Bywał tu może?

Facet nachylił się nad fotografią.

– Nie, nikt podobny niczego do mnie nie przynosił.

– Na pewno?

Kiwnął głową.

– A ten lombard to pana?

Znowu kiwnięcie.

– I dobrze biznes idzie?

– Nie narzekam. Jedni potrzebują kasy, inni szukają okazji na tańsze zakupy.

– A, no tak, to smutne w sumie, ale ja pytałam o formalności, audyty, skarbówkę. Podobno tyle z tym zachodu i zawsze coś nie tak, jak się zjawia kontrola. – Westchnęła.

Jeszcze raz pochylił się nad zdjęciem.

– Więc niczego do mnie nie przynosił, jak już powiedziałem, ale chyba, tak mi się wydaje, bywał w barze naprzeciwko.

– Tak się panu wydaje? – zapytała, miło się uśmiechając.

– Tak, chyba go tam widziałem. To znaczy widziałem go tam.

– Przypadkiem?

Facet wzruszył ramionami.

– Okej: widziałem go tam, siedliśmy raz czy dwa razem do stolika i tyle.

– Przypadkowa golonka we dwóch? – zakpiła.

– W karty graliśmy. – Odchrząknął.

„Więc na to pożyczasz”, olśniło ją. Nie robił lewych interesów w pracy, tylko rznął w karty.

– A wie pan, że kolega nie żyje?

– Nie, naprawdę! – Facet aż się odsunął od lady. – Zresztą jaki to kolega, jak ja nic o nim nie wiem, przysięgam.

„Przysięgam” było właściwie przyznaniem się do kłamstwa.

– Pilnuję się, rodzinę teraz mam, nie wracam do dawnego życia. W karty czasem zagram, ale to przecież niekaralne.

– I tu się pan myli. – Rozpromieniła się. Dobry humor zaczął jej wracać. – Dzięki. I na razie.

Coś zaczynało się klarować, ale o ile Nęcki gdzieś tam majaczył na horyzoncie, o tyle Eweliny Krzysztofik nijak nie potrafiła umieścić w tym wątku.

Właściciel Gryza był niepokojąco podobny do faceta z lombardu – tak samo rozrośnięta klatka piersiowa w pakiecie z krótką szyją, mocne bicepsy i stawiane na zewnątrz stopy. Odróżniał go wiek – był dobre dziesięć lat starszy.

– Dzień dobry – przywitał ją. – Co dla pani?

– Dzień dobry. Może... partyjkę pokera?

Był bardziej opanowany od kolegi z lombardu. Wiera pomyślała, że odcina kupony od doświadczenia życiowego.

– Pani z policji, prawda?

– Sierżant Wiera Jezierska.

– W sprawie tego kierowcy, co to go znaleźliście w dawnym zwirowisku.

– Jest pan świetnie poinformowany.

– Przydaje się w życiu. – Uśmiechnął się bezczelnie. – No dobra, w gazecie czytałem, było, nie?

– Rozumiem, że pan go znał. I że nieboszczyk grywał tu w pokera. I że, bo to już oczywista oczywistość, zaraz mi pan pokaże zezwolenie od ministra finansów na usługi hazardowe.

– Siądziemy? – zapytał, ignorując jej pytanie.

Kiwnęła głową. Znała takich facetów – pewnych siebie, z nieuczciwie zarobionymi pieniędzmi, zawsze wychodzących obronną ręką z każdej sytuacji. Mogłaby się postarać i uprzykrzyć mu życie, bo ten bar to jakaś lewa przykrywka do brudnych interesów, ale pewnie ma dobrego prawnika i się wywinie, a ona w sprawie Nęckiego zostanie z niczym. Jeszcze rok temu poszłaby tym pierwszym tropem, w imię sprawiedliwości, ale teraz zaczynała ważyć zyski i straty. I planować chronologię. „Nie teraz, to potem”, pomyślała, „kiedyś się go ucapić”.

– Przychodzą tu różni ludzie. Jedni jedzą, inni jedzą i piją, są tacy, co tylko piją. I jeszcze są tacy, co tu karty wyciągają. Może sobie wróżą? – kpił z niej i nawet się z tym nie krył.

– Raczej nie. Grają w karty.

– Towarzysko. – Wciąż się uśmiechał.

– Towarzysko – powtórzyła. – Na znaczki pocztowe albo cukierki.

Uśmiechał się. I ją wkurwiał.

– Nie nękam swoich klientów. Przychodzą tu po to, żeby sobie odpocząć, a nie po to, żeby ich ktoś śledził. Chłopcy wpadają i się integrują. Takie męskie

rozmowy przy piwie.

– I co mówił Robert Nęcki podczas tych integracyjnych rozmów przy piwie?

– Nie wiem, bo ja go tylko z widzenia znałem, przecież prowadzę biznes, wiadomo, że pańskie oko konia tuczy. „Cześć”, „cześć”, i tyle.

– No dobra... Skoro jest pan taki poinformowany, to może wie pan coś o kobiecie, z którą Nęcki się spotykał.

– O, to już prędzej. Temat miłszy i neutralny. – Ewidentnie sobie z nią pogrywał.

Wzięła głębszy oddech i delikatnie wypuściła powietrze.

– Blondynka, efektowna.

– Blondynka, efektowna... – Udawał, że się zastanawia. – No dobra, jest taka. I blondynka, i efektowna.

– Zna ją pan?

– Nie. Naprawdę nie. Po prostu widziałem ich kiedyś na bazarze. Od razu powiem, że żadnej obsceny nie robili, po prostu sobie razem szli, ona przed nim, on z siatami za nią. Ona rzeczywiście z efektem, zrobiona, choć nie mój rocznik.

– Nie pana, czyli jaki?

– Czterdziestka. Rycząca, jak to się mówi. A ja wolę spokojne, negadatiwe, takie ... – nachylił się lekko w jej stronę – ...dwudziestki piątki?

Wiera poczuła, że mimowolnie zaciska dłonie w pięści. Brzydził ją ten facet, bezczelna kupa mięśni. Gdyby mogła... „Ale teraz nie możesz”, rozluźniła palce.

– Ją potem też widywałem, samą, więc albo tu gdzieś mieszka, albo pracuje. Nie wiem, czy dobrze pamiętam, ale jakieś damskie fatałaszki sobie kupowała. – Uśmiechnął się obleśnie. – Na pewno pani ją znajdzie. – Podniósł się. – Nie zatrzymuję, bo to chyba ważna sprawa, i wracam do swojej mało ważnej kuchni.

Jezierska wstała. Gotowała się w środku. Czowała się upokorzona – podwójnie – jako kobieta i jako policjantka. Ten facet z niej kpił, na chama mrugał okiem. „Łamię prawo, a ty za cienka w uszach jesteś”, to miał wypisane na twarzy.

– Dzięki – rzuciła, starając się, by usłyszał tylko nonszalancję, a nie drżenie jej głosu. – Do zobaczenia.

„Obiecuję ci to”, pomyślała. Za coś na pewno go udupi.

Szła alejkami targowiska, mijając ludzi i kolejne stoiska oraz lokale handlowe w pawilonach. Dawno tu nie była; nie lubiła takich miejsc, wołała robić zakupy w dużych sklepach – koszyk, jazda między regałami, szybko, anonimowo, bez potrzeby konwersacji. Miała wrażenie, że spora część kupujących chodzi w takie miejsca jak targ, bo chce sobie z kimś pogadać, zabić czas. Albo ma poczucie, że tutaj dostaje coś lepszego niż w sklepie – może zresztą tak było, choć Wierze się wydawało, że cały świat się ujednolicił, wszędzie dają to samo. I wszędzie kantują kupujących. Kiedy jeszcze jadała mięso, a więc i ryby, z miną zbawczyni kupowała tuńczyka w puszce ze znakiem zrównoważonego połowu i rysunkiem pogodnego delfina wesoło brykającego nad falą. Wyobrażała sobie, durnie, ale prostolinijnie, że jakiś rybak zarzuca ze swojej łupiny małą sieć i łowi dla niej tego tuńczyka, a potem humanitarnie go zabija. „Humanitarne zabijanie” samo w sobie było karkołomnym połączeniem, a jej naiwność, jak się okazało, ogromna. Obejrzała w telewizji program o przemysłowym rybołówstwie i ją zemdliło – to było zmasowane morderstwo na ogromną skalę, a przy tym ginęły i inne zwierzęta morskie, a sam znaczek wesołego, bezpiecznego delfina to zwykła ściema.

Staneła przy sklepie rybnym; pachniało zniechęcająco, ale zachęcający był za to właściciel – rozmawiał z kupującą tak, jakby byli na czułej randce. Może totalna blondyna lubiła ryby i taką obsługę.

– Mrożoną czy wędzoną? A może w puszczone? – Sprzedawca przywitał ją miłym uśmiechem.

– Nie, dziękuję. Szukam kogoś... Wiera Jezierska, z policji. – Położyła na ladzie legitymację.

– O. – Faceta zatkało – A co ja mam z tym wspólnego? – Trochę się przestraszył.

– Nic. Może się pan natomiast wykazać postawą czujnego obywatela. – Chciała go zachęcić i ośmielić. – Czy kojarzy pan wśród kupujących kobietę w średnim wieku, blondynkę, zadbaną, taką, na którą się zwraca uwagę?

Facet wyraźnie odetchnął.

– Wie pani...

– Sierżant.

– Więc wie pani sierżant, tu co druga pasuje do takiego opisu. No dobrze, ja po prostu lubię ludzi, a kobiety w szczególności. Może nie co druga, ale co trzecia to już tak. I aż mi ich żal, że one takie odstawione, a faceci w ich wieku jak ciecie. – Sprzedawca pokręcił głową z dezaprobatą.

Wierze trudno było ocenić stopień cieciovatości sprzedawcy, bo był w białym fartuchu i czepku na głowie, ale zauważyła, że ma czyste buty, a za to nie ma wiszącego brzucha, co przy jego wieku – solidne pięćdziesiąt pięć plus – musiało imponować.

Dwa sklepy za rybnym był sklep z bielizną. Jeśli blondynka była efektowna, to zapewne nie tylko zewnętrznie, lecz także pod ciuchami, zwłaszcza podczas randek w motelu. No i ten bez szyi sugerował podobne zakupy na bazarze. Może nawet ją widział w takiej sytuacji?

Jezierska weszła do środka. Oprócz ekspedientki znajdowały się dwie kupujące – jedna starsza kobieta, druga też wpisująca się w nurt „totalności”, choć w wersji mocnej czerni.

Wnętrze było solidnie upakowane towarem – pudełka i pudełeczka z majtkami i rajstopami, pończochy zwieszające się z metalowych drążków pod sufitem, koszule nocne na wieszakach, niefizjologicznie wygięte manekiny w powypychanych biustonoszach, w przeszklonej ladzie koronkowe podwiązki – białe, niebieskie i czerwone (przy tych ostatnich pomyślała o Ewelinie Krzysztofik – czy miała takie na maturze? A może nie tylko wtedy?...) i skąpe stringi. Wiera lubiła sportowy styl i bawełnę. I żeby jej było wygodnie – żadnego uciskania czy wżynania się. Raz się złamała, przy tym drugim, i kupiła coś „seksownego”.

Fiszbina wbijała się jej w żebra, koronka drapała, a wyszło jak zawsze. Kusy stanik wylądował w koszu pod zlewem, gdy koleś wracał z krótkiego mazurskiego wypadu do domu i żony.

Ekspedientka obsługiwała starszą panią, która wybierała podkolanówki. Była cierpliwa i miła, otwierała kolejne tekturowe pudełka, żeby pokazać kolor, splot czy grubość ściągacza. Wreszcie kupująca zdecydowała się na trzy opakowania, zapłaciła i wyszła.

– Jestem tolerancyjna, ale ile można... – Druga klientka westchnęła teatralnie.
– Pani Basiu, te samonośne z szerszą koronką to przyjechały?

– Nie, jeszcze nie, chociaż zamówiłam je trzy tygodnie temu. – Sprzedawczyni bezradnie rozłożyła ręce.

– Uuu... no to niedobrze. Gorąc się zrobił, jak się teraz piec w takich rajtkach z majtami? A do kościoła przecież z gołymi nogami nie pójde...

– To może podkolanówki? Wygodne są, bezuciskowe.

Kobieta się skrzywiła.

– Nie, jak się klęka, to widać. I takie to babciowate. Pani Basiu, pani wie, że ja lubię koronki, no po prostu lubię, żeby było ładnie. Nawet z panią Moniką o tym ostatnio rozmawiałyśmy, bo ona ma podobny gust...

– Pani Moniki to dawno już nie było. Jeszcze na walentynki wpadła, podwiązki wtedy wzięła, takie czerwone... – kobieta zrobiła znaczącą przerwę – ...potem po te same pończochy, co pani by teraz chciała, wstąpiła, no a później przestała przychodzić. Od kwietnia jej nie widziałam.

– Pracy ma więcej. Kasia, ta młoda, na L4 poszła, bo w ciąży. Cały zakład sama ciągnie, to się jej pewnie odechciewa. Wszystkiego.

Jezierska wyczuła w tym ostatnim jakąś aluzję.

– No nic, nie zagaduję, bo klientkę pani ma. – Spojrzała na Wierę.

– A dla pani co? – Gdy czarna totalna wyszła, ekspedientka zwróciła się do Jezierskiej.

Wiera sięgnęła do kieszeni po legitymację.

– Tak?... – Kobieta się spięła.

„Ludzie rzeczywiście mają z nami problem”, pomyślała Wiera.

– Szukam kobiety. W średnim wieku, efektownej, to znaczy bardzo zadbanej, zwracającej uwagę, blondynki.

– Zadbanej blondynki w średnim wieku? – Ekspedientka się zamyśliła. – To prawie jak igły w stogu siana szukać, bo niejedną taką obsługuję. Choćby tę, o której przed chwilą rozmawialiśmy. Pani Monika, fryzjerka. Może jeszcze być...

Wiera drgnęła. Byłoby zbyt łatwo, zbyt oczywiście, ale z drugiej strony, do tej budki na targu doprowadził ją cały łańcuszek wcale nie oczywistych spraw.

– A gdzie pracuje ta pani Monika? – nie pozwoliła jej pociągnąć wątku.

– Ma swój salon, U Moniki, tu niedaleko, na Kętrzyńskiego. Ale właściwie... Bo ja bym nie chciała jej zaszkodzić...

„Zdecydowanie mają z nami problem”.

– Szukamy świadka, może pani tylko pomóc. – Wiera kiwnęła głową i wyszła.

Jeśli miała szczęście, to recepcjonista z Motelu Pod Grzybkiem cholernie trafnie określił kochankę Roberta Nęckiego – fryzjerka w salonie U Moniki była totalna. Dość wysoka, nieszczupła, ale w taki ponętny sposób, jak aktorki w powojennych filmach – duży biust, duże biodra, a między nimi wąska talia. Blond włosy miała misternie ułożone w okazałą konstrukcję. Umalowana też była w taki sposób, którego Jezierska nigdy by powtórzyła. I faktycznie, wyglądała na zmęczoną, jakby sama ciągnęła ten biznes.

Wiera stała przy ladzie, na której były wyłożone kolorowe gazety, ulotki reklamowe i miska z cukierkami. Poczęstowała się jednym. Był słodki i przyklejał się do zębów – coś pomiędzy krówką a gumą rozpuszczalną o mocnym, syntetycznym smaku. Ten zapach nałożył się na ogólną nutę zapachową, która wypełniała cały zakład – była to mieszanka lakierów do włosów, szamponów, odżywek i innych cudów, których tu używano. I jeszcze czegoś, bardziej oryginalnego.

Fryzjerka wyłączyła głośno chodzącą suszarkę, nachyliła się do czesanej klientki, coś jej powiedziała i podeszła do Wiery. Teraz ten zapach się nasilił. Był słodki, ale, o dziwo, nie tandetny. „Totalna”, wróciło do Wiery to określenie. Było bardzo trafne.

– Dzień dobry, jeśli na dziś, to już nie mam miejsc. Najbliższy termin dopiero na... – Spojrzała w kalendarz rozłożony na biurku po drugiej stronie blatu.

– Przyszłam oficjalnie. Wiera Jezierska z komendy w Giżycku. Chciałam zadać pani kilka pytań.

Fryzjerka znieruchomiała z ręką uniesioną nad częściowo zapisaną kartką.

– A w sprawie?... – Popatrzyła pytająco na Wierę, nie wyglądała jednak na zdenerwowaną.

– Za chwilę, proszę skończyć. – Wiera przeniosła wzrok na klientkę na fotelu. Blond kask na jej głowie wyglądał na prawie gotowy, to nie powinno zająć dużo czasu.

Fryzjerka kiwnęła głową i wróciła w głąb pomieszczenia.

Zakład U Moniki był zapewne wystylizowany przez właścicielkę. Dominował kolor czerwony, w oknach stały storczyki w brokatowych doniczkach, a zasłony zrobiono z połyskliwego tiulu, finezyjnie upiętego sporymi kokardami. „Absolutne przeciwieństwo Joanny Krzysztofik”, pomyślała Wiera, przyglądając się fryzjerce. W tej kobiecie były pewność siebie i stanowczość. I spora dawka rutyny, bo w kilka minut dokończyła fryzurę.

– Pani Monika... – Wiera wyciągnęła notes.

– Szybuk. Monika Szybuk. – Fryzjerka zaciągnęła się papierosem elektronicznym. Wiera poczuła mocny, waniliowy zapach. – To jaka ta sprawa?

– Czy znała pani Roberta Nęckiego?

– Roberta Nęckiego... – Zamyśliła się, biorąc kolejny waniliowy oddech. – Nie, chyba nie. A powinnam?

Wiera przyglądała się jej i nie potrafiła jej rozgryźć.

– Przymusu nie ma. – Postarała się o uśmiech. – Czyli ani prywatnie, ani zawodowo? Strzyże pani mężczyzn?

– Strzygę każdego, kto się zapisze. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Zaraz sprawdzę, bo może nie pamiętam. – Znowu się pochyliła nad swoim kalendarzem. Zaczęła przewracać kartki w tył, sunąc palcem od góry strony do dołu.

– Nie, nie widzę, więc chyba nie znam – powiedziała po chwili, wciąż wpatrzona w zapiski.

– Szkoda. A przy okazji, jeśli to nie tajemnica, to mogłabym obejrzeć ten kalendarz? – Wiera przechyliła się przez ladę w stronę biurka.

– Nie tajemnica, proszę. – Fryzjerka podała jej pękaty zeszyt w twardej fioletowej oprawie. – Ale... – zawahała się – ...to pani jest raczej tajemnicza. Nie rozumiem, o co chodzi.

Jezierska otworzyła kalendarz na ubiegłym tygodniu. Poniedziałek to była orka na ugorze – klienci od ósmej do dwudziestej, gęsto od imion i nazwisk. We wtorek początek też od ósmej – „Pani Krystyna”, ale ostatnia klientka była wpisana na dwunastą – „Farb + trwał, AZ”; od tego zapisu strzałka biegła do szesnastej. „Późne popołudnie miała wolne”, pomyślała Wiera.

– Szukamy osób, które znały Roberta Nęckiego. Został niedawno zamordowany.

Tym razem efekt był.

– Zamordowany? – Trudno było powiedzieć, czy kobieta zbladła, bo miała na sobie grubą warstwę pudru. – Ale dlaczego... dlaczego... przychodzi pani do mnie z czymś takim jak morderstwo? Skąd? Jak?

– Dostałam informację, że być może znała pani Roberta Nęckiego.

– Ja? Od kogo?

Wiera pomyślała, że większy nacisk został położony na drugą kwestię.

– Nieistotne, zwłaszcza że jednak pani go nie znała. To mam jeszcze jedno pytanie – robi pani zakupy na targowisku?

– Robię. Chyba każdy robi? – Wzruszyła ramionami, zdziwiona przeskokiem tematycznym.

– A w sklepie z bielizną?

Monika Szybuk oniemiała. O ile wcześniej trudno było zgadnąć, jakie emocje w sobie dusi, o tyle teraz jej zdumienie było szczere.

– Budka z bielizną, niedaleko rybnego – podpowiedziała Wiera.

– Tak, ale...

– Kiedy pani była tam ostatni raz?

– Czy ja wiem? Z miesiąc temu? – Osłupienie powoli ustępowało irytacji. – Przepraszam, ja nie chcę żadnych zatargów z policją, ale czemu ma służyć to odpytywanie z takich spraw?

– A wcześniej – ciągnęła Wiera, upajając się swoim spokojem – co pani kupowała?

Szybuk poczerwieniała, nawet puder nie zdołał ukryć rozlanych na policzkach i szyi plam.

– Przepraszam, ale ja się nie będę tłumaczyć z życia osobistego. Prywatnego. Intymnego. – Pogubiła się. – To moja sprawa, co kupuję i jak sobie życie umilam.

– To by było tyle w takim razie. – Jezierska oddała jej zeszyt.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, pomyślała, że Przyzwan doceniłaby jej spokój i umiejętność zirytowania przesłuchiwanej osoby. Uśmiechnęła się do siebie. Miała przecucie, że jeszcze się z Moniką Szybuk spotka, i to całkiem niedługo.

ROZDZIAŁ 12

– Jezierska. Mam krótkie pytanie: czy zna pani zakład fryzjerski U Moniki?

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Przy targu? – zapytała w końcu Joanna Krzysztofik.

– Tak. – Jezierska otworzyła drzwi, żeby wewnątrz auta trochę się ochłodziło. Niby temperatura już spadła, lecz powietrze stało, potęgując uczucie duchoty. Można by się było ochłodzić na plaży, ale Wiera w sumie nie lubiła wody. Urodzona w krainie jezior, z takim nazwiskiem... Los sobie zażartował.

– Znam z widzenia, to znaczy wiem, że tam jest. A dlaczego?...

– I nigdy tam pani nie była? – Jezierska wciąż uważała, że zbyt uпрzejmość nie sprawdza się w kontaktach z matką zaginionej dziewczyny. Pytanie, czy sprawdzi się nieuprzejmość. Joanna Krzysztofik sprawiała wrażenie osoby, która w żadnych okolicznościach nie jest sobą, zawsze próbuje się dopasować do otoczenia.

– Nie.

– A Robert Nęcki?

– Nie, też nie, to zresztą chyba wyłącznie damski fryzjer?

– A gdzie pani partner obcinał włosy?

– Na Warszawskiej. Tam od lat jest zakład fryzjerski. Ja mu go poleciłam, bo mąż koleżanki tam chodził i był bardzo zadowolony. To żaden nowoczesny czy modny salon, ale bardzo porządny i niedrogi.

Po raz kolejny tego dnia Wiera poczuła przyjemny dreszcz; obstawiłaby niemałe pieniądze, że ostatnia, a pewnie i wcześniejsze, fryzura Nęckiego nie wyszła spod ręki „porządnego i niedrogiego” fryzjera z Warszawskiej. Wpisała w wyszukiwarce w telefonie „fryzjer giżycko warszawska”. Internet wypluł numer budynku.

– Nie wiem, trudno powiedzieć. Mężczyźni bardziej do siebie podobni.

Fakt, fryzjer z wspomnianego przez Krzysztofik zakładu też miał bardzo pospolitą urodę; gdyby Wiera miała jutro podać jego opis do portretu pamięciowego, byłaby trochę bezradna – pół męskiej części Giżycka można by było w tym rysunku rozpoznać. Rozejrzała się; nawet jak na lokalne warunki, to miejsce było zapóźnione. Dwa drewniane blaty, a przed nimi proste, duże lustro bez ram, przy jednym paprotka w metalowym koszyczku. Na ścianie boazeria w sosnowym błysku, na oko do połowy wysokości; aż do sufitu puszczano mniej więcej co dziesiątą deskę, a w utworzonych w ten sposób ramach wisały zdjęcia fryzur, ze stylistyki wnioskując, sprzed dwóch dekad.

– Gdyby przychodził regularnie, to pewnie by go pan pamiętał?

Dochodziła również kwestia wieku – fryzjer był już na etapie zdecydowanie emerytalnym, a na nosie miał okulary z solidnymi szklami.

– Proszę pani, ja zdałem egzamin czeladniczy pięćdziesiąt jeden lat temu. Od tamtej pory nieustająco w zawodzie jestem, a pamiętam nawet swojego pierwszego klienta. No, to inna sytuacja, oczywiście, ale stałych klientów to doskonale znam, nic mówić nie muszą, tylko siadają, a ja już wiem, co robić. Gdyby to jednak była pojedyncza wizyta, a do tego jakiś czas temu, to... – Bezradnie rozłożył ręce.

– A często zdarzają się takie pojedyncze wizyty?

– Ale w sensie?... – Mężczyzna najwyraźniej poczuł się urażony. – Bywa, że ktoś na wakacjach chce skorzystać, a potem zawsze chwali i jeszcze mówi, że u siebie toby dwa albo trzy razy tyle zapłacił. Tu nie ma fuszerki, a cennik przyjazny.

Poczuła wibrowanie telefonu. Na wyświetlaczu zobaczyła „Mariusz Motyka”. Nie chciała teraz rozmawiać, bo już całkiem jej ten fryzjer odjedzie. Odrzuciła

połączenie.

– No dobrze – starała się go jednak nastroić przychylnie do siebie – to proszę się jeszcze raz przyjrzeć i zastanowić, czy kiedykolwiek widział pan tego mężczyznę ze zdjęcia.

Fryzjer przybliżył fotografię Nęckiego do oczu, a potem znowu ją odsunął.

– Nie wiem... Może, kiedyś, ale to by musiało być już z parę lat temu i na pewno nie więcej niż jeden raz.

Pokiwała głową. Pasowałoby. Robert Nęcki mógłby się tu zjawić, z polecenia konkubiny, rozczarować co do warunków i już nigdy nie wrócić. Może kolejne miejsce także go rozczarowało i tak trafił do Moniki Szybuk? Od kilku lat chyba do niej nie chodził, bo tyle to przecież był z Krzysztofik, a równoległe te historie się raczej nie toczyły, zresztą romanse mają swoją dynamikę i po jakimś czasie albo się zmieniają w stałe związki, albo kończą.

Tyle że dość rzadko śmiercią.

Wyszła z zakładu na oświetloną popołudniowym blaskiem ulicę. Spojrzała na zegar w komórce – było wpół do szóstej. Była też wiadomość – od Motyki. „Na plastrze tylko odciski denata. W opakowaniu na drugim plastrze jego krew. Samochód jak na ustawieniach fabrycznych, brak krwi. W kabinie TIR-a też. Na razie tyle”.

„Niewiele”, westchnęła. Wszystko wskazywało na to, że Nęcki sam sobie zakleił ranę. „Cholerny pedant”, pomyślała Wiera. Morderca, kimkolwiek był, też był schludny. „Staroń pewnie już w domu, je podane przez mamę pierogi”, przeleciało jej przez głowę. Gdyby coś znalazł, toby się odezwał. Chyba jednak przesadziła, każąc mu szukać ofert aborcji w Internecie. Do tego trzeba więcej doświadczenia, przede wszystkim życiowego. Zobaczy, jak mu poszło, i ewentualnie sama się do tego weźmie.

Billingów wciąż nie dostała.

Anka milczała.

Choć to było do niej niepodobne i nieoczekiwane w sytuacji napiętego śledztwa, jakie prowadziła, Wiera nie potrafiła odsunąć od siebie lęku o siostrę. Nigdy się o nią nie bała, zresztą nigdy nie było powodu. Ance zawsze się udawało przejść przez życiowe rowy suchą nogą – nie uciekała, nie buntowała się, to był klucz do tego sukcesu. „Sukcesu”... Na chwilę się zatrzymała przy tej myśli. Anka odniosła specyficzny sukces. Łatwiej się dopasowywała do różnych sytuacji. Na biologii w liceum Wiera poznała określenie „mimikra” – to było o zwierzętach, które się upodabniają do bezbronnych zwierząt lub przeciwnie – do zwierząt potrafiących się bronić. Zatem Anka się wtapiała, a Wiera... Wiera chciała być sobą, co oznaczało bycie zupełnie inną niż otoczenie. Nie przyjmowała bezbronnej pozy, próbowała walczyć, choć...

Stała na zalanej słońcem ulicy, a zrobiło się jej zimno. Otrząsnęła się.

Przez moment jeszcze się wahała, ale wybrała numer siostry. Rozległ się sygnał oczekiwania na połączenie. Jeden, drugi, trzeci... Anka nie odebrała. Wiera spróbowała ponownie – znów bez efektu.

Czuła, że rośnie w niej napięcie. Nie potrafiła zlokalizować jego źródła, po prostu się zjawiało i pęczniało.

Znowu włączyła Internet w telefonie. „Benedyktynki oblatki”, wpisała. Przekierowało ją na stronę na Facebooku. „Siostry idą z duchem czasu”, zdziwiła się. Przeskrollowała ich posty. Same nudy – święte obrazki albo nastrojowe pejzaże z jakimś biblijnym cytatem. O, a tu serce. „Każda wielka miłość musi mieć swój Wielki Piątek”. Zdjęcie przedstawiało ponurą pieczarę z wejściem w kształcie serca. Na zewnątrz, w pogodnym blasku, stał wielki, posępny krzyż, za którym rozpościerał się pogodny krajobraz. „Kurwa”, pomyślała, a po chwili poczuła gulę w gardle. Gdyby nie to chore przekonanie o noszeniu swojego krzyża, wciskane ludziom, a zwłaszcza kobietom, z ambon i konfesjonałów, może miałyby inne życie. Może one miałyby inne życie – Wiera, Anka i matka. Joanna i Ewelina Krzysztofik. Teraz do guli dołączyło pulsowanie w skroniach. Smutek ściął się z gniewem. Wyszukała numer telefonu w informacjach. Kliknęła i czekała na połączenie.

– Szczęść Boże! – Usłyszała po chwili kobiecy, pogodnie zaśpiewny głos.

– Dzień dobry – powiedziała to z mściwością, celowo akcentując swoją nieprzynależność do Kościoła. – Chciałabym rozmawiać z Anną Jezierską.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– A kto mówi? – Głos stał się mniej przyjazny.

– Wiera Jezierska, jej siostra.

– Chwilowo nie jest to możliwe, proszę spróbować na jej telefon.

– Próbowałam, ale nie... – nie chciała powiedzieć: „nie odbiera” – nie było połączenia.

– Przykro mi, ale nie mogę pomóc.

– Nie może jej siostra zawołać? Poprosić do telefonu?

– Obawiam się, że to niemożliwe. Mamy teraz w zakonie okres wzmożonej pracy.

Jakby rozmawiała z jakimś botem.

– Ale chyba nie cały czas? – Znowu to pulsowanie w skroniach.

– W służbie Panu nie ma przerw.

– Ale...

– Siostra się odezwie. Jest wolnym człowiekiem.

Wiera wciąż stała na ulicy z telefonem przy uchu. Powoli opuściła rękę. „Wolnym człowiekiem, akurat”, pomyślała. Wzięła kilka głębszych oddechów i wsiadła do auta.

W domu też było duszno. Nie znała się na budownictwie, ale czy po kilku latach studiów nie dałoby się postawić takich bloków, które zimą dawałyby ciepło, a latem chłód? Na tym osiedlu udało się osiągnąć odwrotny efekt. To jednak oni w policji mieli lepsze efekty – ponad siedemdziesiąt procent wykrytych przestępstw, a i tak ludzie po nich jeździli. Ciekawe, czy tak samo rozliczają tych budowniczych?

Otworzyła okno; zrobiło się trochę lepiej. Poszła do lodówki po piwo; podważyła kapsel otwieraczem. Już miała wziąć łyk z butelki, ale sięgnęła jednak

po szklanke. Zamierzała poczytać tę książkę o Żydzie w Anglii, dla resetu i kultury. Ku jej zdumieniu nawet ją wciągnęła. Nie spodziewała się tego po tytule, który z założenia był tym jednym ambitniejszym na dwa lżejsze. I rzeczywiście, jak obiecała bibliotekarka, w tej książce nie było takich słów, jak „Zagłada” czy „Holokaust”. Nie znaczyło to jednak, że była ona całkiem pogodna. „Choć w sumie jest pogodna”, pomyślała Wiera, wygodniej rozkładając się na łóżku. Listę pana Rosenbluma czytało się dobrze, po prostu gładko, a jednocześnie miała poczucie, że nie jest to podrzędne powieściidło. Był tu jakiś trik – niby prosto, a jednak nie. Podobnie z humorem – uśmiechała się, ale jednocześnie pod tym uśmiechem był... chyba smutek. „Zgadzał się z sąsiadami, że rolą Żydów jest nierzucanie się w oczy. Jeśli nikt go nie zauważył, człowiek stawał się jak ławka w parku, użyteczna, jeśli się o niej myślało, ale nieodcinająca się od tła”. Tak, to było smutne. „Kluczem była asymilacja”. Mniej więcej wiedziała, o co chodzi, a mimo to postanowiła sprawdzić. Zaczynała mieć jakąś nerwicę z powodu tych różnych obcych słów i powiedzeń, zwłaszcza w obecności Przyzwan. Wstukala wyraz w wyszukiwarce. „W biologii proces przemiany substancji i materiałów pobranych z otoczenia na substancje dla potrzeb własnego organizmu. Asymilacja jest częścią procesu przemiany materii”. „Nie pasuje”, pomyślała. Cofnęła się do Google’a. „Przystosowanie się do życia w obcej grupie przez przejęcie jej kultury i przyswojenie sobie cech właściwych tej grupie”. To było to. Dziwnie te definicje się rozjeżdżały. „W biologii organizm potrzebuje tych obcych materiałów, a w społeczeństwie – nie. A i tak się asymiluje”, pomyślała, biorąc kolejny łyk piwa. Rosenblum zrobił sobie listę stu pięćdziesięciu jeden rzeczy, które musi ogarnąć, żeby zostać prawdziwym Anglikiem. A ona, Jezierska, ile by musiała wpisać na taką listę, żeby się wtopić w komendę, Giżycko, te bloki, rodzinę?... Tym razem wzięła kilka łyków. „A Anka? Ile ona tam u tych sióstr musi? Rosenblum by pewnie wymiękł”. Poczowała, że oczy lekko się jej zamykają. Znowu podniosła szklanke do ust, a po chwili, już pustą, odstawiła na podłogę. Z pozycji pólśiedzającej zjechała do leżącej. Zamknęła oczy.

Nie chciało jej się nigdzie jechać, bo była zmęczona, no i przecież piła, więc to byłoby nierozsądne, refleks jednak spada i w ogóle na procentach to jeżdżą tylko kretyni, ale po prostu musiała. Jakiś przymus. Droga była monotonna, a ruch mały. Ziewała i próbowała szeroko otwierać oczy. W sumie też kretynizm, ale nie mogła się powstrzymać, zresztą już było blisko. Zaparkowała pod murem. Wsiadła z auta i podeszła do furty. Myślała, że będzie jakoś współcześnie, ale to wszystko wyglądało jak w średniowieczu. Nacisnęła metalową klamkę. Nieprzyjemnie zgrzytnęło, a drzwi nawet nie drgnęły. Rozejrzała się – nigdzie dzwonek, domofonu czy czegoś takiego. „Zadzwoń”, pomyślała. Pomacała kieszeń dzinsów, ale niczego nie wyczuła. „Kurwa, zostawiłam telefon w domu”. Rozejrzała się dokoła. W obie strony wysoki kamienny mur, krzyżeć nie ma co. A może trzeba mocniej pchnąć tę furkę? Jeszcze raz nacisnęła klamkę – nic. W przyływie złości napała ramieniem na masywne metalowe drzwi. To znaczy spodziewała się, że są metalowe, a tymczasem musiały być chyba z czegoś gumowego, bo po prostu się od nich odbiła. Zdumiona spróbowała ponownie – to samo. Odbicie. Odbicie. Odbicie.

Nagle usłyszała jakiś stukot, aż podskoczyła. Była w swoim, już ciemnym pokoju. Stopą wyczuła twardy róg książki, która spadła na podłogę. Miała zdrętwiałe ramię, od twardego boku tapczanu.

Chyba.

ROZDZIAŁ 13

„Przepraszam za brak kontaktu, sprawy zawodowe. Odezwę się potem. A”.

Wiera wpatrywała się w ten esemes ze zdumieniem. „Sprawy zawodowe”.

– A jaki ty masz zawód? – zapytała głośno, mieszając kawę.

Ugryzła kawałek kanapki, ale żółty ser bez keczupu to nie było to, a keczup się skończył.

Mogłaby zapytać, zadzwonić, cokolwiek, ale się w niej gotowało. Jedynym wyjaśnieniem tego, jak ją siostra potraktowała, było wzięcie odwetu za poprzednie lata. Tyle że Wiera naprawdę miała od cholery roboty, a czasem nawet gdy miała już wolne, to potrzebowała psychicznie odpocząć, w samotności, bez ludzi. A Anka? Ona tam miała wieczny spokój. Z widokiem na kolejny wieczny spokój. Poza tym jej siostra chyba zapomniała, jak to kiedyś było.

– Kurwa. – Potrąciła kubek z kawą i brązowo-mdły płyn rozlał się po stole. Zebrała go papierowym ręcznikiem. „Będzie się kleić”, pomyślała, bo szczerze sypnęła sobie cukru.

Wydawało się jej, że po Nowym Targu ich relacje trochę się poprawiły. Zaczynało być... nie, normalnie to na wyrost, normalnie to nie da rady chyba nigdy, ale jakoś tak po ludzku. A teraz? Przecież nie wydarzyło się nic, co by mogło Ankę zezłościć. No i Anka, święta za życia, raczej się nie złości, tylko umartwia.

Włożyła telefon do kieszeni. Zdjęła ser z kanapki i zjadła sam chleb z masłem. Dopła resztkę kawy.

Źle się ten dzień zapowiadał.

– Cześć, Remek – przywitała Staronia, który siedział przy jej biurku.

Posterunkowy podskoczył.

– Cześć. Myślałem, że przyjdiesz później, to znaczy normalnie. – Spojrzał na zegar. Do ósmej był jeszcze kwadrans.

– Tak wyszło. Wcześniej się obudziłam. Masz coś? – Spojrzała w kierunku telefonu, który leżał na środku blatu. Jej laptop był przesunięty w bok.

– Ja... – Staroń już zdążył wstać z krzesła, a teraz jeszcze się odsunął od biurka.

– W sumie dobra. Zostań, gdzie byłeś, przecież to miejsce nie będzie stało wiecznie puste. – Teraz odwróciła spojrzenie w kierunku okna. – Przenieś się do... – chciała powiedzieć „Kosonia”, ale się powstrzymała. To by było tak, jakby mu tam jakąś kapliczkę postawiła. – ...tamtego.

Odsunęła krzesło i usiadła. Remek wrócił na poprzednie miejsce.

– To jak wczorajsze przeszukiwania sieci? – zapytała.

Staroń przełknął ślinę.

– W sumie... dość straszne. Jeśli dobrze zrozumiałem, to te zabiegi też się przeniosły do sieci, w sensie, że w Internecie można znaleźć wszystko i potem przez Internet wszystko załatwić.

– Problem tylko w tym, że ona, według Michała, nie szukała. I to mi nie pasuje, chyba że szukała u kogoś innego, zaprzyjaźnionego, ale nikt taki się nie znalazł. A co w tej sieci?

– No jest taka strona, że wysyłasz formularz, opisujesz swoją sytuację i oni się z tobą kontaktują. I potem albo ci przysyłają tabletki, takie, no wiesz, żeby się pozbyć... problemu, albo jedziesz do Niemiec czy do Holandii i tam w szpitalu to robisz.

– A co z kasą?

– Piszą, że wsparcie jest różne, także finansowe, to może by i ktoś jej zafundował taki wyjazd, w razie jakby. Ale ona chyba by wybrała te tabletki, bo w końcu od bardzo niedawna była, to znaczy mogła być w tej hipotetycznej ciąży. Tyle że nawet te tabletki... – Staroń spojrział na Wierę. – To jest jakiś hardcore. Wydawało mi się, że po prostu je łykasz i już, po sprawie.

– No bo tak jest – łykasz i jest po sprawie.

– Tak, ostatecznie tak, ale to się odbywa... no, aż mnie zemdliło. Na tej stronie są też historie kobiet, które dostały te tabletki. Takie, jakby no... dosłowne. Mocne. I jeszcze jedna napisała, że to i tak pikuś w porównaniu z porodem, więc ja już naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić, jak urodzenie dziecka może człowieka rozjechać.

– Kobietę. Jak kobietę może rozjechać. Ciebie, faceta, samo czytanie rozwala.

– Szacunek, Wiera, serio – powiedział to absolutnie poważnie.

– Na wyrost. Dzieci nie mam i nie chcę mieć.

– Nigdy? – W jego spojrzeniu niedowierzanie zmieszało się chyba ze smutkiem.

– Nigdy. Praca jest moim dzieckiem – zażartowała, ale sama by się z tego nie śmiała.

– Aha. No dobra. Byłem jeszcze na różnych forach, takich dla kobiet, i tam też coś znalazłem. Że w Suwałkach można się zgłosić i tradycyjnie, że tak powiem, rozwiązać problem. Jedna dziewczyna tak napisała, w zeszłym roku... Słuchaj, a jak my takie rzeczy czytamy, to znaczy dowiadujemy się o nich, to nie powinniśmy czegoś zrobić? Jakoś zareagować, jako policja? – Spojrział na nią.

– Ja o niczym nie czytałam, Remek, więc o niczym się nie dowiedziałam. – Teraz uśmiechnęła się naprawdę.

– Ale ja ci... – chciał coś wyjaśnić, ale się rozmyślił.

– Nie wiem, czy ten trop ma sens. Gdyby rozwiązała to farmakologicznie, potrzebowałaby miejsca i spokoju. Raczej zostałaby w domu. Matka była przeszkodą, bo mogłaby się nie wstrzelić w jej nieobecność. – Wiera głośno

myślała. – Z drugiej strony może wolała to zrobić gdzieś daleko od domu i, jak to powiedziałaś, tradycyjnie. Tylko skąd kasę by wzięła? Jakoś mi się to nie chce połączyć, Remek.

– To myślisz, że ona jednak nie była w tej ciąży?

– Czyżby nie miał pewności.

– Nie miał.

– Ale dziewczyny nie ma. Kamień w wodę. – Postukała palcem w puste biurko.

– Przyjmijmy założenie, że wyjechała z Giżycka. W jakim celu, to na razie hipoteza, ale w mieście jej raczej nie ma, chyba że leży gdzieś schowana lepiej niż Nęcki. Tak czy owak, jakoś się musiała stąd wydostać. Idź na miasto, Remek, z jej zdjęciem. Na oba dworce, postój taksówek. Popytaj, czy tam ją widzieli. Dajmy ogłoszenie w lokalnej prasie, przejrzyj też lokalne fora mieszkańców i tam również wrzuć fotografię. Taki plan na dziś. A, sprawdziłeś ten Auto–Trans i Kielnię?

Starszy posterunkowy Staroń pokiwał głową.

– Tak. I czysto. Firma przemaglowana przez skarbówkę, ale nic nie znaleźli. Rozmawiałem z taką fajną dziewczyną od nich. – Uśmiechnął się. – A temu kierowcy to jeden niezapłacony mandat wisi i jeden z Czech, nie odebrał poleconego. I tyle. A ty, wczoraj, jak? Coś masz?

– Może być, że mam. To na razie prawie wyłącznie czysta intuicja, ale... – Zawahała się. Intuicja brzmiała słabo. Niedopuszczanie Remka do wszystkiego też było kiepskie. – Może udało mi się wpaść na ślad kochanki Nęckiego.

– Myślisz, że ona go zabiła? To znaczy nie ta kobieta konkretnie, ale kochanka, kimkolwiek była?

Drzwi skrzypnęły, choć nikt nie zapukał. Wiera nie musiałaby się odwracać, żeby wiedzieć, kto wszedł, bo w ten sposób zjawiały się tylko dwie osoby: albo Król, albo Przyzwan. Skrzypnięciu nie towarzyszył jednak żaden pospolity dźwięk – posapywanie czy szuranie, tylko elegancki, zdecydowany stukot.

– Cześć, młodzieży. – Prokuratorka siadła na biurku, bokiem do Wiery. – Widzę, że się urządziłaś – spojrzała na pusty blat – w wersji minimalistycznej.

– Od dziś tu jestem.

– I jak ci?

– Chyba dobrze.

– Zmiana warty. – Przyzwan poklepała ją po ramieniu. – A jak w sprawie? Rozmawiałam wczoraj po południu z Mariuszem, ale słabo im coś idzie ze śladami.

– Wiem. – Wiera westchnęła. – Józwik też wycisnął, co się dało, a i tak szalu nie ma. Na razie wiemy tylko, że umarł od uderzenia w głowę tępym narzędziem, którego brak. Wcześniej został zraniony dla odmiany ostrym narzędziem, którego również brak, a tymczasem zdążył sam zakleić się plasterkiem – ten jest i są na nim ślady tylko Nęckiego.

– A dziewczyna?

– Nic. – Wiera pokręciła głową.

Przyzwan założyła nogę na nogę. To była jej ulubiona poza, zresztą słusznie, bo kolana miała naprawdę ładne. Niby mało znacząca część ciała, a jednak sporo mówiąca o urodzie. U jednych kobiet kolana wyglądają jak oklejone niekształtną kajzerką, u innych – smukło i szlachetnie. Prokuratorka to była zdecydowanie ta druga grupa, czyli pierwsza liga nóg. Zresztą cała Przyzwan taka była – smukła i szlachetna.

– Chujowo. – I nawet to nie psuło jej szlachetności.

– Ja się teraz zastanawiam, czy na pewno ta ciąża jest powodem jej zniknięcia. I czy w ogóle była w ciąży.

– Ciężce bywają ulotne. – Przyzwan pokiwała głową. – W sumie jej brak uprawdopodobniłby związek obu spraw. On umiera, ona ginie. Pytanie tylko, jak to połączyć.

– A może to ona go?... Jednak – Staroń spojrzał na Wierę.

– Może, to jedna z hipotez. Tyle że jeśli ktoś zabija kogoś innego, zwłaszcza ze wspólnego gospodarstwa domowego, a później sam znika, to właściwie jakby podał się nam na tacy. Oczywiście mogła to w emocjach przegapić albo to mogło już nie mieć dla niej znaczenia, ale jeszcze jest kwestia kasy, to znaczy tego, za co

by się ukrywała. Tam się nie przelewało, a do tego jeszcze matka przepuściła pieniądze na jej studia.

– Matka? A na co? Z twojego opisu wynika, że żyje prawie jak mniszka – zdziwiła się Przyzwan.

– Na Nęckiego, a dokładniej na jego długi. Podobno był coś komuś winien. Przez chwilę myślałam, że to może jakieś biznesy z towarami, coś na boku, nielegalnie, jakieś podróby czy nieoclenia, ale kumple zza kółka nie robili chyba szwindli, w każdym razie nie z nim, za to Nęcki chodził na spotkania z innymi kumplami, po których to schadzkach, jak zeznała konkubina, wracał trochę pijany i trochę wkurwiony. Wiem, gdzie bywał. I że różni tam w karty.

– A gdzie to? – zainteresowała się Przyzwan.

– Niedaleko targowiska, na Traugutta, bar Gryz.

– To ciekawe, bo w okolicy targowiska trzy miesiące temu zlikwidowano punkt z nielegalnymi komputerowymi grami hazardowymi. Elegancki, monitorowany, wpuszczali po pięć osób. Krajowa Administracja Skarbowa się ucieszyła. Dochodzeniówka z Celno-Skarbowego w Ełku teraz się tym zajmuje. Może to powiązane? Trzeba się temu przyjrzeć. No, mówiłam, że w życiu nie ma przypadków, tylko nieodkryte jeszcze powiązania.

– Jasne, przyjrzymy się, ale szef tego baru, który jest pewnie tylko przykrywką, opowiedział mi, że on się prowadził z jakąś kobietą, która może być kochanką Nęckiego, znaczy mogła być.

– Rozmawiałaś z nią?

– Tak.

– I?...

– No, wyparła się, że go zna.

– Tak, to całkiem dobry początek. – Przyzwan zaczęła czegoś szukać w swojej przepastnej torbie.

– Nie najlepszy – zgodziła się Wiera – ale... Ona kręci, to raz. Samo nazwisko jej nie ruszyło, ale informacja, że on został zamordowany – już tak.

– Przestraszyła się?

– Zdziwiła. Chyba szczerze.

– Czyli to raczej nie ona. – Przyzwan wyciągnęła rękę z torby. W dłoni trzymała flakon perfum. Nacisnęła spryskiwacz i Wierę otoczył znajomy zapach luksusu. – Bez tego czuję się naga. – Prokuratorka jeszcze raz rozpyliła mgłę kuszącego zapachu.

Staroń patrzył na prokuratorkę tak, jakby wolał, żeby nigdy nie używała perfum, a jej poczucie zmieniło się w stan faktyczny.

– Bardzo ładne. – Jezierska nie była zbyt czuła na zapachy, ale może dlatego, że te nieliczne, które wypróbowała, nijak się miały do tego, czym pachniała Przyzwan. Wiele półek cenowych je dzieliło. Kupiła sobie kiedyś jakieś perfumy w drogerii, za prawie stówę, ale w domu pachniały inaczej, głównie alkoholem, do tego słodkim, zresztą krótko, co może w sumie, w takiej sytuacji... – Remek – Wiera wstała. – Jak skończymy, poszukaj w necie perfum. Nie wiem, jak się nazywają ani jakiej są firmy, ale chyba lepsza półka. Opakowanie mają czerwone, znaczy pudełko. I wstążkę, złotą, jakby były oplecione. Jak znajdziesz, pojedź na Warszawską. Tam jest hurtownia perfum. W większości legalnych, bo był na nich donos, zdaje się konkurencji, że robią na lewo. Zobacz, czy mają coś takiego. Jeśli tak, sprawdź, jak pachną, a potem pojedź na Kętrzyńską, do salonu U Moniki. Ta fryzjerka, Szybuk, pachnie czymś – słodkim, ale to nie taniocha. Postaraj się porównać te zapachy. Jeśli się uda, to będzie solidna poszlaka, że znała Nęckiego, bo Krzysztofik powiedziała, że właśnie takie perfumy odkryła przypadkiem w szafie i myślała, że to prezent dla niej, na Dzień Kobiet, tymczasem dostała tylko tulipany.

– Dobrze, że nie goździki i rajstopy elastyczne. – Przyzwan włożyła flakon do torby. – Oryginalny sposób rewidowania kłamstwa. – Spojrzała na Wierę.

– Etap pośredni, tak czy owak, ją sprawdzę, nawet najbardziej skryty romans ma jakichś świadków. – Wiera nagle poczuła się jak uczennica przyłapana na liczeniu na palcach, podczas gdy to był już etap obliczeń w pamięci.

– Nie mówię, że zły. I posterunkowy się czegoś życiowego nauczy.

– Starszy posterunkowy. – Remigiusz Staroń uniósł się lekko na krześle, po czym znowu opadł. – Ale jak ja mam to sprawdzić? – Popatrzył na Wierę. – Jak ją, no... obwąchać? – Chyba lekko się zarumienił.

– Ona roztacza wokół siebie zapach, nie musisz jakoś specjalnie niuchać, wystarczy, że będziesz blisko. Zagadaj ją, zapytaj o coś, tylko oczywiście nie mów, że jesteś z policji. Wymyśl coś, tylko tego nie spal, bo się jeszcze bardziej usztywni.

– Nie spal, tak, jasne. – Po minie Staronia widać było, że jasne jednak nie jest, na pewno nie w praktyce. – Pójdę, tylko muszę wreszcie zrobić te papiery, o które prosił komendant, bo trochę się przeleżały. Miałem wczoraj, ale wsiąknęłam w te aborcje...

– Dzieje się u was. – Pokiwała głową prokuratorka.

– W wyszukiwanie informacji, Wiera kazała. Prosiła. Komendant też kazał, więc... – Rozłożył ręce. – Dwie, trzy godziny i pójdę na Warszawską.

– Ja wrócę do tego baru Gryz i jego właściciela. – Wiera nagle poczuła przypływ energii. Jakieś światełko w tunelu zaczęło słabo błyskać. – Wcześniej się skupiałam na kochance Nęckiego, ale ten wątek karciany i długów też może mieć znaczenie. No i... – Urwała. Nie powie przecież, że szerokoplecy właściciel ją wkurwił i obiecała sobie, że kiedyś za coś go przyskrzyni. Nie było w tym w sumie niczego nieprawidłowego, tak od strony formalnej, bo tego typu emocje wywoływali w niej ludzie będący na bakier z prawem, a zwłaszcza szowinistyczne, tępe dupki. Nigdy się nie zdarzyło, żeby taki typ nie zrobił czegoś, na co były paragrafy. Nigdy. Zarazem jednak pobudki, które nią kierowały, leżały kawałek dalej od chłodnego policyjnego obiektywizmu. Duży kawałek dalej. – No i niech ci w Ełku się jeszcze bardziej ucieszają.

– Niech. – Przyzwan wstała z biurka. Wiera była prawie pewna, że prokuratorka rozszyfrowała jej intencje. Niby mało prawdopodobne, a jednak – takie poczucie jej nie opuszczało. – Słuchaj, Wiera. – Odwróciła się jeszcze

w stronę sierżantki, gdy już była przy drzwiach. – Ten zabity jest teraz na topie, wiadomo, nie jest dobrze, jak trup wisi nieodhaczony w statystykach. Ale dziewczyna też jest ważna, pieprzyć statystyki. Młoda, spokojna, uczciwa i ucząca się. Jeśli kogoś potrzeba temu krajowi, to takich. Bez względu na dalszy rozwój sprawy ze zwirowiska, nie odpuszczaj tego, rozumiesz?

Jezierska kiwnęła głową.

Rozumiała.

W Gryzie było prawie pusto, ale pora nie sprzyjała konsumpcji – o jedenastej na obiad za wcześnie, pierwszy alkohol na dobry początek pewnie wypity w domu, a na ten z kumplami przyjdzie czas po robocie. Przy stoliku pod ścianą siedział tylko samotny mężczyzna jedzący parówki. Na podłodze obok niego stała kraciasta torba – albo czymś handlował, albo skądś przyjechał. W sumie jedno nie wykluczało drugiego.

Za barem tym razem stała młoda dziewczyna z intensywnie wiśniowymi, długimi włosami.

– Dzień dobry, co podać? – zapytała Wierę.

– Szefa. Jest?

Dziewczyna patrzyła na nią nierozumiejącym spojrzeniem obwiedzionym mocno i trochę nierówno czarną konturówką.

– Szefa?

– Tak. – Jezierska wyciągnęła legitymację.

– A. Rany. Dobra. – Poszła na zaplecze.

Po chwili wróciła; za nią przez wąskie drzwi przecisnął się poznany już wcześniej przez Wierę facet.

– O, znowu? Może tym razem jednak na jedzenie? Mamy bardzo dobre serdelki. Pani policjantce przydałoby się trochę pożywnych kalorii. – Przesunął wzrokiem od jej trampek przez wąskie biodra, opięte niebieskimi dżinsami, zatrzymując się na dłużej na wysokości biustu, rozmiarami spójnego z jej szczupłą sylwetką.

Jezierska odetchnęła głębiej. Reakcja zawsze daje takim gościom satysfakcję.

– Możemy usiąść? – Uśmiechnęła się.

Facet na moment stracił rezon.

– Randka z rana, oczywiście. – Szybko go jednak odzyskał.

Zajęli stolik obok mężczyzny z torbą, ale ten był pochłonięty teraz zawartością swojego telefonu.

– Urząd Celno-Skarbowy w Ełku ma ostatnio sporo sukcesów – zaczęła miłym tonem. – I, jak to w życiu bywa, wygrana budzi apetyt na więcej.

Właściciel baru wciąż się uśmiechał, ale Jezierska zauważyła, że zaczęła lekko poruszać stopą.

– Komputerowe gry hazardowe, tradycyjne gry hazardowe...

Uśmiech jeszcze nie zszedł mu z twarzy.

– Tam pomogło obywatelskie zgłoszenie, a tu... – Rozejrzała się po lokalu.

W końcu pękł.

– Co: tu? Tu jest gastronomia.

– I nielegalny hazard.

– Na pewno. Nic nie macie. Pożartowałem sobie z wróżenia i z kart, nie załapała pani, trudno, może było nie na miejscu – przepraszam. I tyle w temacie.

– E, a jednak więcej. – Teraz Wiera zaczęła się uśmiechać. – Tu też dostaliśmy obywatelskie zgłoszenie.

– Ta... – Noga chodziła mu coraz szybciej.

– Tak. Ma pan czujnych sąsiadów. – Spojrzała na ścianę, za którą znajdował się pawilon z Lombardomatem. – Którzy są skłonni współpracować ze służbami.

– To są jakieś jaja! Że niby jacy sąsiedzi? Tacy, co sami rzną fiskusa? – Facet się zirytował. – Durne, puste gadanie, nic nie macie.

Jezierska patrzyła na niego. Pół na pół, że coś ugra. W Gryzie na pewno odchodził nielegalny poker na kasę, wszystko na to wskazywało, mały problem polegał na tym, że nie miała żadnego dowodu. Usłyszała dźwięk telefonu. Był jak chwilowe wybawienie, kilka minut na zebranie się do kupy i ostateczną próbę

ogrania tego dupka. W myślach miała lepiej przygotowaną tę inscenizację w barze. W rzeczywistości impet słabł, a ona poczuła dwie mokre plamy pod pachami.

„Remek”, zobaczyła na wyświetlaczu. „Kiepska inspiracja”, pomyślała.

– Jezierska – rzuciła oschle do telefonu.

Staroń zdziwił się nietypowym powitaniem.

– Wiera? Bo mam newsa. Jeszcze nie byłem w tej hurtowni, bo wciąż robię papiery dla starego, ale już prawie kończę, i w sumie dobrze się stało, bo dostaliśmy anonim.

– Tak. – Wciąż trzymała fason chłodnej profesjonalistki. – Jaki?

– Na zwykłej kartce, takiej jakby z notesu, gładkiej, w kopercie, zwykłej, najmniejszej. Pocztą przyszło, uważaj, do dyżurnego zaadresowane, drukowanymi literami, jakby normalnie od linii, i pismo w środku też takie, żeby nie rozpoznać, a urząd pocztowy...

– Rozumiem. I co tam jest napisane? – Opanowanie poszło się jednak kochać. No, może na razie pieścić. Remek jak nikt potrafił ją zirytować.

– A, już, przepraszam – spłoszył się.

I jak nikt wzbudzić w niej poczucie winy.

– „Zabity R. N. lubił pożyczać pieniądze i nie zwracać. Oddawał się hazardowi w barze Gryz. Sprawdźcie niebieskie auto”.

Wiera rozpromieniła się wewnątrz.

– Doskonale, bardzo dziękuję, świetna robota.

Wszystko było na wyrost, ale Remek tego potrzebował i ona też. Bezszynny patrzył na nią niby kpiąco, ale noga wciąż mu chodziła.

– Ciekawa sprawa... Najpierw informacja od jednego człowieka – znowu spojrzała w kierunku Lombardomatu – że tu się gra na pieniądze, a dziś kolejna, konkretniejsza – że gra i właściciel. I że pożyczka grającym, zwłaszcza jednemu grającemu, którego już nie ma wśród nas, bo został zamordowany. Inspirujące informacje, prawda?

Noga właściciela przestała drgać, on sam też stężał.

– Na pewno, ukartowane, ściemną na kilometr jedzie – prychnął, ale już bez wcześniejszego przekonania.

– Możemy to wyjaśnić na komendzie. O lokal proszę się nie martwić, nic złego się nie wydarzy, bo będzie zamknięty. Mam przecucie, że takie będą wnioski z kontroli Sanepidu, żeby z powodu rażących uchybień zamknąć.

– Ja znam... – jeszcze próbował, ale po chwili wahania odpuścił. – Dobra, czego pani chce ode mnie?

– Prawdy.

Prychnął, absolutnie szczerze.

– Co się z wami porobiło w tej komendzie. Stara gwardia była inna. Dobra, czego konkretnie?

– Znał pan Nęckiego, prawda?

– Tego zamordowanego. Znałem.

– Grał pan z nim w karty, tutaj albo gdzie indziej?

– Nie, nie grałem. To stali bywalcy spotykali się tu, żeby pogadać, coś zjeść i przy okazji pograć w pokera.

– Czyli jednak hazard?

– Rozrywka, można powiedzieć, intelektualna. – Znowu próbował wpasować się w stare koleiny. – Dobra, bez żartów. Nie interesowałem się tym, co robili. Dorośli ludzie, nie będę im nad stolikiem wisiał i zaglądał przez ramię.

– Ale pieniądze pan pożyczał na to, czego nie robili i gdzie nie przegrywali?...

– A kto tak mówi?

– Świadek. Że pożyczył pan Nęckiemu kilkanaście tysięcy. I on panu nie oddał tych pieniędzy, a teraz nie żyje.

Właściciel Gryza znieruchomiał. Patrzył na Jezierską. „Kalkuluje”, pomyślała. Starła się wyglądać tak, jakby jej nie zależało, bo i tak ma dowody. Tymczasem miała tylko jakiś anonim, który mógł być podpuchą albo głupim żartem. Czowała, że po plecach, wzdłuż kręgosłupa, cieknie jej strużka potu. Nigdy nie musiała być tak samodzielna i tak twarda. Nieustępliwa. Opanowana. To znaczy powinna była być,

ale nie była, bo zawsze miała kogoś nad sobą, kierującego sprawą, jak Kosoń, albo obok siebie, nakierowującego na odpowiedni trop, jak Przyzwan. Teraz była sama, ale oni oboje jej towarzyszyli. Były szef ją uspokajał, prokuratorka – napędzała. Wiera często próbowała sobie wyobrazić, co Przyzwan by powiedziała, i sama to mówiła. Próbowała nawet przejąć jej pewność siebie – zaraz się miało okazać, z jakim skutkiem.

– Okej. Pożyczyłem mu kasę. Fakt, nie oddał. Ale go nie zabiłem, to absurdalny pomysł. – Suma pewności siebie w ich układzie była stała – u Jezierskiej rosła, u niego – malała.

– Raczej logiczny. Miał u pana dług, nie spłacał, wymigiwał się, doszło do wymiany zdań, szarpaniny... – Przed oczami miała Nęckiego leżącego na dnie wyrobiska. Plaster na klatce piersiowej jednak raczej wykluczał właściciela Gryza. Miejsce śmierci i zabijanie na raty – również. „Ten facet inaczej by to rozegrał”, pomyślała, patrząc na umięśnione ciało rozmówcy.

– No jak, kurwa, zabił! – Mężczyzna walnął pięścią w stół, aż facet od parówek i telefonu spojrzał w ich stronę. – Tak się nie robi biznesów. Nieżywi nie oddają kasy – dodał trochę spokojniej.

– A jak się robi? Zwłaszcza jak dłużnik już jest trupem? Jak się wtedy odzyskuje pieniądze?

Facet wzruszył ramionami.

– Wkalkulowane w biznes. Dobra. – Lekko się nachylił w jej kierunku. – Coś pani powiem. Znałem tego gościa. Pierwszy raz zjawił się tutaj ze trzy lata temu. Z takim Zbyszkiem, obaj TIR-owcy. Zbyszka znałem, był równy gość. Nie żyje. – Podchwycił pytające spojrzenie Wiery. – W zeszłym roku, rak, zebrał się w dwa miesiące. Więc przyszli razem, dołączyli do tych, co tu stale bywają. Zbyszek bywał od czasu do czasu, a ten regularnie. Nie że często, no bo jeździł, ale regularnie. Szło mu różnie, raz na wozie, raz pod wozem, ale generalnie na plusie. Jakoś się kiedyś zgadało, że by pożyczył. Zaryzykowałem raz – oddał, drugi – to samo. No i tak poszło i zawsze w końcu było uregulowane. Ostatnio coś gorzej mu

wychodziło i przyszedł po tę kasę. Dwanaście tysięcy. Miał się zjawić w ubiegłym tygodniu i uregulować dług. To znaczy już wcześniej miał oddać, ale mówił, że teraz nie ma, ale się odkuje po kilku kursach i wszystko zwróci, nawet z górką. A tu patrzę w gazecie, że jakiś koleś nie żyje. Kto – Nęcki. „Trudno”, pomyślałem sobie, „chuj w bombki strzelił, kasy nie będzie”. Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby jakoś szukać kogoś z rodziny, żeby od niej dług ściągać. Taki jestem honorowy. – Wyprostował się.

– Wzruszające. A co pan robił w ubiegły wtorek?

– No i znowu ta sama śpiewka... Powtórzę – ten raz to nie powód, żebym miał go zabić. Martwy by na pewno nie zwrócił kasy.

– Co pan robił? – Zignorowała go, choć czuła, że to nie on.

– Bar jest otwierany o jedenastej. Czasem otwiera Tomek, który jest na kuchni, czasem Kaśka, dziewczyna za barem. Wtedy to był Tomek, ja przyjechałem około jedenastej, na pewno przed południem. Wcześniej byłem w domu.

– Z kimś?

– Sam. Żona jest nauczycielką w przedszkolu, dzieciaki były w szkole. On wtedy zginął?

– Tajemnica śledztwa, ale rąbka mogę panu uchylić. Tak, wtedy. Szkoda, że był pan sam... – Spojrzała na niego z udawanym smutkiem.

– Kaśka! – Facet półoobrótł się w stronę baru.

Dziewczyna odstawiała na blat szklanę, którą właśnie wycierała, i podeszła do nich.

– Zeszły wtorek, przed pracą. Pamiętasz, co robiłaś? – Pytanie było skierowane do niej, ale facet patrzył na Wierę.

– No... nic takiego, ja... – Dziewczyna dla odmiany spoglądała na faceta.

– Prawdę powiedz. – Wciąż nie odrywał wzroku od sierżantki.

– Ale jaką prawdę? – Była zagubiona. Międlila w palcach ścierkę, którą zabrała ze sobą.

– Prawdziwą prawdę. – W końcu na nią spojrzał.

– Ale że...

– Kaśka, powiedz, kurwa, pani sierżant, co robiłaś w zeszły wtorek przed południem. – Widać było, że zaczyna się denerwować.

– Więc ja... – Jeszcze przez moment walczyła ze sobą, ale w końcu się odważyła. – Byłam z tobą. Znaczy ty byłeś ze mną, bo do mnie przyjechałeś. A po tym, znaczy potem przyjechaliśmy tu otworzyć bar.

– Pasuje? – Uśmiech znowu wrócił na jego twarz. I znowu patrzył na Jezierską.

„Ten typ żyje z takich ludzi jak Nęcki, nie zabija ich”, pomyślała Wiera. I bez tego alibi by go nie podejrzewała.

– Mnie – tak. Ale czy żonie, to nie jestem przekonana. – Też odpowiedziała mu uśmiechem, mimo że jednak zrobiło się jej przykro. Żona do pracy, a ten...

Dziewczyna się zaczerwieniła.

– Możesz wracać do baru, Kaśka – rzucił to lekkim tonem, ale jakiś grymas przebiegł mu przez twarz.

– To wracając do Nęckiego – ta kasa to była na grę? Tyle przegrywał?

– Tak mówił. Nie jestem bankiem, nie sprawdzam.

– Nie zarabiał chyba mało, to na co jeszcze mógłby wydawać kasę, że nie miał z czego oddać?

– Może się dowiecie. Chyba miał jakieś problemy, bo był ostatnio podkurwiony.

– Może z powodu tej blondynki?

– E. – Machnął ręką, już odprężony. – Nie wydaje mi się. Takich to, bez urazy, mógł mieć na pęczki. Sama pani wie, jakie są proporcje. – Wrócił mu też obleśny uśmiech.

– A wie pan coś o jego życiu prywatnym, innym niż ta blondynka?

– Że je miał, bo było jasne, że blondyna to tylko odskocznia, ale od czego czy tam kogo odskakiwał, to ja nie wiem, nie mój interes. Raz coś tam przebaknął, że skołuje kasę, tylko musi starą urobić, bo konto wspólne czy jakaś lokata.

„Udało mu się”, pomyślała Wiera. „Jeśli nie oddał tej kasy facetowi z Gryza, to gdzie ona jest?”

- Niech pan nie wyjeżdża z Giżycka, możemy mieć jeszcze pytania.
- Nie zabiłem go, naprawdę. Sama pani w to nie wierzy. – Pokręcił głową.
- Święty pan nie jest.
- Tacy to dopiero potrafią nawywijać.

Miał rację, ale ona i tak wróci.

Wyszła z baru. Staroń pewnie dopiero co skończył robotę dla starego i ruszył na Warszawską. Ona też musi sięść do papierów, bo jutro odprawa i trzeba będzie się wykazać, głównie tym, co zrobiła. Komendant lubił rozliczać z nakładów pracy w równym stopniu, co z efektów. Jak coś nie było wymęczone, liczyło się mniej. Błyskotliwe wpadnięcia na trop, szczęśliwe zbiegi okoliczności, intuicja – dla Zbigniewa Króla to był zestaw jak z science fiction.

Znowu telefon. „Pewnie Remek”, pomyślała, ale to dzwonił Mariusz Motyka.

- Cześć, mam coś dla ciebie – oznajmił z zadowoleniem. – Wreszcie.
- Cześć. Dawaj. – Nie potrafiła się teraz bawić w grę „Postopniujmy napięcie”.
- Włos. Z koszuli dżinsowej Nęckiego wziętej z kabiny TIR-a. Masz tam jakąś blondynę w kręgu podejrzanych?

Miała. I to dwie: Ewelinę Krzysztofik i Monikę Szybuk.

ROZDZIAŁ 14

– Zanim zaczniemy z tym włosiem, to ci jeszcze powiem, że mam wynik badania nitki z zapalniczki denata. – Mariusz Motyka przekładał papiery na biurku. Wierze imponowała jego schludność. W obyciu był dość chropowaty, ale jeśli chodzi o robotę, wszystko było gładkie.

– I? – zapytała, ale bez nadziei, bo gdyby Motyka miał newsa, toby nie wytrzymał i pękł. W pękaniu nie był schludny.

– I nic, tyle tylko, że mu się kieszeń postrzępiła, a takie niby dobre spodnie. Nie warto przepłacać. A te twoje – spojrzał na jej trampki – to firmowe czy podróba?

– Pytasz strażniczkę prawa. – Też przeniosła spojrzenie na dorodne białe gwiazdki.

– Bo wiem, ile strażnicy prawa w Polsce zarabiają. – Uśmiechnął się.

– Jestem gospodarna. No dobra, znaczy szkoda, ale dobrze, że jest ten włos. Mam dwie blondynki, potencjalnie związane z jego życiem i śmiercią, teraz będzie można to zrewidować. – Wiera usiadła przy biurku. O jedenastej miała się stawić u komendanta, żeby mu zdać raport z postępów w śledztwie, a właściwie – w śledztwach. Dobrze, że wreszcie było coś konkretnego.

– Niby tak, ale jednak nie. – Motyka wyrównywał pokaźną kupkę dokumentów.

– Jak nie? Z włosa wszystko można, a przede wszystkim DNA? – zdziwiła się Wiera.

– Można wiele – zgodził się Motyka. – Żeby to miało wartość dowodową, to trzeba by zbadać DNA jądrowe, a do tego potrzebny jest włos wyrwany i najlepiej młody. Musi być cebulka i pochwotka. A u nas – rozłożył ręce – tego brak. Włos wypadł i to raczej nie z młodej głowy.

„Czyli chyba nie dziewczyna”, pomyślała.

– A jest farbowany?

– Tego jeszcze nie wiem, ale badania makro- i mikro- zrobię dziś i ci powiem. I to właściwie tyle, na ile możesz liczyć.

– A te puszki? – przypomniała sobie.

– Wymacane przez tłum. Jak dasz podejrzanego, to ewentualnie możemy dopasowywać. A jak w ogóle ci idzie?

– Właściwie to trudno powiedzieć. Mam kilka wątków, całkiem rojujących, tyle że pojedynczo. Nie wiem, jak się łączą, a jakoś muszą. To znaczy teraz to, że się łączą, wydaje się nieprawdopodobne, ale bardziej nieprawdopodobne by było, gdyby się nie łączyły. – Wzruszyła ramionami.

– Powiem ci, że wolę swoją robotę – wyciskam, co się da, i mam spokój. – Z zadowoleniem patrzył na idealnie równą już kupkę papierów.

Jeziarska nie miała spokoju. Nigdy nie miała spokoju, może w pierwszych, nieświadomych latach życia, choć wtedy na pewno spokojnie u nich w domu nie było, a psychologowie twierdzą, że to właśnie te pierwsze lata życia mają kluczowe znaczenie dla przyszłości, bo meblują dzieciakowi głowę i zaczynają rządzić jego emocjami. I nie ma żadnego znaczenia, że jest się niekumatym człowiekiem w pieluchach – kartka zostaje wtedy zapisana i trudno z niej potem wymazać te pierwsze wpisy-doświadczenia. Zresztą w jej przypadku nikt niczego nie wymazywał, wręcz przeciwnie, przybywało ostrych pociągnięć i skreśleń.

– Idziemy? Wiera? – Podniosła głowę i zobaczyła, że stoi nad nią Remigiusz Staroń.

– Tak, zamyśliłam się, sorry. – Wstała zza biurka i ruszyła w stronę drzwi.

– Trochę się stresuję – Staroń wciąż tkwił przy jej biurku. – Pierwsza taka poważna sprawa... I jeszcze wczoraj nie wyszło idealnie, to znaczy nie jestem pewien...

Wiera westchnęła. Starszy posterunkowy był wczoraj w salonie U Moniki, ale nie udało mu się podejść blisko – fryzjerka, przekrzykując dźwięk suszarki i nie odchodząc od klientki, wpisała go na strzyżenie na piątek.

– Bo ona miała ten kalendarz przy sobie, znaczy na tym stoliku przed lustrem, gdzie siedzi klientka. Nie było powodu i nie było sposobu. Słabo wyszło... Przyzwan pewnie zapyta, bo była przy tej rozmowie, i będzie wtopa. Wiesz, jaka ona jest...

– Jest bardzo okej. W piątek będziesz miał okazję do bliższego spotkania z fryzjerką. Poza tym jest ten włos, połączymy to wszystko. No chodź, bo stary nie lubi, jak ktoś się spóźnia, chyba że on.

– Jak wiecie, w ostatnią niedzielę była u nas w kościele msza w intencji odnalezienia tej dziewczyny. – Zbigniew Król wygodniej oparł się w fotelu. – Ta o dwunastej.

– Ja chodzę na dziewiątą, żeby potem mieć już... – Staroń się poderwał, ale po chwili usiadł. – No żeby już być po.

– A pani sierżant badała ten trop? – Maria Przyzwan, podobnie jak komendant, mocniej docisnęła plecy do oparcia krzesła i lekko zsunęła się z siedziska. Wyglądała na rozluźnioną.

Zbigniew Król zrezygnował z relaksowania się. Wyprężył się i nachylił w stronę biurka.

– Pani prokurator jak zawsze w kontrze – powiedział.

– W kontrze do czego? – Maria Przyzwan nie zmieniła pozycji.

– Do wszystkiego, co normalne. Zwyczajowe i przyjęte. Co niby jest złego w tym, żeby się pomodlić w takiej intencji?

– Nic, absolutnie. Po prostu jestem ciekawa, czy pani sierżant była na tej mszy w celach operacyjnych, żeby zobaczyć, czy zjawi się ktoś podejrzany, kto w ogóle

przyjdzie itede, itepe. Bo mówimy o wiedzy operacyjnej, prawda?

Komendant przez chwilę milczał, potem bardzo cicho rzucił coś do siebie. Wierze wydawało się, że było to: „robactwo”, ale to by było bez sensu. „Lewactwo”, olśniło ją. Pasowałoby. Jeśli chodzi o politykę, taką prawdziwą, na serio, kto o co walczy, w imię czego i dla kogo, to orientowała się z grubsza, czym jest lewica i prawica i jak to na świecie się układa. W Polsce można było się pogubić; pewne było natomiast to, że jak ktoś nie chodzi do kościoła, jeździ na rowerze, nie je mięsa i sadzi drzewa, to jest lewakiem. Przyzwan pasowała w jednej czwartej, chyba że sadziła drzewa – o tym Wiera nie miała – nomen omen – zielonego pojęcia.

– Nie byłam. Nie mam tam żadnych informatorów – powiedziała to absolutnie serio, w ostatniej chwili zdając sobie sprawę z możliwej dwuznaczności.

Twarz Przyzwan się rozpogodziła; dla niej zdanie było ewidentnie jednoznaczne.

– A inni informatorzy? – zapytała.

– Pani prokurator, przyjdzie czas na pani pytania. To co macie, Wiera? – Komendant raczej burknął, niż zapytał.

– Jeśli chodzi o Roberta Nęckiego, to wiemy, że okłamał konkubinę co do terminu kolejnej trasy w pracy – naprawdę miał jechać w piątek, a opuścił ich wspólne mieszkanie we wtorek rano. Na pewno miał kochankę, to przyznała sama konkubina.

– Wygibaszy – mruknął Król – żeby konkubina opowiadała o kochance...

– Oprócz tego grał w pokera, w barze blisko targowiska.

– No masz! Przed chwilą hazard na komputerach zlikwidowaliśmy, teraz to! Trzeba się do tego wziąć. Masz dowody?

– Przypuszczenia, ale pośrednio potwierdzone. Ja chętnie się tym zajmę, tylko już po zakończeniu tej sprawy, znaczy tych dwóch spraw.

– Oby szybko. Potrzeba nam wyników. I co z tym graniem? To ma związek z zabójstwem?

– Raczej nie. Nęcki pożyczył kasę od właściciela baru, gdzie się gra, ale...

– No i jeszcze był ten anonim – wyrwał się Staroń.

– Anonim? – Król spojrział na Remka jak na kosmitę. – Jaki anonim?

– Bo to dosłownie przed chwilą. Niedawno znaczy. Ktoś wykaligrafował na kartce, że właśnie ten facet z baru, co ma niebieskie auto, może być zamieszany, bo nasz denat tam grywał i przegrywał. – Remek wyrzucił to z siebie na jednym wydechu.

– No to tym bardziej trzeba to sprawdzić. – Król poprawił się w fotelu. – Podstaw was trzeba uczyć?

– Już przeprowadziłam wstępne rozeznanie. – Wiera nie powinna być zła na Staronia, ale była. Chłopak chciał dobrze. – Odpowiedzmy sobie jednak na pytanie, co by ten facet z baru zyskał na śmierci dłużnika?

– A to mordercy myślą logicznie? Termin minął, zwrotu nie było, zdenerwował się, może chciał postraszyć i poszło. Alibi ma?

– Ma. Kiedy ktoś mordował Nęckiego, on się spotykał z kochanką, znaczy z dziewczyną, która stoi u niego za barem – powiedziała Wiera.

– Wszyscy tylko z kochankami się spotykają – prychnął komendant. – I każdy ma alibi. A to alibi to w ogóle prawdziwe? Jak dziewczyna u niego pracuje, to mógł ją zmusić, żeby zaświadczyła na jego korzyść, bo jak nie, to ją wyrzuci z roboty.

– Mógł – zgodziła się Wiera. – Ale na razie przyjmujemy, że było tak, jak oboje zeznali.

– No dobra. – Król odchrząknął. – To na co wy teraz czekacie? – Najpierw spojrział na Jeziorską, potem na Staronia.

Posterunkowy nabrał powietrza, ale nic nie powiedział.

– Na sprawdzenie innego wątku. – Wierze udało się zachować spokój. – Dzięki temu wątkowi wiemy o blondynce, z którą Nęcki bywał widywany. I prawdopodobnie wiemy, kto to jest – fryzjerka, Monika Szybuk. Blondynka, blond włos znaleźliśmy w kabinie TIR-a.

– To nie zmienia jednak faktu, że...

– Panie komendancie, sposób przeprowadzenia zbrodni – etapowo, cios zadany z mniejszą siłą, wybrane narzędzie, zapewne znajomość ofiary i mordercy i relacja emocjonalna między nimi sugerują raczej, że zabójstwa dokonała kobieta.

Zbigniew Król patrzył na Wierę. Miała wrażenie, że chciał ją ochrzanić za przerwanie mu, ale powiedział:

– One obie blond. Ta dziewczyna i ta fryzjerka. Będzie wiadomo, czyj to włos?

– Motyka to sprawdzi. DNA nie da rady wyznaczyć, ale powiedział, że to raczej włos osoby niemłodej. I jedna jest naturalna, a jedna farbowana, a to w badaniach wyjdzie.

– Motyw tej fryzjerki?...

– Na razie nie wiemy, ale w takich relacjach, znaczy w romansach, temperatura wydarzeń bywa gorąca.

– No... Konkubina wiedziała o kochance... – komendant uśmiechnął się zgrzyliwie – ...to może być i zabójstwo w finale. Ale ta matka, znaczy konkubina, poza podejrzeniami?

– Poza. Była w pracy we wtorek, do szesnastej. Jóźwik i logowanie telefonu sugerują, że on umarł we wczesnych godzinach popołudniowych we wtorek.

– A ta młoda? Ona może mieć związek z tą sprawą? Była kwestia ciąży, tak?

– Hipotetycznie. Takim podejrzeniem podzieliła się z byłym chłopakiem, ale żadnej pewności nie mamy.

Zbigniew Król pokiwał głową.

– A te pieniądze, który które Nęcki pożyczył, to wiadomo na co? Bo może to dla tej dziewczyny na rozwiązanie tej sprawy, co?

„Na rozwiązanie tej sprawy”, pomyślała Wiera. „Jakby nienazwanie zmieniło sens”.

– Nie ma podstaw, żeby tak myśleć. Ewelina Krzysztofik nie lubiła ojczyma. Nawet gdyby potrzebowała pomocy, raczej by go nie prosiła. Rozważaliśmy przez

chwilę koncepcję, że być może to ona miała romans z Nęcim, ale odeszliśmy od niej.

– Gdyby to ludzie żyli, jak trzeba. – Król westchnął. – To mogę podsumować, że kręcicie się w kółko, co? – dodał z nieukrywaną satysfakcją.

Usłyszeli piknięcie telefonu; zielona dioda zapaliła się na telefonie Wiery. Esemes był od Mariusza Motyki.

„Włos jest farbowany, na pewno nikogo młodego”.

– Mamy potwierdzenie, że Nęcki spotykał się z farbowaną blondynką. Porozmawiam jeszcze raz z tą Szybuk. Czuję, że to jest właściwy trop.

– Idź. Tylko żeby cię te uczucia nie oszukały – zobacz, jakiego w tej sprawie narobiły galimatiasu. – Komendanta ucieszyła własna złośliwość.

„Dupek”, pomyślała Wiera.

Mina Przyzwan pozwalała przypuszczać, że prokuratorka podzieliła tę ocenę.

Monika Szybuk poznała Wierę. Niby zachowała spokój, ale z jej pozy – splecione ręce i dłonie mocno obejmujące ramiona – można było wyczytać zdenerwowanie.

Dziś nie miała nikogo na fotelu; Jezierska zastała ją sprzątającą zakład. W powietrzu unosiła się ta sama woń perfum, co poprzednio.

– Dzień dobry. Mam jeszcze kilka pytań w sprawie Roberta Nęckiego.

– Ja już wszystko powiedziałam. To znaczy wszystko i jednocześnie nic, bo nie znam tego człowieka.

– Na pewno? Może się pani jeszcze zastanowić.

– A nad czym tu się zastanawiać? – Wzruszyła ramionami. Wciąż stała w tej samej pozie, jak mumia.

– Mamy włos z koszuli denata. – Wiera lubiła to słowo. Brzmiało ładnie i było takie logiczne. Przyszło do polskiego z łaciny. Natus znaczyło urodzonego, a dodane na początku de oznaczało zaprzeczenie tego, co później, tak mniej więcej zapamiętała tę informację ze Szczytna.

Szybuk chyba nie lubiła łaciny, bo się wzdrygnęła.

– Farbowany blond, długość – podeszła teraz jeszcze bliżej do fryzjerki i przyjrzała się jej fryzurze – o, taka jak u pani. Zrobimy badania DNA i sprawdzimy czyj. Mamy pewne przypuszczenia, które zapewne się potwierdzą. A wtedy zaprosimy panią na rozmowę na komendę.

Widać było, że kobieta usilnie się nad czymś zastanawia. Wiera знаła już taki wyraz twarzy. Błyskawiczne kalkulowanie i obranie strategii.

– Dobrze. Znałam go. – Rozplotła ręce i opuściła je wzdłuż ciała. Popatrzyła na Wierę i usiadła w wolnym fotelu przed lustrem. Jezierskiej wskazała drugi fotel. – Spotykaliśmy się, to znaczy mieliśmy romans.

– Kiedy go pani poznała?

– Prawie dwa lata temu. – Szybuk westchnęła.

– Tu, w zakładzie?

– Nie, na targowisku. Robiłam zakupy i poczułam, że ktoś na mnie patrzy. To się czuje, takie męskie, oceniające, znaczy doceniające spojrzenie. Był przystojny i zadbany. No, fryzurę miał kiepską.

– Jak z Warszawskiej.

Kobieta spojrzała na Wierę ze zdumieniem połączonym z podziwem.

– Rzeczywiście dużo wiecie. No, tam to był ze dwa razy, potem chodził na osiedle. Też beznadziejnie. Ludzie myślą, że to proste być fryzjerem, a to sztuka... Mam nadzieję, że wiecie też, że ja nie mam nic wspólnego z jego śmiercią.

– Co było dalej?

– Więc on miał w sobie to „coś”. To się rzadko zdarza, zwykle faceci są tacy, że tylko dalej, bynajmniej u nas. A on – jakby nie nasz. Pierwszy się odezwał. Taka niezobowiązująca rozmowa, a na koniec, że „oślepiła go moja uroda”. Może tak, choć on wtedy patrzył pod słońce... Teraz to wiem, że on mnie brał pod włos, bo nie chciał poważnego związku, ale wtedy... Więc tak, pod włos. A co do jego włosów, to zdecydowanie potrzebował dobrego cięcia. Zaprosiłam go do salonu, a tu, wiadomo, jak to w salonie – kontakt, mycie głowy, ja się nad nim nachylałam, on mi sadił komplementy. Wzięło mnie. – Zamyśliła się. – Pani stąd? – Przeniosła

spojrzenie z okien otulonych tiulem z powrotem na Wierę. – No, to pani widzi, jak tu jest z chłopami. Tylko w wakacje trochę lepiej, jak napłyną turyści. Ale oni napłyną i odpłyną, a potem...

Wiedziała.

– Ja mam czterdzieści sześć lat – ciągnęła Szybuk. – Jeszcze bym chciała poczuć się kobietą, poczuć ten dreszcz, przyjemność, a ten mój... – Machnęła ręką. – Nie pije i nie bije, inne by się cieszyły, że Pana Boga za nogi złapały, ale ja się duszę, taką mam wrażliwość... Na początku to myślałam, że on tak samo we mnie zakochany, bo przecież wszystko na to wskazywało, kwiaty kupował, komplementy mówił, a ja chłonełam to wszystko jak gąbka. I tak płynął czas, pół roku, rok, dwa, trzy się w sumie uzbierały. A w międzyczasie się okazało, że on po prostu chciał sobie postukać bez zobowiązań. Albo, i zaraz sobie pani pomyśli, że jestem kretynką, może słusznie, że może w ogóle to chodziło mu o pieniądze, bo kilka razy ode mnie pożyczał. I na początku oddawał, a potem – nie.

– I mimo to była pani z nim?

Szybuk się uśmiechnęła.

– Pani jest młoda, nawet trzydziestki jeszcze nie ma, nie? I szczupła, i chyba silna, skoro pracuje w policji. I nawet mimo tej pracy to może jeszcze pani ma złudzenia. Ale ja jestem tu, gdzie jestem, i mam tyle lat, ile mam. I powiem pani, że to nie jest świat dla kobiet, a już na pewno nie dla starzejących się kobiet. Może mogłabym być mądrzejsza, a może świat jest tak urządzony, że jednak nie, bo w sumie nie ma alternatywy.

– Wiedziała pani, że on jest w związku?

– Tak, to powiedział. Mówił, że tylko z litości z nią jest, bo ona biedna, samotna, wdowa, dobra kobieta. A potem, jak przyszło co do czego, to nie chciał jej zostawić.

– Co do czego?

– Bo chciałam, żebyśmy byli razem. Ale on nie. Bo mu tak było wygodnie, bo to taki typ, który potrafił się zawsze dobrze ustawić. – Szybuk zaczęła się nakręcać.

– Bielmo zakochania mi z oczu zeszło, to wreszcie zaczęło do mnie docierać. Wcześniej obiecywał, mamił, że odejdzie, że będziemy razem, a to wszystko to było kłamstwo.

– Wiedziała pani coś o córce jego konkubiny?

– O, właśnie, mówił, że matka ma z nią problemy, uczyć się nie chce, wagarowiczka i do tego nierozgarnięta. I że z tego powodu też nie może odejść, bo się kobiecina do końca rozsypie.

„Rzeczywiście kawał dziada”, pomyślała Wiera.

– Zebrany materiał pozwala stwierdzić, że sytuacja wyglądała inaczej. – Chciała, żeby zabrzmiało to dość ogłędnie. – Robert Nęcki nie dbał o dobrostan matki ani córki. Właściwie jeśli chodzi o córkę, to mógł być nią zainteresowany z zupełnie innych powodów... – Znacząco urwała.

– Znaczy jakich? – Fryzjerka w pierwszej chwili nie zrozumiała. – Znaczy, że co? – Aż wstała, kiedy to do niej dotarło. – Tę młodą też posuwał? Niemożliwe, nie znosił jej, pewnie tylko się przechwalał. – Tym razem makijaż przepuścił czerwone plamy na policzkach.

Niby próbowała się sama uspokoić, ale Wiera widziała, że to przypuszczenie przelało czarę goryczy.

– To jest hipoteza – powiedziała.

– Hipoteza... – prychnęła Szybuk. – Policja, a też kłamie.

– Gdzie się spotykaliście?

– W motelu, to na początku. – Fryzjerka sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę wyrzucić z siebie wszystko i odciąć się od tej sprawy. – To było w fazie pierwszej. A potem, cholerny sknerus, zaproponował, żeby i w naturze. Niby że romantycznie, na łonie, „dwóch łonach – natury i twoim”, a on po prostu kasy skąpił na motel. Jaka ja byłam durna!

– A w naturze to gdzie?

Szybuk stężała.

– Ja wiem, do czego to pytanie ma prowadzić. Tak, niedaleko tego miejsca, gdzie go znaleźliście, ale z tym to ja nie mam nic wspólnego, nic a nic. Ostatni raz widzieliśmy się tu, w zakładzie. Znowu była rozmowa, znowu mu przypomniałam, że obiecał, a on znowu kota ogonem odwrócił. Pokłóciliśmy się. Ja chciałam, żeby się wywiązał z obietnicy, że będziemy razem. Już nawet prawie zapowiedziałam mężowi, że odejdę, a Robert zaczął się migać, wycofywać, oczy mydlić tą konkubina i jej córką. No to postanowiłam, że więcej się nie będę napraszała, bo mam swój honor. Obcięłam mu włosy, taki pożegnalny prezent. I tyle z mojej strony.

– Kiedy to było? – Wiera przypomniała sobie odpicowaną fryzurę Nęckiego. Szybuk musiała go strzyc niedługo przed śmiercią.

– W piątek, cztery dni przed... przed tym, kiedy zginął.

Albo nie potrafiła go wyrzucić z pamięci i wciąż rozpamiętywała każdą chwilę ich związku, albo się przygotowała na to pytanie.

– A co pani robiła we wtorek w ubiegłym tygodniu? – zapytała Wiera; lekko, niby od niechcienia.

– We wtorek, kiedy umarł? – Szybuk spojrzała na nią trochę jakby wyzywająco. – Zaraz sprawdzę. – Wstała z fotela i skierowała się do biurka za ladą. Tym razem tam trzymała notes z nazwiskami klientów i datami umówionych wizyt.

Wiera patrzyła, jak Szybuk idzie, powoli, delikatnie kręcąc biodrami. „Kobieta totalna”; tak, to określenie pasowało, Szybuk była stworzona do takiego chodu, takich blond włosów, utrefionych, chyba tak się mówiło na te zaczesania, podpięcia i nastroszenia, takich butów na obcasach upstrzonych czymś błyszczącym. Wiera w takim wydaniu to byłby śmiech na sali – żenada. Niby to Szybuk była sztuczna, a Wiera – sama natura, ale to właśnie natura sprawiła kiedyś, że...

– Mam. – Monika Szybuk nachyliła się nad notesem. – Wtorek. Tego dnia miałam czynne od ósmej, to musiałam tu być ze dwadzieścia minut wcześniej, jak zawsze. Wyszłam o dwunastej.

Jezierska pamiętała tamten zapis z poprzedniej wizyty. I zgodnie z nim Szybuk powinna być w zakładzie do czwartej. To trochę się rozjeżdżało z przypuszczeniami co do konkretniejszej godziny śmierci Nęckiego, ale to wciąż były przypuszczenia, nie pewnik.

– A nie o szesnastej?

– Tak miało być – odparła fryzjerka bez zająknięcia – ale źle się poczułam. Rozboliła mnie głowa, okropnie. Któryś już raz, to pewnie początki menopauzy. Taki los kobiet. – Westchnęła.

– Odwołała pani tę klientkę?

– Nie, niestety. Głupio wyszło, ale nawet nie bardzo pamiętam, jak się nazywała, bo nie wzięłam od niej numeru. Nowa, zapisywałam w pędzie, tu suszę, tam loki kręcę, tu wpisuję. Bywa, choć trochę wstyd.

„Kręci nie tylko loki”, pomyślała Wiera.

– I co było dalej? Zamknęła pani zakład i?...

– Pojechałam do domu, mąż potwierdzi.

– Wydaje się, że sprawa jest prosta. To jeszcze poproszę o numer telefonu do męża. Potwierdzi pani słowa i chyba, przynajmniej na razie, nie będzie potrzeby pani niepokoić.

– Oczywiście, zaraz zapiszę. – Szybuk zamknęła notes i wzięła karteczkę z kolorowego bloczku leżącego na biurku. Szybko coś na nim napisała. – Proszę. – Podała ją Wierze. Karteczka była firmowa, z nazwą salonu unurzaną w kwiatowym ornamencie. – Za szczegółowo to nie musi go pani informować. – To chyba miała być prośba.

– A byłby zdziwiony? Przecież prawie mu pani powiedziała. – Wiera wsunęła kartkę do kieszeni.

– Prawie. – Szybukowa wzruszyła ramionami.

Przy drzwiach Wiera jeszcze się zatrzymała.

– A, to już nieformalnie. Bardzo ładnie pani pachnie. Mogę zapytać czym?

– Tru lof – zabrzmiało jak niemiecka wersja True Love.

– Od Roberta Nęckiego, prawda? Będziemy w kontakcie – Wiera się uśmiechnęła i kiwnęła głową na pożegnanie.

Wyszła z zakładu. Przeszła kawałek ulicą, wyciągnęła karteczkę z jednej kieszeni i telefon z drugiej. Wstukała zapisany numer, dochodząc jednocześnie do wniosku, że z takim pismem to Szybuk mogłaby i w medycynę celować.

Było zajęte.

„Szybko poszło”, pomyślała.

ROZDZIAŁ 15

– No to wszystko z nim ustaliła. – Remek spojrzał pytająco na Wierę.

– Przypuszczam, że mogła – zgodziła się Jezierska.

– Ale w takim razie dlaczego nie zrobiłaś tego inaczej? Bez mówienia jej. Przecież można było go namierzyć i wziąć z zaskoczenia.

– Już raz u niej byłam. Jeśli to rzeczywiście ona, to już wtedy musiał się przestraszyć, co mogło ją pchnąć do tego, żeby ustalić z mężem jej alibi.

– No ale mogła też tego nie robić. No bo wiesz, zdradzała go, a teraz prosi, żeby on ją krył? Za pierwszym razem mogła pomyśleć, że jeszcze nie ma co się bać, ale kiedy zjawiłaś się po raz drugi, to pękła i bez względu na wszystko uderzyła do męża z prośbą.

– I to jest właśnie ciekawe. Bo zakładamy, że on weźmie jej stronę. Tymczasem ona powiedziała, że „prawie” go poinformowała. „Prawie”, cokolwiek to znaczy. Owszem, żona dowiaduje się ostatnia, ale mąż może wcześniej. Dwa lata romansu to dość długo. Nawet jeśli Szybuk nie wyartykułowała mu swojego zamiaru wystarczająco wyraźnie, to jednak coś musiał przeczuwać. Może wcale nie chce jej kryć? Może teraz będzie chciał się mścić? Nie wiadomo, Remek.

Nie spodziewała się nikogo konkretnego, zresztą złapała Zygmunta Szybuka gdzieś na zewnątrz i ich rozmowę szatkował szum ruchu ulicznego. Z docierających do niej słów i intonacji, która w nich brzmiała, wysnuła jednak wniosek, że jest starszy od żony i raczej spokojny.

I te przypuszczenia się sprawdziły, nawet bardzo.

Zygmunt Szybuk mógł nie dosłyszeć z powodu ruchu ulicznego albo z powodu wieku. Wyglądał na dobre dwadzieścia lat starszego od Moniki. Był też, w przeciwieństwie do żony, zupełnie niereprezentacyjny. Miał na sobie na sztywno odprasowaną koszulę w nietwarzową kratkę, kamizelkę w kolorze khaki, spodnie z szerokimi nogawkami, to znaczy z takimi równymi z góry na dół, i brązowe półbuty, wsuwane, z mocnymi gumkami po bokach, które przytrzymywały je na stopach. Był lekko otyły, wejście po schodach przyplącił zadyszką, która jeszcze się utrzymywała.

– Cukrzyca – sapnął, siadając na wskazanym mu przez Jezierską krześle. Wyciągnął z kieszeni materiałową chusteczkę i wytarł nią czoło. – Pogoda, starość i zgubna miłość do słodkiego. No ale co robić, zwłaszcza jak Moniczka zawsze mi dogadza, ciasto upiecze, kogel-mogel ukręci.

Więc już mieli jasno nakreślony kierunek – może i wiedział, ale na pewno nie zamierzał się mścić na żonie. Wiera poczuła na ramieniu spojrzenie Staronia, który, niby zanurzony w papierach, czujnie przysłuchiwał się ich rozmowie.

„W dogadzaniu chyba nie było wzajemności”, pomyślała, patrząc, jak Szybuk starannie składa chusteczkę, z trudem się podnosi, chowa ją do tylnej kieszeni spodni i z powrotem ciężko opada na krzesło.

– Poprosiłam pana o przyjście na komendę, bo chciałam zadać panu kilka pytań na temat pana żony. Jak już wspomniałam, nie musi pan...

– Nie, nie, dlaczegoż by? Przecież to nic takiego, prawda? – przerwał jej z nieoczekiwaną werwą.

– Dobrze – zgodziła się, lekko zdziwiona – to nie ma co przedłużać. W związku z prowadzoną przez nas sprawą chciałabym pana zapytać, czy pamięta pan, gdzie była pańska żona w ubiegły wtorek, czyli siedemnastego maja?

– Tak. Pamiętam, ponieważ wtedy Moniczka źle się poczuła i wróciła wcześniej do domu. Miała być tak około wpół do piątej, a przyszła zaraz po dwunastej. Bardzo się zmartwiłem, bo to nigdy nie wiadomo, a żona ogólnie jest

bardzo zdrowa, przecież w kwiecie wieku... No ale na szczęście to nie było nic poważnego. Ciśnienie było tego dnia niskie, mogła ją boleć głowa, zwłaszcza jak kto wrażliwy, a ona jest wrażliwa.

– A pan co robił?

– Ja? Wtedy to akurat gołąbki. Wyjmowałem z piekarnika, żeby jeszcze podlać sosem, ale już dochodziły. I jak stałem nad nimi z łyżką, to Moniczka weszła do domu.

– Zaraz po dwunastej, a tak dokładniej?

– Może kwadrans po?... – Zamyślił się, zatrzymując wzrok na swoich dłoniach z grubymi i krótkim palcami.

Wierze przypomniały się dłonie Nęckiego – zdecydowanie ładniejsze. Nic dziwnego, że Szybukowa je wołała. W ogóle, jeśli idzie o wygląd, Szybuk zdecydowanie przegrywał z Nęcikiem. W charakterach pewnie było na odwrót, ale biologia ma to w nosie.

– Nie. – Oderwał wzrok od dłoni i spojrzał na Wierę. – To musiało być chwilę przed wpół do pierwszej, bo ja chciałem sprawdzić te gołąbki, żeby sobie w spokoju obejrzyć Kwadrans dla rolnika, a teraz go przenieśli z południa właśnie na pół godziny później. Ja to, wie pani, taki domator jestem. Kawka rano do radia, potem spacer, czasem na ryby chodzę. Dużo też gotuję, no bo Moniczka zapracowana, to żeby jak przyjdzie, miała gorący obiad podany albo jej wożę do zakładu. Ona dla odmiany lubi piec i tak się, można powiedzieć, uzupełniamy.

– Czyli uważa pan, że jesteście zgodnym małżeństwem?

– Tak, chyba tak. Razem od dwudziestu trzech lat, to teraz niezły wynik, bo ludzie się coraz częściej po trzech czy czterech rozwodzą. Jeśli oczywiście wezmą ślub, złożą sobie nawzajem te obietnice przy świadkach, bo to też teraz w modzie, żeby tak na kocią łapę – dziś jestem, jutro mnie nie ma, a i tak chodzę swoimi ścieżkami. – Uśmiechnął się.

Wiera pomyślała, że Zygmunt Szybuk musi kochać żonę, ale ona nie chciałaby takiej miłości. Nie chodziło o jego powierzchowność czy wiek. Chodziło o to

mocne, zbyt chyba mocne przywiązanie do żony, takie, które potrafi zaślepić. Szybuka zaślepiało.

– A po tym obiedzie jak pana żona spędziła czas?

– Najpierw to wzięła tabletkę na ten ból głowy i właściwie to ją namówiłem, żeby coś zjadła, bo wiadomo, że takie leki na pusty żołądek to nie jest dobry pomysł. Więc zjadła, trochę jej przeszło, ale i tak się położyła i przespała do Faktów. Bo my najpierw oglądamy Fakty, a potem Wiadomości, żeby wiedzieć, jaka jest prawda.

„Po takim miksie wiecie tyle, co ja w sprawie Nęckiego”, pomyślała.

– A wieczorem? Wyszła dokądś?

– Nie, dopiero następnego dnia do pracy. Już dobrze się czuła, czasem odpoczynek najlepszym lekarstwem. – Znowu się uśmiechnął.

– No dobrze, to na razie tyle. Jakby był pan potrzebny, numer już mam. – Wstała, dając mu do zrozumienia, że ich rozmowa dobiegła końca.

Była trochę zdziwiona. Myślała, że Szybuk zasypie ją pytaniami, że będzie chciał wiedzieć więcej, właściwie – wiedzieć cokolwiek, bo przez telefon nie udzieliła mu żadnej konkretnej informacji, tylko tyle, że dochodzenie dotyczy morderstwa, ale on nic. Ani o samą sprawę nie zapytał, ani o romans.

Szybuk też się podniósł. Poprawił klapę kamizelki. Była solidna, dość gruba, z kilkoma kieszeniami. To plus koszula z długim rękawem wycisnęłoby z Remka poty, ale widać starszym osobom naprawdę jest chłodniej. Próbowała dostawić obok niego żonę. Zgrzyt.

– Więc tak... – Szybuk wyprostował się i spojrzał na nią. – Dobrze nam razem. Moniczka zawsze do mnie wraca, mimo że ja jestem już trochę leciwy, może niepasujący.

Nie zaprzeczyła, zawsze stawiała na szczerłość.

– Wraca?... – To sformułowanie mogło być przypadkowe, a mogło – znaczące. Szybuk się uśmiechnął.

– Ja jestem w wieku, w którym się zna życie. Pani sierżant, skoro mnie tu zaprosiła, bo bada jakąś sprawę, to pewnie już zrobiła rozeznanie albo zaraz je zrobi. Nade mną nie trzeba się litować, mnie jest dobrze. Niczego mi nie ubywa, już nie.

Patrzył na nią i wciąż się uśmiechał. Nie do końca potrafiła go rozgryźć. Zwykle ludzie w jego wieku są zgorzkniali, zwłaszcza gdy da się im powód, a on go miał. Mógł, co prawda, robić dobrą minę do złej gry, w końcu to nic fajnego przyznawać przed obcymi, że jest się zdradzonym. A mógł też być – bo i takie cuda czasem się zdarzają – zadowolonym z życia polskim emerytem.

– Żal go, nie? – zapytał Remek, gdy za Szybukiem zamknęły się drzwi. – Widać, że on taki w nią wpatrzony.

– Życie, Remek, samo życie. Dobrze się dobrać to jak w totka wygrać szóstkę. Grasz? – zapytała Wiera.

Staroń pokiwał głową.

– No. Tyle że nigdy nawet jednego dobrego skreślenia nie miałem.

– Czyli w miłości się obłowisz.

Niezdecydowany, lekko przepłoszony uśmiech wypłynął mu na usta.

– A, zajrzała tu jeszcze Przyzwan, bo po naszym spotkaniu jeszcze jakieś sprawy miała na komendzie, i w sumie niedawno poszła. Była ciekawa, czy ta wizyta w zakładzie coś dała. Karteczkę ci zostawiła, zapomniałem, przepraszam, ale jakiś jestem zakręcony. – Podał jej złożoną na cztery kartkę z drukarki.

„Sprawdź jednak mocniej tego faceta z baru, choć na mój nos to nie on, no ale skarbówka, you know. Dziewczyna nam umyka. Wróćcie do tego wątku. Może winna, może ofiara, a nawet nie wiadomo, czy żyje (?). MP”.

– Kurde, Wiera. – Posterunkowy mówił do Wiery, ale wpatrywał się w monitor.

Zostawiła kartkę na biurku i podeszła do niego. Nachyliła się do ekranu. Staroń trzymał palec na jednej z informacji z dzisiejszego rozdzielnika.

„Orłowo, na terenie dawnej kopalni w lesie znaleziono ciało młodej kobiety, około dwudziestoletniej, długie włosy blond, bez znaków szczególnych. Nie żyje

od kilku dni, twarz zmasakrowana”.

„Czy żyje (?)”

Być może właśnie dostali odpowiedź na to pytanie.

ROZDZIAŁ 16

– Nie, nie, nie, to nie może być ona! – Wiera znowu siedziała w szarym salonie Joanny Krzysztofik.

Wiele się nauczyła w Szczytnie, ale za mało tego, co było tak ważne w tej robocie – jak rozmawiać z ludźmi, zwłaszcza wtedy, kiedy nie chce się od nich wyciągnąć żadnych informacji, tylko przekazać im coś smutnego. Jasne, to pierwsze było bardziej i częściej przydatne, a to drugie jakby mniej, ale przecież też się zdarzało. I właśnie się zdarzyło.

– Pani sierżant, to musi być pomyłka. – Joanna Krzysztofik na chwilę przestała się sieroco kiwać. Odsunęła dłonie od twarzy i spojrzała na Wierę zażawionymi oczami. – Przecież to wszystko nie ma sensu. Tu są Mazury, nie Śląsk, no jak tu w ogóle może być jakaś kopalnia? Czego kopalnia?

– Węgla brunatnego – odpowiedziała Wiera.

Też myślała, że to pomyłka, bo mapy pokazały jej Orłowo gdzieś na dole Polski, ale okazało się, że chodzi o tereny niedaleko Nidzicy, gdzie rzeczywiście kiedyś była kopalnia. I to właśnie tam jakiś przypadkowy miłośnik niezwykłych miejsc natknął się na zwłoki młodej dziewczyny.

– Węgla brunatnego? – powtórzyła po niej Krzysztofik. – Ale przecież... – Bezradnie pokręciła głową.

– Pani Joanno – Jezierska po raz pierwszy tak się do niej odezwała, po imieniu. To działało uspokajająco i krzepiąco, przynajmniej w teorii – nikt przecież nie powiedział, że to musi być Ewelina. Po prostu przyszła informacja o tym, że

odnaleziono młodą blondynkę, i teraz musimy wykluczyć, że to pani córka, żeby móc jej dalej szukać.

– Szukać? Wy jej wcale nie szukacie! – Krzysztofik poderwała się z kanapy i stanęła nad Wierą.

Jezierska też by chciała wstać, ale z jednej strony ograniczał ją puf, a z drugiej – właśnie Krzysztofik, napięta i w natarciu.

– Co zrobiliście do tej pory, co? – Wycelowała w Wierę chudy palec.

Stała plecami do okna, za którym trwał słoneczny dzień. Jezierska nie widziała dobrze jej twarzy; ta pozostawała w cieniu. Krzysztofik wyglądała teraz jak jakaś Madonna ze starych obrazów – w tej swojej długiej, brązowej sukience, chuda, cierpiąca, z aureolą dokoła głowy, bo tak ją oświetlało słońce.

– Nic, po prostu nic. Niby jej szukacie, niby były jakieś komunikaty, niby były przesłuchania, ale tak naprawdę to nie robicie nic! Rozumie pani – nic nie robicie, żeby znaleźć moją córkę!

Wiera pomyślała, że Krzysztofik jednak nie jest Madonną. Nie jest świętą czy półświętą, milczącą i pokorną, godzącą się z wyrokami losu, choćby sprawa dotyczyła jej dziecka. Krzysztofik była teraz matką walczącą.

– Co tam kogo obchodzi jakaś dziewczyna z biednego, zwykłego domu, niech ginie! Gdyby to była córka kogoś ważnego, to inaczej by to wszystko wyglądało. Bogaci, to nawet jak wiadomo, że ich dziecko już nie żyje, dostają wszystko, żeby choć ciało do nich wróciło – łódki, helikoptery, fachowców. A ja nic, po prostu nic.

Krzysztofik nachyliła się do Wiery i to ostatnie zdanie powiedziała, patrząc jej prosto w oczy. Jezierska zobaczyła w nich coś, co nią wstrząsnęło. To była bezgraniczna, bezwarunkowa miłość. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała. Zakłuło ją – trochę ze współczucia, trochę z zazdrości.

Joanna Krzysztofik zamrugła i jeszcze przez chwilę tkwiła w takim półskłonie nad Wierą, po czym powoli się wyprostowała.

– Pojedźmy – powiedziała już spokojniej. – Chcę mieć pewność, że to nie ona. To nie może być ona, bo ja bym już więcej nie zniosła.

Wiera w końcu wstała; miała napięte mięśnie, cała była w takiej fizycznej gotowości – jak do walki lub ucieczki. Już dawno tak się nie czuła. Ostatni raz...

– Jedźmy.

Czasem wyobrażała sobie, że jednak nie będzie się bronić, nie będzie próbować nic zmieniać, nie będzie uciekać. Podda się. To by się skończyło źle, bo on by nie odpuścił, wiedziała to, czuła to. Po prostu się na nią uwziął. To było straszne, bo przecież mieszkali razem, on miał, przynajmniej teoretycznie, zajmować się nią, a nie robić jej te różne rzeczy i chcieć robić jeszcze gorsze. Więc skończyłoby się źle, a wtedy matka wpadłaby w prawdziwą rozpacz. „Dlaczego nie uchroniłam swojej córki?”, szlochałaby. „Oddałabym za nią życie, nie zniosę myśli, że jej już nie ma”.

Ale byłoby za późno.

– Pani sierżant jest gotowa? – zapytał Marek Józwik.

– Jestem. – Wiera była trochę zdziwiona tą nietypową troską patologa.

– Nie, ja nie o to pytam, przecież wiem, że z pani jest twardzielka. Pytam o nią.

– Teraz przeniósł spojrzenie w głąb korytarza, gdzie stała Joanna Krzysztofik. – Człowiek by wolał oglądać obrazki jak z jakichś popapranych horrorów, niż patrzeć na rozpacz rodzica. Tamto może zniknąć z głowy, to zostaje na zawsze.

Kiwnęła głową. Nie będzie przecież opowiadała obcemu w gruncie rzeczy facetowi, że ma wprawę w obcowaniu z tym, czego nie daje się usunąć z głowy.

– Nie ma co przedłużać. – Poklepał ją po ramieniu, jak nie on, i otworzył drzwi, obok których stali. Wszedł do pomieszczenia.

Wiera zaczęła iść w kierunku Joanny Krzysztofik. Kobieta przyglądała się im, więc zauważyła, że lekarz zniknął w środku, musiała też rozumieć, że Wiera zbliża się do niej po to, by poprosić ją, żeby za chwilę dokonała identyfikacji, a mimo to się nie ruszyła.

Wiera z kolei rozumiała, że deklaracje to jedno, a działanie – to drugie. Człowiek będzie tkwił w najgorszym koszmarze i niepewności, dopóki nie odbierze mu się ostatniego skrawka nadziei.

Dlatego nie zapytała: „Idziemy?”, tylko powiedziała:

– Już czas.

To były pierwsze słowa, które do niej wypowiedziała, odkąd wyjechały z Giżycka, czyli od prawie dwóch godzin. Krzysztofik też milczała.

Teraz przełknęła ślinę i ruszyła za sierżantką.

Każda śmierć jest poruszająca. Widok nagiego ciała na stole prosektoryjnym jest poruszający – jeszcze sprawia ono pozory niedawnego życia (oczywiście jeśli zwłoki są w dobrym stanie), ale przecież wiadomo, że w środku postępuje galopada rozkładu. Ten ktoś jeszcze jakby sobą był, ale tak naprawdę to już go nie ma – mózg od dawna wyłączony, powłoka zaczyna gnić. Bolesna złuda. Dysonans. Wiera miała to słowo w swoim zeszycie. Coś jest, a jakby go nie było.

Tu ten dysonans był jeszcze mocniejszy, bo na stole leżało młode ciało. Nie takie, jak z wyfotoszopowanych zdjęć, bo morderca i biologia odcisnęły na nim swoje piętno, ale wciąż było widać, że zostało przerwane młode, jędrne życie.

Wiera przeniosła spojrzenie z piersi dziewczyny na jej twarz. Przełknęła ślinę. Ktoś, kto zabił Nęckiego, musiał go nie lubić. Ten, kto zabił tę dziewczynę, musiał być owładnięty nienawiścią. Tylko włosy, długie, jasne, pozostały na swoim miejscu. Reszta była krwisto-stężała i przypominała jakąś prymitywną maskę pośmiertną.

– Proszę. – Jezierska odsunęła się od stołu.

Krzysztofik, do tej pory stojąca przy drzwiach, przeszła przez wykafelkowaną salę i zatrzymała się przy metalowym blacie.

Wiera widziała ją z profilu. Najpierw zastygła, jakby utraciła kontakt z rzeczywistością, potem nachyliła się nad ciałem. Przeszła od końca stołu do przodu, zatrzymała się w miejscu, gdzie włosy dotykały ramion. Nie patrzyła na twarz, pewnie nie mogła. Obeszła stół, wymijając Józwicka, i zatrzymała się po drugiej stronie, na tej samej wysokości, co poprzednio. Nachyliła się i wykonała gest, jakby chciała dotknąć włosów.

Józwick pokręcił głową.

Krzysztofik spojrziała na niego, potem na Jezierską. Wyprostowała się.

– To... – zaczęła.

W jednej chwili kolor jej twarzy zrównał się z kolorem sufitu. Krzysztofik zwiotczała i, jak pacynka, z której ktoś wysunął dłoń, zgięła się i upadła na ziemię.

Jezierska odprowadziła Joannę Krzysztofik do auta, otworzyła jej drzwi i pomogła usiąść na fotelu. Odeszła kilka kroków i wybrała numer Staronia.

– To nie Ewelina – powiedziała.

– Na pewno? Zmasakrowana twarz to...

– Remek, byłam tam z nią, widziałam tę twarz. Znaczy to, co z tej twarzy zostało. Ona ją rozpoznała po znamieniu, znaczy po braku znamienia. Córka ma brązowe znamię, taką myszkę, na prawym ramieniu. Tu ewidentnie tego nie było. Krzysztofik najpierw zemdląła, a potem mi to powiedziała. – Wiera spoglądała w kierunku samochodu. Kobieta siedziała tak, jak ją Jezierska posadziła – nieruchomo, wpatrzona w jakiś punkt przed sobą.

– No to ulga, co? – Staroń się ucieszył.

– Że dziewczyna żyje – tak. Ale dopóki jej nie znajdziemy, to matka wciąż będzie miała przed oczami ten obraz z metalowego stołu. Będzie się zastanawiała, czy jej córka też już tak wygląda, tylko jeszcze tego nie odkryliśmy.

– Tak – mruknął Staroń po chwili. – Ale ona naprawdę jak kamień w wodę. To znaczy mam nadzieję, że nie dosłownie, tylko chodzi mi o to, że po prostu całkowicie zniknęła. Nikt, nic. Ani jej znajomi, ani ten były chłopak, ani nawet przecież matka. Nikt na dworcu, nikt w mieście. Nikt sensowny się nie odezwał po ogłoszeniu w gazecie, tam to jacyś debile sobie żarty robią, bo myślą, że są bezkarni. Dwóch takich. Jeden napisał, że jeśli my, znaczy „psy z Giżycka”, jej szukamy, to się zestarzeje, a jej nie znajdziemy, a drugi coś o ograniczaniu wolności, bo jak ktoś jest pełnoletni, to może spierdolić, dokąd chce, zwłaszcza z takiej chujni. Tak napisał, to też cytuję.

– A na tym forum mieszkańców?

– Tam również nic. Administratorka miła, zamieściła, ludzie poudostępniali, ale bez żadnego konkretnego. Same teksty nie na temat, że albo my, znaczy policja, nic nie potrafimy, albo że jest pełnoletnia, więc po co w ogóle ta sprawa, albo rady tych, co lubią oglądać seriale detektywistyczne. Co za ludzie... – Staroń westchnął.

– Wcześniej nie zauważyłeś? – prychnęła Wiera.

– No... Niby tak, ale teraz to się jakoś... spotęgowało. Jak w matematyce – nie że trochę więcej, tylko dużo więcej. Dobra, to teraz nieważne, teraz to jej szukamy i to się liczy. Więc jak to z nią jest?...

– Więc albo ona jednak nie żyje i morderca był taki sprytny, albo żyje i to ona taka sprytna – stwierdziła Wiera.

Przypomniała sobie spojrzenie Krzysztofik; ta kobieta naprawdę kochała swoją córkę. Szybuk też kochał żonę, ale z całą pewnością w inny sposób. Od niego można by chcieć zwać, a od Krzysztofik?... No ale jednak to matka i córka, a tu nic nie jest proste.

– Remek, posłuchaj. Stary mówi, że się kręcimy, i ma rację. Motyka nic więcej dla nas nie wycisnie. A, właśnie, billingi już mamy?

– Nie, mają być jutro. Albo raczej najwcześniej jutro, a może za dwa, trzy dni.

– Zawsze wszystko ma być jutro. – Westchnęła. – Więc tak: twardych dowodów brak, mamy tylko poszlaki, a te prowadzą do Moniki Szybuk.

– A nie do tego gościa z baru, co mu kasę pożyczał?

– Ona mu też pożyczała. I jej też nie oddał. A dodatkowo była w niego uwikłana emocjonalnie. Facet ją wystawił do wiatru i jeszcze wykorzystał. Mogła się poczuć oszukana i chcieć się zemścić.

– Ten koleś również.

– Ale pamiętaj o tym, jak Nęcki umierał – na raty, z aktem miłosierdzia pośrodku. Tu by była krótka piłka, koleś by go najpierw postraszył, obił, palec obciął, jak się naoglądał jakichś dumnych filmów sensacyjnych. Nie bawiłby się w taki nożyk i plasterek. Więc...

– Wiera! – Staroń krzyknął tak, że omal nie wypuściła telefonu z ręki.

– Jezu, co się stało?

– Nie, nic, znaczy chyba nic, ale ja sobie teraz coś pomyślałem.

– To jednak się stało.

I zaraz tego pożałowała. Była zmęczona, ta podróż do Olsztyna i wizyta u truposzów sporo ją kosztowały. Józwik powiedział, że jest twarda. No jest, bo życie nie jest dla słabych ludzi, ale to nie znaczy, że w środku nie ma czasem galarety.

– Żart. I to głupi. Co chciałeś powiedzieć?

– Ja... – Jakby się zawahał. – Bo ja sobie teraz pomyślałem, czy to jakoś możliwe, że to zaginięcie dziewczyny jest związane z tymi jego długami. Może ten koleś go zaszantażował, że jeśli mu kasy nie odda, to coś się dziewczynie stanie? I może miał go tylko postraszyć, ale sprawa wymknęła się spod kontroli i...

– Tyle że Nęcki umarł, zanim ona zaginęła.

– No tak, ale może już wcześniej coś się wydarzyło? Albo dziewczyna była świadkiem jego kłótni z ojczymem i później ją uciszył?

– Nie, to raczej mało prawdopodobne. Pamiętaj, że ona go nie lubiła, nic by ją nie obeszło, że jemu coś grozi, raczej by się ucieszyła, że zniknie z ich życia.

– Ale może jakoś podstępem ją zwabił – jeden albo drugi? – Staroń nie odpuszczał. – Może to jest to powiązanie, którego nie możemy znaleźć. A ten facet nie musiał wiedzieć, jakie są między nimi relacje.

Wiera się zamyśliła. Nie leżało jej to. Nie pasowało.

– To już prędzej Szybuk mogłaby ją wciągnąć w jakąś grę. Powiedzieć jej, żeby ona z kolei powiedziała matce i żeby ich romans się wydał. I w ten sposób przejąć Nęckiego, bo mogła myśleć, że Krzysztofik go zostawi, skoro jemu samemu brak jaj. Choć pewnie Krzysztofik by go nie zostawiła, bo... – „Bo kobiety są tak głupio chowane”.

– A to sama by nie mogła powiedzieć Krzysztofik? Listu wysłać, na przykład takiego jak ten anonim do nas? W sumie to wciąż nie wiemy, kto to pisał.

– I Motyka powiedział, że się nie dowiemy, bo odciski palców są tylko na kopercie, a kartka czysta. Mogła teoretycznie, ale może chciała to inaczej rozegrać,

jeśli to w ogóle ona. Dobra, Remek, bo się zrobiła nasiadówka z tej naszej krótkiej rozmowy, a ja bym już chciała odstawić Krzysztofik do domu, naprawdę nie wygląda najlepiej. Ja zresztą też potrzebuję chwili resetu.

Wiera miała wrażenie, że matka Eweliny nawet nie drgnęła. Wciąż siedziała w tej samej pozycji, patrząc przed siebie, jak posąg. Z kimś się jej kojarzyła, było coś takiego, coś w liceum, na polskim. Niewiele już pamiętała, a szkoda, teraz, zwłaszcza w obecności Przyzwan, żałowała, że nie przykładała się bardziej. Wtedy wydawało jej się, że to potrzebne tylko do matury, dziś wiedziała, że polonistka miała rację, mówiąc o budowaniu kultury, kształtowaniu osobowości i tak dalej... Niobe! Przypomniała sobie – to była Niobe. Matka, która straciła dzieci i skamieniała. W ten kamień to ją ktoś zamienił z litości, żeby mniej cierpiała. Krzysztofik, skamieniała, nie cierpiała chyba mniej, a przecież wciąż jeszcze mogła mieć nadzieję, że Ewelina żyje. To jak by cierpiała, gdyby się okazało, że jej córka jednak... Otrząsnęła się.

– Będę mniej więcej za półtorej godziny. Mam dla ciebie zadanie na ten czas. Pójdiesz do Szybuk i weźmiesz od niej namiary na klientki. Z tego notesu czy tam kalendarza. Potem podzwonisz i z nimi pogadasz. Czy widziały kiedyś Nęckiego w salonie, czy coś o nim wiedzą, może Szybuk im się zwierzała.

– Ale ona mnie pozna, miałem przecież iść w piątek na obcięcie, żeby sprawdzić ten zapach.

– To już nieaktualne, bo przecież się przyznała do znajomości z Nęckim. Nie przyznała się za to, że ma coś wspólnego z jego śmiercią, a jak na razie to jedyny i bardzo prawdopodobny trop. Że cię pozna – no pozna, i dobrze, niech ma poczucie, że jest osaczona. Bo ona kręci, Remek, tylko po tym alibi od męża trudno ją złapać.

– Ty mu nie wierzysz.

– Nie. On ją kocha, a ci, co kochają, są nieobliczalni. A ona chyba kochała Nęckiego.

Starszy posterunkowy westchnął.

– Dobrze, będę dzwonił. Po prostu nie lubię wychodzić na krętacza.

– To trzeba było sobie inny zawód wybrać.

– Nic, zupełnie nic. – Posterunkowy Staroń podniósł się zza biurka. Wyglądał na zmęczonego. – Poszedłem tam, ona mnie oczywiście poznała. „Czy my nie jesteśmy umówieni na piątek?”, tak mnie zapytała, kiedy już mi dała ten notes i podyktowała telefony do klientek. Potwierdziłem, a ona zapytała, czy w tej sytuacji wizyta zostaje.

– I co, zostaje? – Mimo zmęczenia Wiera się uśmiechnęła. Zdarzały się chwile, kiedy ten chłopak ją wzruszał. To była jedna z takich chwil.

– No nie, jak. W sumie szkoda, bo ona chyba naprawdę zna się na swoim fachu.

– Staroń mimowolnie przejechał dłonią po włosach, fakt, trochę już za długich i trochę źle obciętych.

Wiera mogłaby się z tym zgodzić. Gust to jedno – jako kobieta by się Szybukowej w ręce nie oddała, to znaczy nie pozwoliłaby jej samej decydować o fryzurze, ale gdyby sama sobie coś wybrała – wtedy może tak. Bo technika to drugie, a tę fryzjerka opanowała dobrze – Nęcki wyglądał naprawdę nieźle.

– To jak z tymi klientkami?

– Wszystkie lojalne. – Remek westchnął. – Wychwalają tę Szybuk, że taka dobra fryzjerka, że taki miły człowiek. Dwie powiedziały, że znają jej męża, bo czasem wpadał, żeby przywieźć jej obiad z domu, w menażce. Jedna z nich dodała, że to było wzruszające. Nie sądzę, żeby którakolwiek podejrzewała, że Monika Szybuk miała romans.

– A zapytałeś?

– No, zapytałem każdą, czy znała Roberta Nęckiego. Żadna nie znała. To potem pytałem, czy Szybuk może opowiadała o kimś takim. Albo w ogóle o jakimś znajomym mężczyźnie. Nawet nie musiałem powiedzieć „romans”, bo każda zaprzeczała. Tylko o tym mężu wspominały. Że obiad właśnie, że czasem zawiózł pranie do magła. „Wspierające się małżeństwo” – odczytał Staroń z notesu. – Nie wiem – wzruszył ramionami – może nie wiedziały o romansie, może nie chciały

mówić. Może naprawdę nie mają pojęcia lub po prostu ją lubią. Albo Szybuk jest dobra jako fryzjerka i nie chcą jej zaszkodzić, bo jakby ją straciły, to kto by im robił, te, zarosty.

– Odrosty, Remek – poprawiła go machinalnie Wiera, bo Staroń właśnie powiedział coś, co nasunęło jej pewien pomysł. – Remek, a te nazwiska klientek to jak wybrałeś?

– Wziąłem kalendarz i zacząłem przeglądać. Tak od początku roku prawie. Patrzyłem, które się powtarzają, bo to znaczy, że klientka jest stała i przychodzi regularnie, a to z kolei znaczy, że może więcej wiedzieć o Szybuk. Chyba dobrze, co? – Niby zapytał, ale z taką miną, jakby oczekiwał od Wiery wyłącznie potwierdzenia.

– Chyba tak. To znaczy generalnie – tak. – Jezierska nie chciała mu całkowicie psuć dobrego humoru. – To znaczy tak, jeśli szukasz kogoś, kto faktycznie dobrze zna Szybuk, bo wtedy może ci coś o niej opowiedzieć. Coś dobrego – skoro te klientki wciąż wracają do Szybuk, to, jak zauważyłeś, dlatego, że są zadowolone z jej usług. I tu się włącza lojalność. Nie chcą jej zaszkodzić – w jej i swoim interesie. Dlatego nam potrzebny jest ktoś, kto nie jest lojalny wobec Moniki Szybuk. Najlepiej jakaś zawiedziona klientka. „Gorycz i żal to wylewni świadkowie”, tak mi kiedyś powiedział Rubert. Miał rację.

– To dłuższa robota będzie. Bo można zapytać samą Szybuk, ale może nie być szczerą. Można też szukać w tym notesie nazwiska, które się pojawiło raz, a potem już nie, choć wtedy również nie wiadomo...

– A można także w Internecie. Tak najłatwiej wylać swoje frustracje i jeszcze ma się szeroki odbiór.

– Ale to może być tak, jak z tymi komentarzami pod informacją o zaginięciu Eweliny Krzysztofik. Świrów nie brakuje. – Staroń był sceptyczny.

– To prawie zawsze da się szybko sprawdzić, po tym, jak ktoś pisze. Czy taki internetowy pieniacz, czy może konkurencja robi czarny PR, czy ktoś naprawdę ma

słuszny żal i sensowne uwagi. Czekaj. – Wiera wstukała w komórce „U Moniki salon Giżycko”. – No i mamy opinie z Google’a. Zaraz zobaczymy.

Początkowy entuzjazm na chwilę jej przygasł. Zakład był oceniony na cztery i osiem dziesiątych gwiazdki, czyli naprawdę nieźle. Same pochwały, achy i ochy. „Pani Monika jest super”. „Jak zawsze wszystko idealnie. Szczerze polecam”. „Najlepsza!!!” Ale była jedna opinia, jedna samotna gwiazdka wyróżniająca się wśród tych wielogwiazdkowych zachwyków. „Każdemu może się zdarzyć zrobić coś źle, ale tu wszystko było źle. Najpierw odwołana wizyta, na pół godziny przed. Przeprasiny i obietnica rabatu na usługę, wizyta umówiona na następny dzień, czyli na dziś, ale tym razem pani fryzjerka taka gapa, że farbę trzymała za długo i całkiem mi spaliła włosy. No i jeszcze trwała, której podobno nie powinno się robić podczas tej samej wizyty. Kolor niby okej, ale nie wiem, czy będzie miał się na czym trzymać, bo włosy wychodzą mi garściami. Za «usługę» nie zapłaciłam, jedyny plus. Salon radzę omijać szerokim łukiem, są w tym mieście na szczęście inne miejsca, gdzie się dba o klientów”.

– No to posłuchaj. – Jezierska przeczytała Staroniowi ten wpis.

– No, słabo – zgodził się Remek.

– A wiesz, co nie jest słabe? Że ten wpis jest z osiemnastego maja, czyli ze środy. Odwołana wizyta była dzień wcześniej, siedemnastego. Szybuk powiedziała, że źle się czuła i że nie zadzwoniła do klientki, bo nie miała do niej numeru telefonu, ponieważ to była pierwsza wizyta. „AZ”, tak miała w kalendarzu. Tu wpis jest pod imieniem i nazwiskiem – Anna Zawadzka. Zgadza się. I Szybuk miała do niej numer, skoro jednak zadzwoniła. To dlaczego nas okłamała? I w czym jeszcze nas okłamała?

ROZDZIAŁ 17

W salonie nie było nikogo. Wiera się rozejrzała – pusto. Dwa wolne stanowiska, oba fotele dosunięte do blatów, nad którymi wisiały duże lustra w mocno srebrzonych ramach.

– Dzień dobry! – powiedziała głośno.

Głucho, bez odzewu. Rozejrzała się. Za dużym białym regałem, na którym poustawiano tubki z farbami i butelki z różnymi kosmetykami, wisiała udrapowana mięsista, czerwona kotara. Jeśli Szybuk gdzieś była, a musiała być, skoro zakład nie był zamknięty, to właśnie tam, na zapleczu. Wiera przeszła przez pomieszczenie. Odsunęła ciężki materiał, za którym zobaczyła harmonijkowe drzwi, otwarte. Zaplecze wcale nie było takie małe, jak przypuszczała. Pokój miał z siedem, może osiem metrów kwadratowych i był wąskim, mało ustawnym prostokątem. Znajdowały się tu dwie spore szafki, odkryte, z równo ułożonymi białym i czerwonymi ręcznikami, nieduża szafa wnękowa z lustrem i biurko, a na nim stos różnych gazet, chyba fryzjerskich, i równie schludna kupka ulotek, które wcześniej widziała na blacie w salonie, przybornik z długopisami i ołówkami oraz dwa książeczkowe zestawy krzyżówek. Nie było za to Moniki Szybuk.

Chyba coś usłyszała. Odwróciła się w stronę wyjścia i w tym samym momencie zza czerwieni aksamitu wyłoniła się fryzjerka. Szybuk zatrzymała się krok za kotarą i nie ruszyła się dalej.

– Szukałam pani – wyjaśniła Jezierska.

– Chyba przeszukiwałam. – Wyglądała na zmęczoną. Była, jak zawsze, starannie uczesana i umalowana. Co do tego drugiego, to może nawet zbyt starannie, bo gruba warstwa pudru podkreśliła jej zmarszczki w kącikach oczu, a i tak nie dość dobrze zakamuflowała cienie. A może to była kwestia niezbyt mocnego i mało korzystnego dla estetyki oświetlenia w tym pomieszczeniu?

– Weszłam do salonu, rozejrzałam się, nie zobaczyłam pani, głośno się przywitałam, wciąż nic, więc postanowiłam sprawdzić, czy nie ma pani na zapleczu. I czy wszystko w porządku. – Jezierska nie lubiła się tłumaczyć, ale przecież tak było, nie wtargnęła tu wbrew przepisom.

– Wszystko w porządku. Byłam w łazience. – Szybuk wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Tak, ewidentnie była zmęczona, ale chyba też zobojętniała. Wyglądała, jakby przestało jej zależeć. Fartuch miała rozpięty i lekko przekrzywiony. Dopiero teraz Wiera zwróciła uwagę, że prawą rękę ma lekko cofniętą, a w zaciśniętej dłoni, grzbietem dotykającej biodra, chyba coś trzyma.

– Nie słyszała mnie pani? – Sierżantka poczuła, że jej puls delikatnie przyspiesza. Starła się nie patrzeć na rękę. „Nieduży, cienki nóż”. Zmieściłby się w dłoni. Ona była nieuzbrojona, bo... „Kurwa”. Zalała ją fala złości na samą siebie, na chwilę przeganiając strach. Dlaczego zawsze coś musi spieprzyć? Dlaczego nie pomyślała, że Szybuk, skoro wie, że jest podejrzana, może się zachować nieracjonalnie?

– Nie. – Kobieta zrobiła krok w jej kierunku. Prawe ramię wciąż miała przesunięte w tył. Jezierska nie potrafiła ocenić, jaki przedmiot ściskają jej palce.

– Przyjechałam – Wiera nie ruszyła się, wciąż stała przy biurku. Pokój był długi i wąski. Nie da rady bezpiecznie jej wyminąć; w dodatku jeśli Szybuk ją napadnie, to może się jej udać przyprzeć Wierę do ściany, co tylko ułatwi jej przeprowadzenie tego, co zaplanowała – ponieważ mam jeszcze kilka pytań. – Starła się, by jej głos brzmiał naturalnie, ale wiedziała, jakie to trudne.

– Kilka pytań. – Szybuk była już teraz o dwa, trzy kroki od sierżantki. Wiera poczuła jakiś zapach. Nie, tym razem to nie były perfumy – ta słodka woń True

Love była dziś nieobecna w salonie U Moniki. Zapachniało alkoholem. – A co jeszcze jest niejasne?

Wiera mogła teraz się jej przyjrzeć lepiej. Z bliska makijaż nie prezentował się już tak dobrze; tusz oczernił jej skórę pod oczami, czerwień szminki ubrudziła policzek. Monika Szybuk na pewno coś piła. Pytanie, ile i do czego ją to popchnie.

– Drobne kwestie. – Wiera zrobiła krok w prawo. Może jednak uda się jej obrócić i znaleźć bliżej wyjścia. Po alkoholu Szybuk na pewno ma gorszą koordynację.

– Drobne. Drobne kwestie morderstwa. – Fryzjerka się zaśmiała. Chrypliwie i nieprzyjemnie. – No to słucham.

– Proponuję, żeby pani usiadła. W salonie są wygodne fotele, może tam porozmawiamy?

Wiera miała wrażenie, że słyszy tylko walenie swojego serca, a nie swój głos.

– Na widoku? Żeby ludzie gadali? I tak już na pewno gadają. Sensacja w końcu jakaś będzie na osiedlu.

Wiera zrobiła kolejny krok w stronę kotary.

– Ludzie nie lubią, jak drugi jest szczęśliwy. Jak jest uśmiechnięty. Bo im się wtedy przypomina, że im jest źle. Ludzie wolą, jak drugiemu jest gorzej niż im. Wtedy się dobrze czują. Pocieszyć się mogą, poczuć lepsi. A najbardziej to lubią, jak się komuś coś nie uda. Uuu, to wtedy jest dobrze, nie? – Szybuk się obróciła i znalazła się jeszcze bliżej Jezierskiej. – Wtedy to ploty i obgadywanie. Domysły i wyrzygiwanie swoich frustracji. Ale ja im nie dam takiej satysfakcji. No na pewno nie. Wolę już... – Prawa ręka wysunęła się z za pleców.

Adrenalina odcięła Wierze przepływ myśli, zostawiła tylko jedną: nie dać się zabić. Złapała Szybuk za nadgarstek i wykręciła jej rękę. Usłyszała metaliczny odgłos przedmiotu uderzającego o podłogę. Kobieta krzyknęła i się szarpnęła. Miała niespodziewanie dużo siły. Jezierska zdołała utrzymać przewagę, ale jej stopy na moment straciły pewne oparcie na wykafelkowanym podłożu i się zachwiała. Odzyskała jednak równowagę i już miała mocniej docisnąć ramię

Szybuk do jej pleców, gdy nagle usłyszała dziwny dźwięk, jakby syknięcie, a potem poczuła mocny, chemiczno-słodki zapach. Zaczęła się krztusić, gardło jej momentalnie wyschło, oczy piekły, a na twarzy poczuła nieprzyjemną lepkość. Puściła rękę Szybuk i zgięła się wpół, kaszląc. Zdążyła jeszcze dostrzec na podłodze niewyraźny, srebrny, ostry przedmiot i przestała cokolwiek widzieć. Poczuła jeszcze ruch – Szybukowa ją potrąciła i wybiegła z zaplecza.

„Kurwa”, jęknęła.

Cholernie to spieprzyła.

ROZDZIAŁ 18

– Nie tak to powinno wyglądać. – Zbigniew Król stał tyłem do niej, a przodem do okna. Dłonie miał zaplecione z tyłu pleców. Widziała, jak porusza grubymi palcami, jakby go swędziały.

Nie odezwała się.

– Nie tak to powinno wyglądać – powtórzył więc, tym razem jednak odwrócił się do sierżantki.

– Wiem. – Odchrząknęła. No bo co mogła powiedzieć?

– Wiesz to po fakcie, a nie mogłaś wiedzieć przed faktem?

Spojrzała na niego. O dziwo, nie był nawet bardzo zły i to właśnie zbijało ją z pantałyku.

– Teoretycznie wiedziałam i przed faktem – powiedziała wreszcie, przenosząc spojrzenie na białe czubki swoich trampek. Na jednym z nich zrobiła się nieestetyczna żółtawa plama, pewnie pamiątka po tym, co się wydarzyło w salonie.

– No to co ci przeszkodziło zastosować tę wiedzę w praktyce?

Powoli nabrała powietrza. Nie chciała się denerwować; to znaczy i tak się denerwowała i tego zmienić nie mogła, ale nie chciała, żeby stary to zauważył. Przywykła do jego obcesowego i rubasznego stylu bycia. I do połajanek. I do głupich żartów. Brała to wszystko wraz z dobrodziejstwem panujących tu warunków społeczno-pracowniczych. Nie ruszało jej to już tak bardzo, bo raz, że trochę okrzepła w tej rzeczywistości, a dwa – bo nigdy nie czuła, że te uwagi czy przytyki

mają prawo jej dotyczyć. Starła się na sto dziesięć procent, dbała o zasady. No, prawie zawsze, ale jedyne odstępstwo, jakie się jej kiedykolwiek zdarzyło, dotyczyło... sprawiedliwości. Tak, to była ta najwyższa półka, sprawa sumienia, choć w ich formacji to zawsze twarde litery prawa mają być najwyżej. Teraz jednak komendant przyłapał ją na niedopatrzeniu, któremu nie mogła zaprzeczyć. I które mogło ją kosztować życie. I na dodatek właśnie teraz jej nie opieprzał.

Podniosła głowę. Ma przecież swoją godność, nie będzie bąkać w podłogę.

– Ponieważ uznałam, że zdołam przeprowadzić tę konfrontację w terenie. Że podejrzana nie zachowa się w sposób nieracjonalny czy niebezpieczny. Uznałam też, że nie potrzebuję wsparcia.

– Nie oszacowałaś ryzyka. – Wciąż był spokojny.

Kiwnęła głową.

Komendant jeszcze nie użył słowa „kurwa”, nie walnął pięścią w blat biurka, nie wydarł się na nią. Oczekiwanie na tę reakcję stresowało ją równie mocno, co jej wpadka.

– A wiesz, dlaczego nie oszacowałaś ryzyka?

Ten sam ton.

„Przyjął taktykę dręczenia mnie na raty. Upokarzania powolnym grillowaniem, a potem opieprzu”, pomyślała.

– Nie wiem. Wiem tylko, że...

– Wiesz! – przerwał jej, dość gwałtownie. Wreszcie jakaś emocja. – Wiesz – powtórzył spokojnie.

Patrzyła na niego i nie potrafiła go rozgryźć. Jeśli to gra, to nie będzie w niej brała udziału.

– Nie wiem. Zdarzyło się, choć nie powinno się zdarzyć. Moja wina. Przyjmę konsekwencje.

Zbigniew Król wstał zza biurka i podszedł do niej. Chciała się podnieść, ale powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Nie oszacowałaś ryzyka, bo mimo wszystko, choć sama wytypowałaś tę Szybuk jako potencjalną morderczynię, nie wierzyłaś, że ona może być groźna. Bo, ty, Wiera, generalnie spodziewasz się zła po mężczyznach, nie po kobietach.

Serce zaczęło jej bić szybciej. Poczowała suchość w gardle. Niemożliwe, żeby wiedział, skąd, nikt nie wiedział.

– W twoim świecie kobiety są zawsze poszkodowane.

Kolana zaczęły jej chodzić.

– Ja... – chciała coś powiedzieć, ale przecież tak naprawdę nie chciała mówić nic.

– Ty sobie myślisz, że ja jestem... – Zawahał się. – Mniejsza o to. Wiem więcej, niż ci się wydaje. I powiem ci jedno, ten jeden raz tylko. Potraktuj to jako radę i jednocześnie jako polecenie służbowe. Zostaw przeszłość i swoje... doświadczenia z boku, kiedy wchodzisz do pracy. Najlepiej to w ogóle je zostaw, bo taplanie się w przeszłości potrafi zniszczyć. Jesteś tu i teraz, dużo ci się udało. Nie psuj tego. A co do tej sytuacji... – Spojrzał na nią. – Udzielam ci ustnego upomnienia. Poważnego, ale ustnego. A jak się w ogóle czujesz?

„Chujowo”, pomyślała. Król musiał trochę wiedzieć o jej przeszłości, nie blefował przecież. Bolało. Nawaliła w robocie. Bolało. Cholerny lakier do włosów czy inne fryzjerskie gówno załatwiło jej oczy, ale to akurat bolało najmniej.

– Dobrze. Już dobrze. Mogę wrócić do...

– Do domu możesz wrócić. Jutro rano staw się do roboty. Szybuk i tak dziś nie może być przesłuchana. Zero dziewięć we krwi, musi odsiedzieć wytrzeźwiajątkę. To tyle, możesz się odmeldować.

Podszedł do biurka i usiadł na swoim fotelu. Zaczął przeglądać papiery, dając jej do zrozumienia, że temat jest zamknięty.

Podniosła się i poszła w stronę drzwi. Na moment się zawahała. To było wbrew niej, wbrew temu, jak się czuła, co myślała o starym. Mimo wszystko powiedziała:

– Dziękuję.

I wyszła.

Nie zajrzała do Staronia, nie miała siły. Skierowała się prosto do wyjścia i z ulgą zamknęła za sobą drzwi komendy.

W domu weszła pod prysznic. Wciąż się lepiała. W salonie umyła tylko twarz, choć Szybukowa zaproponowała, że umyje jej także głowę. „Przepraszam”, powiedziała, kiedy Wiera w końcu zebrała się z tej podłogi na zaplecze i prawie po omacku przeszła do głównego pomieszczenia. Oczy cholernie ją bolały, bo dodatkowo je zatarła, próbując rozdzielić sklezione rzęsy. Jak przez mgłę widziała fryzjerkę siedzącą w jednym z dwóch foteli fryzjerskich. Teraz to Wiera trzymała w ręku długi pilnik, który podniosła z podłogi i który wcześniej, przez moment, wydawał się jej nożem lub szpikulcem. „Przestraszyłam się, kiedy pani tak na mnie napała”, powiedziała fryzjerka, wciąż siedząc. „To była napaść na funkcjonariuszkę policji”, wychrypiała Wiera, choć nawet ona nie była przekonana do takiej wersji wydarzeń. „Napaść?”, Szybukowa się zaśmiała. To był taki przeciągły, niepohamowany śmiech, przechodzący z jednej fali w drugą; w pewnym momencie jego intonacja zaczęła się zmieniać i górę wzięły smutne rejestry, aż wreszcie przeszły w szloch. „Paznokciec sobie zdarłam. Poszłam po pilnik, do łazienki. Usłyszałam hałas, nikogo, no to poszłam na zaplecze. Z tym pilnikiem. Patrzę, pani, znowu. To się nie skończy, pomyślałam. A może nie myślałam. Chciałam... nie wiem, co chciałam, chyba sobie wbić ten pilnik w żyły albo w serce. A pani mnie złapała, to się przestraszyłam i odruchowo sięgnęłam do kieszeni. Odruchowo, bo ja po pracy, jak wieczorem idę, też mam sprej z lakierem. Spokojnie to u nas nie jest, zwłaszcza w sezonie. No i tak jakoś...” „Zatrzymuję panią pod zarzutem zabójstwa Roberta Nęckiego”. Stała tam, przed tą podchmieloną kobietą z pilnikiem w ręku, lepka i skompromitowana. Była jak ci wszyscy policjanci z filmików z lubością wrzucanych do sieci pod zbiorczym hasłem „Znowu się psom nie udało”. Zadzwoiła do Staronia. „Daj radiowóz do salonu Szybuk. Zgarniamy ją”. „Co? Nie, no nie, to nieprawda!” Fryzjerka się podniosła, nagle ożywiona i jakby bardziej trzeźwa. Doskoczyła do Jezierskiej i w ostatniej chwili się zatrzymała. Opuściła ręce wzdłuż ciała i zacisnęła dłonie w pięści. Wiera wciąż widziała nie najlepiej, ale zauważyła rozmazany makijaż

i roztartą szminkę na jej twarzy. Wyglądała koszmarnie, Wiera zapewne też. „Nie zabiłam go, rozumie pani? To nie ja. Robicie błąd, cholerny błąd!”, wykrzyczała jej w twarz. „To nie ja. Jestem głupia, jestem cholernie głupia, bo ja tam wtedy pojechałam, ale go nie zabiłam”. I znowu się rozplakała. Kucnęła i nakryła głowę rękami. W takiej konfiguracji zastał je Staroń.

Zakręciła wodę.

Wyszła spod prysznic. Wycierała się ręcznikiem dłużej niż zwykle. I mocniej, aż na skórze pojawiły się czerwone plamy. Łazienka była zaparowana, więc przejechała dłonią po przymglonym lustrze. Wpatrywała się w swoje odbicie – długie, mokre włosy przyklejały się jej splątanymi pasmami do twarzy. Oczy wciąż miała podrażnione, podpuchnięte. I smutne.

– Jesteś... – zaczęła. Chciała skończyć jak zawsze w takich sytuacjach, czyli „beznadziejna”, ale się zatrzymała. Zamiast tego objęła się ramionami, kucnęła, a potem zaczęła się kołysać. W końcu usiadła na podłodze. Nie miała siły wstać. „I dobrze, nie zawsze musisz wstawać”, powiedziała cicho do siebie.

Może zostanie tu już na zawsze? Wypisze się z tego świata, odetnie, zniknie? Nie trzeba będzie walczyć, nie trzeba będzie uciekać. W końcu przez całe swoje życie próbowała funkcjonować tak, żeby nikomu nie zawadzać. I prawie nikt jej nie zauważał, nikt się nią nie interesował.

Z wyjątkiem niego.

„Jesteś beznadziejna”, powiedział jej.

Nie, to on był beznadziejny.

ROZDZIAŁ 19

– Wiera... – Staroń podniósł się, gdy weszła do pokoju. Był zdecydowanie przed czasem.

– Hej – przywitała go. Wczoraj, po tym prysznicu, poszła spać. I obudziła się dopiero rano. Przespała kilkanaście godzin, a mimo to nie czuła się wypoczęta. – Co do wczoraj, to miałam rozmowę z komendantem i... – Zawahała się. – Sprawa jest zamknięta. To był mój błąd, dostałam upomnienie i wracamy do roboty.

– Ja nie o tym chciałem, przecież wiesz, że ja jestem zawsze po twojej stronie. – Staroń wystrzelił z tym oświadczeniem jak z automatu. I się zaczerwienił. – To znaczy, że cię wspieram, bo w sumie to mogliśmy pojechać razem. To znaczy ja też bym nie pomyślał, że ona może, tyle że ona w sumie... – zaplątał się we własne słowa.

– Rozumiem, Remek. – Przeczuwała raczej, że rozumie. – Dzięki. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Wracajmy do roboty, okej?

– Właśnie! – Staroń się ożywił, choć zauważyła, że gdy się odsunęła od niego, na moment posmutniał. „Wszyscy potrzebują tego samego”, pomyślała. A zaraz potem pomyślała, że ta sprawa pewnie rozwalcuje ją bardziej, niż przypuszcza. – Szybuk już wczoraj późnym popołudniem dzwonił do dyżurnego zaniepokojony, co z żoną.

– No to chyba zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Nie wiem... Widziałem go tuż po siódmej, jak przyszedł i przyniósł jej ciuchy na zmianę i jakieś kosmetyki. Dopytywał, co się stało, ale wie tylko tyle, że

jest zatrzymana. Chciał z tobą rozmawiać.

– Doczeka się. Jego też trzeba będzie przesłuchać ponownie, bo Szybuk wczoraj się przyznała, że była na żwirowisku tego dnia, gdy Nęcki zginął, a to znaczy, że mąż kłamał w sprawie jej alibi.

– Ciekawe, jak zareaguje na artykuł...

– Jaki artykuł? – zdziwiła się.

– Znaczy nie artykuł, tylko informację. Poszła do „Olsztyńskiej”, do Internetu, do „Giżyckiej” i na stronę „Moje Giżycko”. Komendant wczoraj powiedział, żeby puścić info o zatrzymaniu osoby podejrzanej w sprawie morderstwa na żwirowisku, bo i tak się rozejdzie, to lepiej, żeby wyszło od nas.

Drgnęła. Stary miał rację w tym, co do niej i o niej powiedział. Ale mimo wszystko i to właśnie teraz, po tym, co się wydarzyło w salonie, zaczynała się wahać co do Szybuk. Zazdrosna, zdradzona, oszukana, mogłaby wystartować do niego z łapami, mogłaby nawet z pilnikiem czy nożykiem, ale rozwalić kochankowi głowę?...

– Stary zawsze się spieszy, lubi mieć wyniki – powiedział Staroń.

Kiwnęła głową.

– A ty co myślisz? – Popatrzyła na niego.

– Ale o czym? – zdziwił się.

– O tym, czy to Szybukowa zamordowała Nęckiego.

– No tak uważałaś, a ona się wczoraj przyznała, że jednak tam była... – Starszy posterunkowy był zaskoczony tym pytaniem.

– Zobaczymy, Remek, zobaczymy. Chodźmy, pogadamy z nią.

Monika Szybuk nie przypominała siebie, to znaczy tej siebie, którą Wiera Jezierska zdążyła poznać. Włosy spięła nisko i gładko, na twarzy miała zdecydowanie mniej makijażu. Nie wyglądała młodziej, ale wyglądała lepiej – mimo wszystko, to znaczy mimo podkrążonych i smutnych oczu.

– Dzień dobry. – Jezierska usiadła naprzeciwko niej, Staroń – obok.

– Dzień dobry. Najpierw chciałam... – Odchrząknęła. – Chciałam przeprosić za wczoraj. Nie wiem, co mnie napadło, to na pewno przez alkohol, bo kupiłam nalewkę. Mocną. I tak trochę i trochę... Wiem, że to poważniejsza sprawa i zwykle „przepraszam” tu nie wystarczy, ale...

– Nie wystarczy. Sprawa czynnej napaści na funkcjonariuszkę policji na razie została odłożona na bok, bo teraz wracamy do sprawy podstawowej, czyli morderstwa Roberta Nęckiego.

– Jezuuu. – Monika Szybuk cicho jęknęła. – Ja wiem, że to wszystko źle wygląda, ale ja naprawdę nie...

– Po kolei. – Wiera jej przerwała. – Wczoraj powiedziała pani, że widziała się z nim w dniu jego śmierci, na zwirowisku, prawda?

– Prawda, ale...

– Proszę tylko odpowiadać na pytania. – Wiera powiedziała to ostrzej, niżby chciała.

Szybukowa kiwnęła głową.

– Wcześniej powiedziała nam pani, że źle się czuła i wróciła z zakładu prosto do domu, zgadza się?

Kobieta kiwnęła głową.

– I że nie odwołała pani ostatniej klientki, tylko po prostu zamknęła salon.

Znowu kiwnięcie głową.

– Fakty jednak są takie, że odwołała pani tę wizytę i przełożyła ją pani na kolejny dzień, a kolejnego dnia była pani rozkojarzona i źle wykonała usługę. Prawda?

Szybuk chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Trzeci raz kiwnęła głową.

– Zamiast do domu pojechała pani na zwirowisko do Spytkowa. Była tam pani umówiona z Robertem Nęckim?

– Nie. To znaczy tak. To znaczy ja powiedziałam prawdę, że w tygodniu przed tym, kiedy on zginął, był u mnie i obciąłam mu włosy. Tak pożegnalnie. I naprawdę chciałam to już skończyć, bo on... Ale kiedy wychodził, powiedział, że we wtorek

jedzie w trasę i tego samego dnia, zanim wyruszy, chciałby się ze mną spotkać. Właśnie tam, bo my tam już wcześniej... – Monika Szybuk sięgnęła po opakowanie chusteczek jednorazowych. Wyciągnęła jedną i wytarła oczy. – Mówił jeszcze, żebym nie była pochopna, że dlaczego tak dramatycznie, żebym poczekała. Ja wtedy byłam na niego zła i przez cały weekend byłam pewna, że już go więcej nie spotkam, znaczy nie umówię się z nim. Nawet jeszcze w poniedziałek, ale we wtorek... – Przełknęła ślinę i znowu sięgnęła po chusteczkę. – Jestem beznadziejna, prawda? – Spojrzała na Wierę.

Jezierska się poruszyła. „Jestem beznadziejna” to widać częsta samoocena u kobieta.

– Proszę mówić – nie wyszła jednak poza oficjalny schemat przesłuchania.

– Nic mnie już pewnie w życiu nie czeka, tak sobie pomyślałam. Nie pomyślałam, że on jest uczciwy czy dobry, czy że coś naprawdę zmieni, tylko się zgodziłam na ten drugi plan, na te schadzki i na to wszystko, bo mogłam mieć albo to, albo nic. Tak sobie pomyślałam i rzeczywiście odwołałam klientkę. Była niezadowolona, ale to mnie nie odwiódło. Więc pojechałam, zaparkowałam na poboczu, ale dalej niż Robert, w takiej bocznej drodze, bo wołałam, żeby nikt ewentualnie nie widział auta... Przeszłam ten kawałek i poszłam tam, gdzie zawsze.

– Czyli?

– Czyli?... A, no tam jest to duże wyrobisko, gdzie... – Przełknęła ślinę. – Gdzie on zginął. A kawałek dalej jest taki jakby nieduży wał i gęstsza roślinność i właśnie tam poszłam.

„Pasuje”, pomyślała Wiera. To było miejsce, gdzie znalazła zapalniczkę Nęckiego.

– Był tam. Chodził wte i wewte. Ucieszył się, jak mnie zobaczył. Ja też się ucieszyłam. Powiedział, że jest szczęśliwy, że jednak się zjawiłam, bo tak toby tęsknił i się martwił, a tak, to... I zaczął się do mnie dobierać. W sensie, że zamiast rozmowy to mi położył rękę na biodrze i mnie przyciągnął do siebie, a mnie

wtedy... – Monika Szybuk spojrzała na Wierę. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale wróciło to wszystko, co wcześniej sobie pomyślałam. Że jemu jest wygodnie i tyle. I że chce sobie pobzykać na boku. Strąciłam mu tę rękę. Powiedziałam, że chcę się ostatecznie rozmówić, że albo wóz, albo przewóz. I żeby kasę oddał. I on nawet nie powiedział, że ja znowu o tym samym, tylko się odsunął i zaczął z innej beczki, że okropny dzień miał, jakiś pijaczek, co zbiera złom, go zaatakował...

– Pijaczek? – przerwała jej Wiera.

– No tak powiedział. Zrozumiałam, że to taki, co chodzi i zgarnia złom, a potem do skupu odwozi. Tam by nawet mógł być urobek, bo tam są różne rzeczy, ale sama nie wiem... Więc powiedział o tym pijaczku i że on go zaatakował. I nawet pokazał mi ranę, znaczy spory plaster przyklejony na klatce piersiowej, o tu. – Kobieta przytknęła rękę mniej więcej w tym miejscu, gdzie Nęcki został pchnięty nożem.

– A powiedział coś więcej? Kiedy to się stało, dlaczego, jak ten człowiek wyglądał?

Wcześniej Wiera nie brała w ogóle pod uwagę takiego przebiegu wypadku, bo nic nie zginęło, przecież została nietknięta saszetka, rzeczy w aucie. Wyłapała spojrzenie Staronia. Myślał o tym samym, co ona. Zrobiło się jej chłodno. Może to od początku było banalne, prostacko banalne, a ona zaraz to powiązała z tą dziewczyną, z którą też zresztą dawali ciała.

– Nie. – Monika Szybuk pokręciła głową. – Bo ja w to nie uwierzyłam, więc nie pytałam. Miałam z siebie naiwną kretynekę robić? Złomiarz, który ledwo się trzyma na nogach, miałby go zaatakować? Przecież tacy to całe życie chodzą napompowani procentami, słabo co kojarzą ze świata, tylko kolejna porcja alkoholu albo piątak na nią ich interesują. Bywają namolni, ale tylko namolni. Co to u nas w mieście takich nie ma? „Da królowa?”, i tyle. On, znaczy Robert, zawsze coś miał, zawsze sobie znalazł wymówkę, ta niby-rana i historyjka o napadzie to już był szczyt wszystkiego. Gdyby był ranny, toby tak nie stał. A on stał i jeszcze miał ochotę na mizianie. Plaster se nakleił, pozer jeden! – Kobieta aż się uniosła na krześle.

Opadła i przez chwilę milczała.

– Dobrze się czuł? – zapytała Wiera.

– Nic mu nie było. Stał przede mną normalnie. Przysięgam! – Szybukowa dwa razy lekko uderzyła się pięścią w obfity biust. – Nic mu nie było! Tak mnie zezłościł tym kolejnym kłamstwem, że go popchnęłam, bo on znowu wyciągnął do mnie ręce. Lekko to było, ale on stał nad takim malutkim dołkiem, zagłębieniem terenu, bo tam jest nierówno i się zachwiał, i poleciał do tyłu. Upadł, ale nic mu się nie stało, na pewno. Na moich oczach się podniósł i zaczął otrzepywać, cholerny elegancik. We mnie coś wtedy ostatecznie pękło. Pomyślałam, że on nie jest mnie wart, że ja wolę już nie mieć tych uniesień, niż tak się dawać upokarzać. Powiedziałam mu... – zawahała się – jak szczerze, to szczerze... więc powiedziałam mu, żeby spierdalał i nigdy nie wracał. Odwróciłam się, jeszcze przez ramię splunęłam i poszłam do auta. I na koniec tylko popatrzyłam w tamtą stronę. Stał, po prostu stał. Cały i zdrowy. I tyle, wtedy go widziałam po raz ostatni. Żywego.

– Robert Nęcki był ranny. Ktoś go naprawdę zaatakował – powiedziała Wiera.

Szybukowa patrzyła na nią zdumiona.

– Ale to niemożliwe. Przecież jeśli umarł, to musiał być poważnie ranny. Nie umiera się od takich zwykłych, małych ran, które się dają plasterkiem zakleić!

„Jeśli rzeczywiście to nie ona, to nie ma pojęcia, jak dziwna jest ta sprawa”, pomyślała Jezierska.

– Ja w ogóle nie wiem, dlaczego on zginął, tak się bałam, jak się okazało, że ciało w tej zwirowni znaleziono, a potem, jak się okazało, że to on, to już całkiem – żeby mnie nikt z tym nie powiązał, bo to naprawdę nie ja. Rozumie pani? – Przez cały ten czas patrzyła tylko na Wierę.

– Była pani na niego zła. Rozżalona. W dużych emocjach. Może jednak wypadki potoczyły się inaczej? – Jezierska postanowiła mimo to spróbować. – Może to było nie tylko popchnięcie, ale też cios?...

– Ja bym nie mogła, bo ja go kochałam, mimo wszystko. Powiedziałam, że nie chciałam upokorzenia, bo chciałam sobie coś z tej historii zostawić, choćby dobre wspomnienia. Nie zabiłam go, przysięgam! – Monika Szybuk uderzyła dłonią w stół.

Zaczęła płakać, aż w końcu położyła głowę na blacie i nakryła ją rękoma. Wiera patrzyła na jej podskakujące w rytm spazmów plecy.

– Na tym na razie skończymy – powiedziała do tych pleców.

Plecy nie zareagowały.

ROZDZIAŁ 20

– Złomiarz? Chodzi o tego menela, co zgłosił morderstwo, bo natknął się na ciało, zbierając puszki? – Głos Marii Przyzwan miał podkład z szumu drogowego. Prokuratorka była w trasie. – No dobra, wezwijcie go jeszcze raz, ale przecież ty i Remek go przesłuchiwaliście i nic?...

– Nic – przyznała Wiera. Chodziła po korytarzu, żeby trochę rozprostować nogi. Te kilkanaście godzin snu całkowicie wybiło ją z rytmu. Wypiła drugą kawę, ale wciąż czuła się rozbita. – Remek go wezwie jeszcze raz, to znaczy nawet już próbował, ale ten Budnik powiedział, że nie może chodzić, bo ma atak podagry czy czegoś takiego, więc Remek tam pojedzie i jeszcze raz z nim pogada, u niego w domu. Koleś mieszka niedaleko zwirowni. Biegaczka przyjedzie.

– A Monika Szybuk?

– Zaczęliśmy ją przesłuchiwać i zrobiliśmy przerwę. Już jest trzeźwa, ale w średnim stanie psychicznym. Jak skończę z panią prokurator rozmawiać, to wracam do niej.

– Na razie to ona jest najbardziej prawdopodobną podejrzaną – stwierdziła Przyzwan. – Właściwie to jedyną podejrzaną. Cholerna rana... – Na chwilę urwała. – Zobacz, to mogło tak być – dźgnęła go, bo już wiemy, że potrafi być impulsywna.

Wiera poczuła nieprzyjemne ciepło na policzkach; przed Przyzwan było jej najbardziej wstyd. Prokuratorka jednak nie nawiązywała dalej do wczorajszych wydarzeń.

– Potem się przestraszyła albo miłość znowu doszła do głosu – ciągnęła – i nawet odprowadziła kochanka do auta i do apteczki. Jóźwik twierdzi, że z taką raną można spokojnie przez jakiś czas pofunkcjonować bez objawów.

– To by może nawet pasowało, ale potem? – zapytała Wiera. – Ktoś mu przecież rozwalił głowę.

– Mogli się znowu pokłócić. W takich sytuacjach jest od ściany do ściany. Sprawy wymknęły się spod kontroli i poszło.

O tym rozedrganiu Wiera sama mówiła Remkowi, ale widok Moniki Szybuk walącej czymś twardym i ciężkim w starannie i własnoręcznie ostrzyżoną głowę kochanka jakoś jej nie pasował.

– Kontynuuj. Ja wracam z Olsztyna. Mamy na tyle poważne podejrzenie, bo ona była przecież na miejscu zbrodni i miała motyw, że można ją zgarnąć. Na razie areszt tymczasowy, a potem się zobaczy. No dobra... – Prokuratorka już się miała rozłączyć, ale jeszcze zapytała: – A jak dziewczyna?

Wiera westchnęła.

– Nic, wciąż nic.

Wsunęła telefon do kieszeni. Była zdecydowanie na fali opadającej. Nic jej nie szło. Kręciła się w kółko. „Jak gównu w przeręblu”, w zupełnie niechciany sposób przypomniawszy sobie, jak mówił do niej ojciec, kiedy wracał do domu po jakiejś popijawie z kupkami i chciał w ciszy zalec na starej wersalce, a ona dokładała do pieca, obierała ziemniaki, robiła kanapki z masłem i solą dla siebie i Anki, próbowała się uczyć – po prostu zwyczajnie żyć. „Jak gównu w przeręblu się kręcisz”, wyrzaskiwał wtedy na nią, a ona tężała. Otrząsnęła się. „Zostaw przeszłość”, powiedział jej stary. Nie mogła, nie potrafiła, cała była przecież z tej przeszłości. Gdyby nie ta przeszłość, nie poszłaby pewnie do Szczytna, nie byłoby jej teraz tutaj. Nie chodziło o grzebanie się w minionym syfie, chodziło to, żeby go przekuć na coś dobrego.

Wzięła głęboki oddech i weszła do pokoju, w którym czekała na nią Monika Szybuk.

Kobieta siedziała przy biurku i wpatrywała się w swoje dłonie z paznokciami pomalowanymi na burgundowy kolor i posypanymi złotym brokatem. Nie pasowały jej teraz – pokornej i oklapniętej, mało umalowanej. Poruszyła się, kiedy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

– To jest jakiś absurd – ożywiła się trochę, kiedy zobaczyła Wierę. Doszła już chyba do siebie po tamtym wybuchu. Widać było, że pomimo zdenerwowania i zmęczenia stara się zapanować nad sobą. – Ja wiem, jak to wszystko wygląda, to znaczy jak to z boku może wyglądać – starała się mówić spokojnie, ale mowa jej ciała: lekkie pochylenie do przodu, spięte ramiona i pocierające o siebie palce zdradzała, ile kosztuje ją ta walka – ale przecież muszą być jakieś metody, jakieś sposoby, żeby sprawdzić, że ja nie kłamię. No jakieś ślady, nie wiem, odciski, może ten, no... wariograf?

– Dziękuję za sugestię. Policja sobie radzi – powiedziała Wiera, myśląc jednocześnie „akurat”.

– Tak, ja wiem, tylko... A może to zupełnie inny wątek, taki, który nie był jeszcze badany? Na przykład ta jego... jego partnerka. Ta Joanna. Przecież mogło być tak, że ona się dowiedziała o nas i postanowiła się zemścić. Może go śledziła? Może się pokłócili?

– Zeznała pani, że Nęcki poinformował panią o kłótni ze złomiarzem i o tym, że to on go zranił – przypomniała jej Wiera.

– Tak powiedziałam, bo to prawda, w tym sensie, że on mi tak powiedział. Może mnie okłamał? Może się wstydził? To mogłoby jednak pasować, taka kłótnia damsko-męska, z raną, ale mało poważną.

– A potem z drugą, już śmiertelną.

Wiera zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić Joanny Krzysztofik walczącej o cokolwiek w życiu. „Przegryw”. Ta kobieta oddawała wszystko walkowerem. No i nie miała ani auta, ani prawa jazdy. No i była w pracy.

Monika Szybuk wyczuła sceptycyzm Jezierskiej i zmieniła front.

– Albo ta jej córka? Robert mówił, że dziewczyna ma nie po kolei w głowie. Że same z nią problemy. A z kolei pani zasugerowała, że... – kobieta przełknęła ślinę i było widać, że przez chwilę ze sobą walczyła – że być może on... że on... był nią jakoś zainteresowany. Młoda, na miejscu...

„Nawet teraz go broni”, pomyślała Wiera. „Nawet w takiej sytuacji”.

– Może to ona go załatwiła? Bo ją odtrącił?

– Nie wiemy jeszcze, czy ją odtrącił – powiedziała spokojnie Jezierska. Wyprowadzenie Szybuk z równowagi było jej na rękę.

– No to ją przesłuchajcie! – Kobieta uniosła się na krześle i wychyliła się w stronę Wiery, ale spojrzenie sierżantki usadziło ją na miejscu. – Zaraz, zaraz... – oprzytomniała. – A to przypadkiem nie ona jest tą dziewczyną, co zaginęła?

Jezierska nie musiała odpowiadać, w końcu to ona jest od zadawania pytań. Nic nie mogła jednak poradzić na to, że czuła coraz większe rozczarowanie – samą sobą.

– No ona. Ona, prawda? – Kobieta dalej była w natarciu. Wróciła dawna, pewna siebie Monika Szybuk. – Zaginęła, a wcześniej on zginął. To jest jak dwa dodać do dwóch. No to musi mieć związek, bo...

– Policja jest od zbierania dowodów i wysnuwania wniosków. – Wiera przerwała jej ostrzej i głośniejszym głosem niżby chciała.

Szybukowa się otrząsnęła. Wyglądała, jakby uważała, że Jezierska ją zdradziła. Że już prawie była po jej stronie, a teraz się odcięła.

– Czy Robert Nęcki opowiadał pani o Ewelinie Krzysztofik?

– Tyle, co już pani mówiłam. Że same z nią problemy. – Wzruszyła ramionami.

– A że mu groziła, szantażowała go?

– Nie – przyznała niechętnie Szybuk.

– A ktoś inny mu groził? Z kimś miał na pieńku?

Kobieta powoli pokręciła głową.

– Nie, nie mó... Ale przecież grał w te karty, bo i ode mnie brał, znaczy pożyczał pieniądze. Może to ktoś z tamtego środowiska? – Znowu się ożywiła. –

To były duże pieniądze, więc...

– Badamy ten wątek. – Tu Wiera pozwoliła sobie na odsłonięcie kulis śledztwa.
– Niezależnie od zdobytych przez nas materiałów pojawiła się informacja, która sugerowała, że ten fragment życia Roberta Nęckiego może mieć związek z jego śmiercią. Dostaliśmy anonimową informację sugerującą takie powiązanie. – Popatrzyła na kobietę. – Sprawdzamy, kto jest jej autorem. – Wciąż nie spuszczała wzroku z Szybukowej.

– Ale że ja? – Fryzjerka w geście zdziwienia dotknęła dłonią swojego obfitego biustu.

– Tego nie powiedziałam. Stwierdzam tylko fakty, to jeden z nich; drugi jest taki, że miała pani wiedzę o hazardzie, w który Robert Nęcki był uwikłany.

Monika Szybuk też na nią patrzyła. Tym razem milczała; może te ciągłe wybuchy i zaprzeczenia ją osłabiły, a może traciła nadzieję na ich skuteczność.

– Zostawmy ten wątek, a przejdźmy do faktów. Poprzednim razem zeznała pani, że wróciła do domu zaraz po zamknięciu zakładu, czyli około wpół do pierwszej.

Szybukowa kiwnęła głową.

– Tak czy nie?

– Tak – przyznała niechętnie.

– Pani mąż to potwierdził, a zatem oboje kłamaliście. Pani go do tego nakłoniła?

Monika Szybuk się zawahała.

– Trochę. Nie wprost. Po prostu powiedziałam, że policja prowadzi sprawę, w której mogę być przesłuchiwana. I że będą pytali o wtorek, może też jego. I że to jest ten wtorek, kiedy wróciłam wcześniej, bo się źle czułam. „Niedługo po dwunastej”, tak powiedziałam. „Niedługo po dwunastej, pamiętasz?” A on przytaknął. W rzeczywistości wróciłam godzinę później, ale on tego pewnie nawet nie pamięta, więc nie wiem, czy można powiedzieć, że on kłamał. Cukrzyca robi różne rzeczy z ludźmi – odbiera sprawność, pamięć... – Zamyśliła się.

„Sprawność – tak”, pomyślała Jezierska. Stąd zamiennik, czyli Nęcki. Pamięć – też pasowało. Zygmunt Szybuk sprawiał wrażenie człowieka, który o niczym nie chce pamiętać, o niczym nie chce wiedzieć.

– On się na pewno teraz o mnie martwi. – Szybukowa po raz kolejny zmieniała taktykę. – Był tu rano i wróci, jak tylko zje, bo on musi regularnie jadać. A denerwować się nie może, bo...

– Cóż, teraz na to za późno. Jeśli dba pani o dobre samopoczucie męża, trzeba było zrobić to ciut wcześniej.

Monika Szybuk chyba chciała coś odpowiedzieć, ale zrezygnowała.

– No to co teraz będzie? – zapytała.

– Areszt tymczasowy, taki jest wniosek pani prokurator.

Kobieta zbladła. Teraz, kiedy była prawie nieumalowana, łatwo było wyczytać z twarzy jej stan emocjonalny. Na dekolcie miała różowe plamy, policzki upodobniły się kolorem do włosów.

– Ale jak to? To jest niemożliwe. To jest... – nie potrafiła dokończyć myśli. – To za to, że na panią naskoczyłam na zapleczu? Taka zemsta? Ukartowana razem z panią prokurator? Dwie kobiety gotują trzeciej takiej los! – Zaśmiała się histerycznie. – Zginął facet, co niejedno miał za uszami, a ma za to odpowiedzieć kobieta, która jest... która jest... po prostu głupia, naiwnie głupia! – To ostatnie wykrzyzczała, patrząc Wierze prosto w oczy.

W to Wiera uwierzyła od razu. Monika Szybuk była głupia – głupotą naiwnej, zakochanej kobiety. Czy jej wina polegała jeszcze na czymś?...

ROZDZIAŁ 21

Siedziała w pokoju i znowu bawiła się zapalkami. Na korytarzu, kiedy wychodziła z pokoju przesłuchań, wpadła na komendanta. Zapytał o postępy w śledztwie. Poinformowała go, że Maria Przyzwan wystąpi do sądu z wnioskiem o areszt. Twarz Zbigniewa Króla się rozjaśniła. „Dobrze, wreszcie coś konkretnego mamy”. „Na razie same poszlaki”, wbrew własnemu interesowi zgasła jego entuzjazm. „Toż pracujecie, żeby te poszlaki przemienić w dowody”, stwierdził, a raczej wydał polecenie. „A dziewczyna?” – o to zapytał, zrobiwszy już kilka kroków w stronę swojego gabinetu. Odwrócił się i wbił w nią to pytanie-wyrzut sumienia. „Nic. W sumie to ostatnio zajmowaliśmy się głównie Nęckim i...” Tłumaczyła się zarówno przed nim, jak i przed sobą. „To zaraz nadrobicie. To zaginięcie... Czasem ludzie chcą zginąć i tyle. Nie mówię, że to taki przypadek, ale kto wie. Morderstwo na pewno ważniejsze, no”.

Pudełko szybowało z lewej strony biurka na prawą i z powrotem. Wiera odbijała je rytmicznymi ruchami dłoni. A może stary miał rację? Może nie potrafiła realnie ocenić sytuacji?...

Jej telefon zawibrował. Dzwonił Staroń.

Odłożyła pudełko zapalek i podniosła aparat. Przejechała palcem po ekranie w kierunku zielonej słuchawki.

– No co tam, Remek? – zapytała.

– W sumie nic. Znaczący nic, co by mogło świadczyć, że Budnik ma coś wspólnego z naszą sprawą. – Staroń lekko dyszał.

– A ty gdzie jesteś? Dlaczego sapiesz? – zdziwiła się.

– Bo idę. Trochę się przejdę, zanim wsiądę do auta, bo tam, u tego Budnika... On mieszka w gospodarstwie, takie ma nieduże, po matce, bo ojciec już dawno nie żyje, a brat w Anglii. Więc jest to gospodarstwo, obok chałupy i stodoły ma pole, a na tym polu coś rozrzucił. Tak sztyński, że nie idzie wytrzymać.

– Obornik rozrzucił. – Wiera nie była dziewczyną z miasta.

– To wiem. Ale ten po prostu śmierdzi tak, że koszmar. Powiedział, że od świń, a świny wszystko jedzą, więc śmierdzi. Tym wszystkim.

– Fakt. Świny jedzą wszystko. A oprócz odkryć gospodarskich to masz coś?

Remek na chwilę ucichł. Pewnie się zastanawiał, czy Wiera żartuje, czy mu dogryza. Właściwie to sama nie wiedziała. Wiedziała tylko, że jest spięta, a spięcie domaga się rozluźnienia.

– On naprawdę ma teraz problem z nogą, znaczy ze stopą. Pokazał mi, nawet bandaż odwinął. – Z tonu głosu Remka Wiera wywnioskowała, że okazanie tego dowodu było okupione przez starszego posterunkowego dużym dyskomfortem psychicznym. – Ma jakiś atak, stopa czerwona i spuchnięta, leki bierze, bo mu kiedyś lekarz przepisał, ale generalnie leczy się sam, tym, co mu zostało. W domu średnio biednie, ale nawet bez bałaganu. Ale ja nie o tym chciałem. Bo on zadzwonił, że znalazł Nęckiego po południu, prawda?

– Prawda. Obiad jadłam w Świteziance, znaczy chciałam zjeść, kiedy dostałam zgłoszenie.

– On tam poszedł prosto od sąsiada, tego, co mu ten obornik rozrzucił. Bo Budnik to tylko skrawek ziemi przy domu ma zostawiony, resztę sąsiad dzierżawi, tak się jeszcze podobno z matką Budnika umówili. Więc poszedł tam, właśnie w tej sprawie. Sąsiad ma żonę i miał też obiad, i Budnik z nimi zjadł, a potem, prosto od nich, z tym wózcikiem, na zwirowisko. Bo już nawet u nich z nim był, z tym wózkiem znaczy.

– No dobra, ale to było w piątek, a Nęcki zmarł najprawdopodobniej we wtorek, najdalej do środy rano, więc w sumie mało nas interesuje, jak spędził

piątkowe przedpołudnie.

– Poczekaj, już mówię. – Staroń chciał ją uspokoić, ale sam był podekscytowany. – Ja byłem u tych sąsiadów. Ten facet to bogatszy niż Budnik, to znaczy taki zorganizowany rolnik z dużą gospodarką. Powiedział, że Budnik czasem do niego wpada i że jest nieogarnięty życiowo, ale „pocziwy chłop”. Żona dodała, że byłoby inaczej, gdyby miał kobietę, ale nie ma, bo zawsze tylko był z matką i tak wyszło. – Staroń jakby posmutniał. – No, w każdym razie Budnik był u nich nie tylko w piątek, ale i cały ten tydzień od szesnastego maja, czyli od poniedziałku. Pomagał im w gospodarstwie, za kasę. Trochę się ten gospodarz ociągał, no bo to przecież z ręki do ręki płacone, szara strefa, ale w końcu to przyznał.

– Cały tydzień?

– Powiedział, że dniówka, od rana do piątej. I dopiero w piątek Budnik miał wolne, ale wtedy przyszedł w sprawie tego nawozu, a przy okazji żona rolnika dała mu obiad. Gdzieś koło drugiej od nich wyszedł, bo oni zawsze o pierwszej jedzą. O której on do nas zadzwonił?

Wyciągnęła swój notes, przekartkowała na dwudziestego maja. „Czternasta dwadzieścia dziewięć – tel. z komend.”. To było zapisane długopisem, potem ołówkiem dołożyła „RN”.

– Po drugiej. To się zgadza. Tamto chyba też, jeśli potwierdzili. W sumie nie spodziewaliśmy się niczego innego. Nie mógł ci tego wszystkiego opowiedzieć wcześniej, podczas pobytu na komendzie?

Staroń milczał.

Wiera pomyślała, że był wtedy tak podekscytowany wizytą u starego, że nie mógł się skupić na tej rozmowie.

– No, ja myślę, że on też nie chciał gadać o tej pracy, bo to na czarno. Może się bał wsypać sąsiada i że fuchy mu się skończą?

– Może. – Nie chciała rozwijać swoich przypuszczeń.

– A u ciebie co? – Staroń chyba odetchnął.

– Ani wte, ani wewte. Tyle tylko, że Przyzwan wystąpi do sądu o areszt dla Moniki Szybuk. I sąd się pewnie przychyli, bo w sumie... – Zamyśliła się. – Dobra, Remek. Wracaj. A jak wrócisz, to zabierz się do Eweliny Krzysztofik.

– No a co dokładnie? – Staroń najwyraźniej wolałby jakiś konkret.

Wiera też, ale mieli, co mieli.

– Jeszcze raz wszystko od początku. Coś musieliśmy przeoczyć.

Trudno jej było pogodzić się z tą myślą, ale fakty nie chciały się inaczej ułożyć.

– Wiesz, jaki dziś mamy dzień? – zapytał Staroń.

– Słaby. Jak wszystkie ostatnio. – Westchnęła. Szarady Remka mogły tylko pogorszyć ten stan.

– Dzień Dziecka Zaginionego.

Nie wiedziała. Remigiusz Staroń lubił zaczynać pracę od przeglądu Internetu i wyłapywania takich informacji. Ta ją zakłuła – na krótką chwilę, ale odczuwalnie.

– Wyświetliło mi się, a potem od razu jakieś linki do artykułów na ten temat. Co roku pięć tysięcy młodych ludzi wychodzi z domu bez żadnej informacji, po kryjomu. Nie wraca już nigdy i nie wiadomo, co się z nimi stało, dwieście pięćdziesiąt z nich. Może to właśnie ten przypadek?

– Może, Remek. Ale nie będziesz dobrze spał, dopóki nie zrobisz wszystkiego, żeby się upewnić, że ona jednak gdzieś żyje, tylko nie chce być znaleziona – powiedziała, myśląc: „Ja też nie będę dobrze spała”. – Więc jeszcze raz, wszystko, od podszewki, wybebeszamy, dokładnie oglądamy i sprawdzamy.

– Tak, jasne – zgodził się. – No to na razie.

– Na razie.

Kiedy była młoda, młodsza od Eweliny Krzysztofik, wiele razy się zastanawiała nad ucieczką – Gdzieśdalekobydalej, to było jej miejsce docelowe. Nigdy się nie zdecydowała, bo to po prostu nierealne. W ocenie realiów była mocna – przygotowanie do życia, mimowolnie, opanowała świetnie. Więc nie związała, boby się nie udało, sprawa bez szans. Musiałaby wrócić, pokonana, z podkulonym ogonem. A tej dziewczynie – przypomniała sobie jej pokój, jej

zdjęcie, to, co mówili o niej ludzie – delikatnej i cichej – miałyby się udać? No jak? I to jeszcze gdyby była w ciąży, choć właściwie nie wiadomo, czy była.

Znowu zaczęła się bawić pudełkiem. Kosoń trzymał je w każdej szufladzie. Dziwak, gdy na to spojrzeć obiektywnie. I wcale temu nie zaprzeczał. Może dlatego, z powodu tej prawdziwości, nieudawania, szło mu dobrze w robocie, bo nie musiał się kryć z tym, jaki jest? Każde z pudełek było już trochę opróżnione; chyba taki miał system, że brał różne, na zmianę, żeby nigdy nie dać się zaskoczyć brakiem zapalek. Westchnęła; odczuwała nieobecność komisarza. Kosoń pewnie siedział teraz w domu i coś czytał. Albo był u Ruberta i pili kwas chlebowy. Albo chodził z tymi kijami po lesie. Nie, niczego z tego zestawu mu nie zazdrościła. Nie chciałyby przecież tak – beczynnie, beżużytecznie, nie działając zawodowo. „No to działaj, kurwa, działaj”, podniosła się z biurka. Zaczęła chodzić po pokoju; i tu Kosoń miał rację – jak się chodzi, to się lepiej myśli. Może jej ostatnio nie szło, bo częściej wozila tyłek, niż używała nóg? I zapuściła się z aktywnością fizyczną?

Chodziła od ściany do ściany; kiedy podczas trzeciego lub czwartego nawrotu mijala drzwi, usłyszała pukanie i prawie od razu ktoś wtargnął do pokoju, a naciśnięta klamka boleśnie uderzyła ją w biodro. Syknęła.

– Dzień dobry – powiedziała kobieta. Elegancka, w dopasowanej sukience i rozpuszczonych, pofalowanych włosach. – Przepraszam – zmitygowała się na widok sierzantki rozmasowującej bok – nie czekałam na „proszę”, bo zwykle nie słysząc, a człowiek stoi bezradnie po tej drugiej stronie, zresztą byliśmy umówione.

Dopiero teraz Jezierska ją poznała. Faktycznie, to była biegaczka, na którą czekała. Zgodziła się przyjechać, od razu przystała na zaproponowany termin. Wiera zapamiętała ją w wydaniu sportowym, z mocno upiętymi włosami i bez makijażu; teraz stała przed nią kobieta obnosząca się ze swoim sukcesem zawodowym. Jezierska wiedziała, że ma swoją aptekę i salon kosmetyczny („kosmetologiczny”, poprawiła ją).

– Dzień dobry. Proszę usiąść. – Jezierska gestem zaprosiła ją do biurka. – Dzwoniłam – powiedziała, kiedy obie zajęły już miejsca – bo mam jeszcze kilka

pytań na temat tego miejsca, w którym panią spotkałam.

– Tego, gdzie zdarzyło się to morderstwo. – Kobieta była precyzyjna. Aptekarsko dokładna.

– Tak. Ale nie o morderstwie chcę rozmawiać, tylko właśnie o miejscu. Mówiła pani, że tam biega.

– Tak, regularnie, dwa razy w tygodniu, mniej więcej. Czasem może trzy, poniżej dwóch nie schodzę, bo regularność to klucz do sukcesu.

Jezierska ćwiczyła regularnie tylko w Szczytnie. Potem już nie. Na razie kondycję miała niezłą, bo była młoda, ale kto wie, co będzie potem. Tak czy owak, brakowało jej motywacji, może dlatego, że w nagrodę nie czekał na nią żaden sukces – ani w pracy, ani poza nią.

– Zwykle biegam w poniedziałki i czwartki, wtedy mam takie momenty luzu w pracy. Czasem w weekend, jeśli się uda. Tak jak już pani powiedziałam tam, na miejscu.

– Od kiedy pani trenuje na terenach dawnego żwirowiska?

– I na tych terenach, i w najbliższej okolicy – uściśliła kobieta. – Rok to na pewno, chyba więcej. Od zeszłej wiosny. Przypadkiem to miejsce odkryłam. Właściwie... – Nachyliła się ku Wierze. Miała bardzo ładną cerę, gładką i równą, duże brązowe oczy, pełne usta i pachniała luksusem, w każdym razie czymś, co się Wierze z luksusem kojarzyło. – Wracałam z Kirsajt, od znajomych. Byłam na imieninach, dużo jedzenia, kawa, pęcherz obciążony i... I musiałam się zatrzymać. Wypadło, że właśnie tam. – Uśmiechnęła się i wróciła do wyprostowanej pozycji. – Kiedy już zrobiłam dobrze fizjologii, pomyślałam, że nieźle by się tam biegało. Spokojnie, trochę trekkingowo, zawsze jakoś inaczej. Zajęcia fitness w klubach mnie nie interesują, to głównie pogaduszki, bon ton, no i w pomieszczeniu, a ja lubię naturę. Pojechałam pierwszy raz, zaskoczyło i potem już poszło. Mąż się dziwi, nawet chyba podejrzewał, że kogoś mam, ale ja tam naprawdę biegam. – Roześmiała się. Zęby też miała bardzo ładne.

– Powiedziała pani wtedy, że... – Wiera przekartkowała notes – ...„nie spotykała pani nikogo podejrzanego”. To znaczy kogo pani spotykała?

– No tak powiedziałam, bo to były zwyczajne osoby, po prostu...

– A dokładniej? Faceta, który też sikał, to znaczy sikał – mam. I młodocianych zakochanych – również. A kogoś jeszcze? Niekoniecznie bardzo niedawno, trochę się cofnijmy w czasie.

Kobieta odgarnęła włosy z twarzy. Sprężysta, błyszcząca fala poddała się jej palcom.

– Jak już pani mówiłam, kiedy biegam, to się wyłączam. Staram się równo oddychać, rozglądam się, bo podłoże nierówne, wymagające. I zwykle słucham muzyki. Raczej odcinam się od otoczenia, niż z nim integruję. Ale dobrze, zaraz, zaraz... – Delikatnie przymknęła oczy, dzięki czemu Wiera mogła zobaczyć idealnie namalowaną kreskę na górnej powiece. Ta kobieta była chodzącym, a właściwie biegającym ideałem. – Kiedyś widziałam tam takiego starszego faceta, to znaczy około sześćdziesiątki, tylko dość poturbowanego przez życie. Nawet więcej niż raz, ale nie przypomnę sobie, kiedy dokładnie. Zbierał jakieś metale, pewnie to, co da się sprzedać w skupie. „Dobry, szefowo”, tak mi się wydaje, że się przywitał, bo wtedy miałam słuchawki. Nawet się uklonił. Poza tym to jakieś dzieciaki, to musiało być w wakacje, bo był upał. Jeździły na rowerach trekkingowych, skakały po tych muldach, górkach. Na pewno widziałam jakieś inne osoby, ale albo z daleka, albo mi tak jakoś przelatowały pod oczami. Chyba nie pamiętam nikogo innego... – Rozłożyła ręce w geście bezradności. Dłonie też miała perfekcyjne – gładkie, z błyszczącymi delikatnym różem paznokciami.

Jezierska nie oczekiwała właściwie niczego innego.

– Gdyby jednak przypomniała sobie pani coś jeszcze... – odprowadziła ją do drzwi i wyrecytowała tę standardową formułkę.

– Tak, oczywiście. – Kobieta już była jedną nogą – estetycznie spójną z resztą ciała – na korytarzu, kiedy nagle się odwróciła. – Już teraz sobie przypomniam! – ucieszyła się. – Jak to czasem umysł dziwnie działa. Widziałam jeszcze wędkarza.

– Wędkarza?

Poukładana i precyzyjna farmaceutko-kosmetolożka nagle wydała się Wierze trochę nieprofesjonalna.

– Przecież stamtąd do jeziora to spory kawałek – powiedziała.

– Fakt, źle to ujęłam. Chodziło mi o to, że ten mężczyzna był w kamizelce, takiej charakterystycznej, w kolorze khaki, z różnymi kieszeniami. Do tego czapka z daszkiem, już zwykła, więc twarzy zupełnie nie potrafię opisać. Nie łowię ryb, nie mam o tym pojęcia, ale kamizelki kojarzę. W wersji profesjonalnej można je kupić w Olsztynie, tam jest taki sklep dla polujących, łowiących i tak dalej. A w wersji popularnej to pewnie nawet na bazarze. Zresztą nawet tu przy komendzie mi taka mignęła.

– Przy komendzie? – Wiera drgnęła.

– Tak, kiedy szłam z parkingu, na chodniku niedaleko wejścia zobaczyłam mężczyznę w takiej właśnie kamizelce, dlatego tak mi się skojarzyło.

– A ten mężczyzna był starszy, lekko otyły, idący powolnym krokiem? – zapytała Jezierska.

– Nie przyglądałam mu się, ale... – znowu przymknęła oczy – ...chyba by pasował do pani opisu. Ta kamizelka mi się rzuciła w oczy. Bo jeszcze dziwniej wyglądała tu niż tam, ale mężczyźni to rzadko mają wyczucie, zwłaszcza starsi i z małych miejscowości. Stylistyczne zbrodnie popełniają.

Wiera zamknęła za nią drzwi. Myślała o zupełnie innej zbrodni, popełnionej z miłości, dla której można zabić albo swojego kochanka, albo kochanka żony.

ROZDZIAŁ 22

Wiera chwilę jeszcze postąpiła pod budynkiem. Spojrzała na telefon – teraz do przyścia Szybuka zostało trzydzieści pięć minut. Wsunęła komórkę do kieszeni. Postanowiła skoczyć do sklepu po bułkę. Ostatnio całkowicie zaniedbała zakupy; dziś rano w chlebaku znalazła ćwiartkę chleba. Starość i czerstwość byłyby do zaakceptowania, w końcu wiele da się przeżyć, ale na pomarszczonej skórcie wypatrzyła zielonobiałą mgiełkę pleśni. Jeszcze kilka miesięcy temu po prostu by odkroiła ten kawałek i byłoby po sprawie, ale czytała w Internecie artykuł o tym, że to, co widać na jedzeniu, to góra lodowa pleśni – reszta się rozpełza w głąb, tworząc niewidoczną gołym okiem trującą sieć. Ponieważ artykuł był napisany przez panią profesor z jakiegoś instytutu, potraktowała go serio, jednocześnie zastanawiając się, ile takich toksycznych porcji już w siebie wsunęła. W ich domu to była stała praktyka „odświeżania” potraw. Przez pierwsze lata życia Wiera wcisnęła w siebie wiele toksyn, zresztą nie tylko z jedzenia.

Doszła do sklepu. Lokalny spożywcza, na jasnym tynku nazwa „Puls”, zapisana jak wydruk na EKG. Właścicielom pewnie chodziło o to, że sklep jest bijącym sercem osiedlowego życia. I był; jak to kiedyś usłyszała od rosnącego trzydziestolatka, stojącego w kolejce przed nią: „Duży wybór jedzenia, a i najważniejsze – wódkę można kupić mrożoną”.

Ona nie piła ostatnio alkoholu. Chciała u Ruberta, no ale to była konkretna, towarzyska i niepowtarzalna okazja. Nie wyszło, trudno. O samotnym picu w domu zaczęła myśleć, że to jednak wstęp do degeneracji, nawet jeśli zamieni piwo

(lubiane) na wino (lubiane mniej). Włożyła do koszyka bułkę z ziarnami, taką ciemniejszą. Przy okazji tego artykułu o pleśni przeczytała też inny, o zdrowym odżywianiu się. Ciemne pieczywo, błonnik, ziarna. Pasowało. Dorzuciła kefir; też był zdrowy, i akurat to lubiła zawsze, wiejski smak dzieciństwa.

Przed nią stały dwie osoby. Obie miały w koszykach piwo. Jedną by obstawiła – młody facet w roboczym stroju z budowy, drugiej – raczej nie – kobieta, też młoda, w koszyku miała również jakiś kolorowy serek dla dziecka.

W kieszeni zawibrował jej telefon. Westchnęła. Pomyślała, że to pewnie Staroń. „Zniknę mu z radaru na kwadrans i już alarm”. Na wyświetlaczu pojawiło się jednak: „Anka”.

Stężała. Niedawny niepokój o siostrę był już przeszłością. Przestraszyła się, bo Anka przestała się odzywać. Kiedy dała znak życia, lęk odpłynął. Uświadomiła sobie wtedy, że to absurdalne – gdy miała pewność, że siostra żyje i nic jej nie jest, nieszczególnie ją obchodziła, nie wykorzystywała tego czasu do budowania rodzinnych relacji. Wystarczyło jednak, żeby wkradło się poczucie niepewności co do jej losów, a w Wierze od razu uruchomiło się... Na pewno niepokój, ale na podbitce czegoś mocniejszego. Gdzieś w tyle głowy pulsowało słowo „miłość”, ale Wiera je ignorowała.

– Cześć – odebrała, odzywając się w sposób możliwie najbardziej neutralny. Normalnie, znaczy przed tym zamilknięciem, by nie odebrała, bo było rano, spieszyła się z powrotem do roboty, ale teraz była jednak zainteresowana siostrą – dlaczego ją zbywała i czego teraz chce. Bo akurat jeśli chodzi o matkę, to Wiera była na czasie i na zero z wizytami – wszystko, jak ustalone, żadnej obsuwy.

– Cześć, Wiero.

„Wiero” zwiastowało oficjalność. Albo jeszcze większy niż zazwyczaj dystans.

– Dzwonię tylko, żeby się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku.

Anka miała uprzejmy ton, zatem „Wiero” mogło też być kulturalno-pojednawcze.

– Trzy czterdzieści siedem. – Ekspedientka spojrzała na Wierę z dezaprobatą. Żaden kasjer nie lubi, gdy ktoś kupujący i płacący ma jedną rękę zajęętą przez telefon.

– Poczekaj – rzuciła Wiera do telefonu i przytrzymała aparat policzkiem. Wyciągnęła z kieszeni dwie dwójki i odebrała drobne reszty. Włożyła kefir do foliówki z bułką. Zawsze sobie obiecywała, że skończy z tym plastikowym badziewiem, ale w co miała pakować takie małe zakupy? Łazić wszędzie i zawsze z jakąś małą zakupową siatką z materiału z Rossmanna? „A planeta ginie”, szepnął głos w jej głowie. „Ludzie też”, pomyślała. „I to nimi się teraz zajmuję”. – No, już – rzuciła do telefonu, gdy wyszła na zewnątrz.

– W sklepie jesteś, nie w pracy? – Anka była zdziwiona.

– Wyszłam na chwilę. Zaraz mam przesłuchanie. Dlaczego dzwonisz?

– Żeby cię przeprosić, że się nie odzywałam przez jakiś czas. Może to niedostatecznie wybrzmiało... Miałam po prostu dużo zajęć. No a dzwonię też dlatego, że jesteś moją siostrą, to chyba nie aż takie dziwne?

Wiera poczuła znajome pulsowanie w skroniach.

– Nie chcę być niemila – „Gówno prawda, marzę o tym”, pomyślała – ale co cię mogło, że to ujmę w ten sposób, tak docześnie odciąć od życia w miejscu, które jest zwrócone ku wieczności?

Anka przez chwilę milczała. Ani ton, ani styl Wiery nie był pojednawczy.

Mimo to Anka zachowała spokój.

– Oj, Wiera, nie mieszaj planów. Wieczność jest dla duszy, a doczesność jest bardzo absorbująca... Dużo tu mamy pracy, choć może tobie wydaje się ona błaha. Zajmowanie się zgromadzeniem, ogrodem, wyszywanie, prace na rzecz Kościoła, wspomaganie sąsiedniego zakonu męskiego...

„Patriarchalne wyrobnictwo”, Wiera prychnęła, ale tylko w duchu. Czuła, że Anka czegoś chce; była ciekawa czego.

– Ostatnio naprawdę dużo tego jest. I jeszcze nowe osoby, bo na szczęście jest odzew na ogłoszenia zachęcające do nowicjatu... A u ciebie co słyhać?

– Dobrze, dzięki. – Wiera uznała, że jednak niczego ciekawego nie usłyszy. Chciała już zakończyć tę rozmowę, zwłaszcza że zbliżała się do komendy. – Muszę...

– Czyli jesteś zdrowa?

– Tak. Słuchaj...

– A w pracy? Też dobrze?

Wiera pomyślała, że Anka musi mieć naprawdę duże poczucie winy.

– Też. W domu, w pracy i w zagrodzie. Wszędzie dobrze.

– Bo czytałam – siostra zignorowała jej nieprzeoczną uszczypliwość – że macie jakiś sukces. Może to twoja sprawa? I twój sukces?

– A co czytałaś?

– O zatrzymaniu podejrzanego w sprawie zabójstwa mężczyzny w żwirowni.

– Podejrzaney – poprawiła ją machinalnie.

– Może tak. To twój sukces?

Zawahała się. Słowo sukces średnio tu pasowało, ale bardziej jej nie pasowała dalsza rozmowa z Anką.

– Tak.

– To dobrze, gratuluję. Też czasem zbawiasz świat... A u mamy będziesz w kolejnym tygodniu?

Wróciły w stare koleiny. Może i dobrze.

– Będę. No to na razie.

– Na razie.

Odetchnęła. Odbębniłone, zaliczone.

Przeszła jeszcze kawałek i usiadła na murku przy bloku. Zygmunt Szybuk przyjdzie za osiemnaście minut, zdąży zjeść. Oczekiwała lekkiej kwaskowatości bułki, ale okazała się całkiem słodka, co znaczyło, że ciemniejszy kolor pochodził z karmelu czy innego barwiąco-dosładzającego gówna, a nie z dobrego błonnika. „Trudno”, westchnęła. Czasem cukier jest lepszy od zdrowia.

– Ja... Naprawdę... – Zygmunt Szybuk wyglądał jak najpocziwszy ksiądz proboszcz w całym powiecie – ręce złożył jak do modlitwy, jego spojrzenie spoczęło na Wierze i nie drgnęło, a wyraz twarzy miał... „strapiony”, pomyślała. – Tak było, jak mówiłem – robiłem gołąbki, to znaczy one już były w piekarniku, sosem chciałem podlać, żeby się za bardzo nie wysuszyły, bo się szykowałem na Kwadrans dla rolnika, a oni go dają o wpół do pierwszej. I wtedy Moniczka przyszła.

– Żona zeznała wczoraj, że przyszła godzinę później, około wpół do drugiej. – Wiera nie potrafiła go rozgryźć – kłamał czy był zagubiony. A może zmanipulowany? Monika Szybuk nie poradziła sobie z Robertem Nęcim, to on ją prowadził jak na pasku, ale w tym małżeństwie role były inaczej obsadzone.

– Tak? – zdziwił się, chyba szczerze.

– Tak. Oczywiście pan nie mógł o tym wiedzieć, bo nie miał pan z nią wczoraj kontaktu – spróbowała z tej strony.

– Nie miałem, bo podobno nie wolno, tylko pozwolono mi zostawić rzeczy osobiste i musiałem pójść. Nawet z panią sierżant nie udało mi się wczoraj porozmawiać – poskarżył się.

– Za to dziś rozmawiamy i możemy różne kwestie powyjaśniać. To jak było w tamten wtorek, siedemnastego maja?

– No... – Zamyślił się. – Mnie się wydaje, to znaczy ja przekonany jestem, że tak, jak powiedziałem wtedy, że gołąbki podlewałem, bo chciałem zdążyć na Kwadrans...

– Obejrzał go pan? – przerwała mu.

– No nie... Bo Moniczka przyszła, głowa ją bolała, to wpierw do kuchni, żeby podać ciepłej wody i tabletkę, i potem to jakoś tak, że już mi z głowy wypadło oglądanie. Dopiero wieczorem, Fakty.

– Czyli nie ma pan pewności, że to była dwunasta trzydzieści?

– No... – Wahał się.

Przyglądała mu się. „Zagubiony cukrzyk czy krętacz?”, myślała.

– Niestety, mamy tu rozbieżność w państwa zeznaniach, zatem któreś z państwa... źle to pamięta – wolała tak to rozegrać, zamiast powiedzieć „kłamie”.

– Jeśli Moniczka to podała w ten sposób, to może?... – Zygmunt Szybuk wydawał się teraz czystym zwątpieniem.

– Dobrze, to na tym się teraz zatrzymamy, jeśli chodzi o przesłuchanie. Starszy posterunkowy...

– A co z Moniczką? – przerwał jej zaniepokojony.

– Prokuratura wystąpiła do sądu o areszt tymczasowy i dostała zgodę, zatem pana żona na razie nie może być zwolniona do domu.

– Ale... ale przecież ta sprawa to nie może być z nią związana, to jest jakaś pomyłka. – Patrzył na nią, domagając się potwierdzenia swoich słów.

– Jeśli prokuratora zbierze dowody, to sąd rozstrzygnie tę kwestię. Nie ulega jednak wątpliwości, że pana żona знаła zamordowanego i pozostawała z nim w bliskich relacjach. – Było jej trochę przykro, ale co robić, taka praca.

– „Bliskich relacjach” – powtórzył po niej. – Bliskie relacje to są po wielu wspólnych latach, na dobre i na złe obok. To są bliskie relacje. Takie, co to pani sierżant o nich mówi, to relacje przypadkowe i przemijające, o! – Lekko się zdenerwował. I wciąż, niezmiennie, unikał pytań o Nęckiego i jego żonę, zupełnie jakby zaszła jakaś okropna pomyłka i Szybukowa miałaby zostać zaraz zwolniona do domu.

– Jakkolwiek byśmy je nazwali, to się wydarzyły, a Robert Nęcki nie żyje.

Zamilkł. Znowu przyjął pozycję proboszcza, teraz zafrasowanego.

– Starszy posterunkowy pana odwiezie. I przy okazji, jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałby się rozejrzeć po państwa mieszkaniu. I obejrzyć samochód. Oczywiście mamy nakaz przeszukania...

– Tak, oczywiście, nawet bez tego papieru. Nie mam... nie mamy nic do ukrycia. – Zygmunt Szybuk się wyprostował i powoli podniósł z krzesła. – A żonę kiedy będę mógł zobaczyć?

– Na tym etapie, póki nie zbierzemy od państwa zeznań, to niemożliwe. Istnieje ryzyko wpływania oskarżonej na świadka, czyli pani Szybuk na pana.

Pokiwał głową. Miała wrażenie, że się zgarbił, zmałał, jakoś w sobie skulił – a może wynikało to z ubioru? Dziś był w beżowej koszuli i w krawacie; poprzednim razem, w kamizelce, wyglądał trochę jak w pancerzu – była szeroka, zabudowana z przodu mnogością kieszeni.

– A, jeszcze jedno mam pytanie – zapytała, gdy stał już obok drzwi. – Łowi pan ryby?

– Łowię. – Twarz mu się rozjaśniła. – Lubię, to uspokaja.

– A jakieś inne formy rekreacji?

– Inne? Nie, to znaczy takie spokojne – spacer, w lecie na plażę pójść, choć już tylko stopy moczę.

– A w Spytkowie pan kiedyś był?

– W Spytkowie? – zabrzmiał jak echo.

Prawie każdy, kto kłamał, wykladał się na tym mechanizmie, czyli na powtórzeniu pytania, by zyskać czas na odpowiedź i dodatkowo się zdystansować.

Kiwnęła głową.

– Kolegę miałem, jeszcze ze szkoły, bo ja jestem stąd. Fermę drobiu założył, w Spytkowie właśnie, ale nie żyje już dobre dziesięć lat.

– Nie doprecyzowałam – chodzi mi o tereny zielone. No, prawie zielone – stara żwirownia i okolice.

– W żwirowni czy byłem?

„Idzie tą samą drogą”, pomyślała.

– A po co?

„A nawet dalej”.

– Różne rzeczy się tam dzieją, zależy, kto się tam wybierze. – Uśmiechnęła się.

– Proszę poczekać na korytarzu, starszy posterunkowy Remigiusz Staroń zaraz przyjdzie.

Nieswojo się czuła, wchodząc do salonu fryzjerskiego. Miejsce jej kompromitacji; nieuwzględnionej w kartotece, dzięki niezrozumiałemu odruchowi człowieczeństwa komendanta. Wzięła kilka głębszych oddechów i zamknęła za sobą drzwi.

Salon był wysprzątnany na błysk, zresztą nawet gdyby było brudno, to i tak by błyszczało, taka to była stylizacja. Zaczęła od biurka schowanego za wysoką recepcją. Błat był pusty, nie licząc wciśniętego w kąt kalendarza. Wzięła go do ręki i zaczęła kartkować – dzień po dniu był zapisany nazwiskami, godzinami i – czasem – informacjami, jakich zabiegów będą doznawać włosy klienta: „strzyż.”, „farb.”, „grzywka.”. Pomyślała, że mimo oczywistych wad jej praca ma jednak jedną zaletę – nie jest monotonna. Otworzyła po kolei każdą szufladę – nie było w nich nic nieoczekiwanego: długopisy, chusteczki do nosa, batoniki, wazelina do ust, grzebień, blok karteczek, wszystko starannie poukładane. No, prawie – w dolnej szufladzie leżały kolorowanki antystresowe i spore pudełko kredek. Wiera przekartkowała jeden zeszyt – jakieś skomplikowane indyjskie wzory były pieczołowicie wypełnione kolorami. Pomyślała, że niewiele jest zajęć, które tak by ją wkurzały, jak odstresowujące kolorowanie. Przeszła obok regału z farbami i kosmetykami. Otworzyła kilka opakowań, przestawiła kilka butelek – nic. Stała przed kotarą; przeszył ją nieprzyjemny skurcz. Podniosła materiał, prześlizgnęła się pod nim i przez rozsunięte harmonijkowe drzwi przeszła na zaplecze. Zaczęła od szafek z ręcznikami; wsuwała dłonie między poszczególne egzemplarze, sprawdzając, czy nic między nimi nie schowano. W szafie wisiały fartuchy Szybukowej – głównie czerwone, jeden biały. Na tym białym, na kołnierzyku, zobaczyła rdzawe plamy – kilka niedużych kropli. „Pewne od farby”, pomyślała, ale postanowiła wziąć go do sprawdzenia. Na dolnej półce, pod wieszakami, stały trzy pary butów. Jedne klapki, z tymi świecącymi obcasami, które Wiera już widziała, i dwie pary innych, przypominających skrzyżowanie chodaków z butami ortopedycznymi. „Nie dość, że monotennie, to kręgosłup wysiada”.

Przeszła do biurka, zajętego przez gazety i czasopisma. Pierwsza kupka to była tak zwana prasa kolorowa, czyli nieprawdziwe informacje z życia osób, które chcą

być sławne. Przejrzała daty – stare wydania, od kwietnia wstecz. Dlaczego Szybukowa ich nie wywaliła?... Może do czegoś były jej potrzebne – do sprzątnięcia, pakowania albo cholera wie do czego. Na drugiej kupce leżała prasa branżowa, wydawana chyba przez producentów farb, preparatów do włosów i tak dalej. Przedziwne stylizacje i fryzury, które może mogłyby kogoś zainspirować w Warszawie czy w Paryżu, ale na pewno nie w salonie fryzjerskim U Moniki w Giżycku. Trzecia kupka to były ulotki reklamowe – widziała je już na blacie w głównym pomieszczeniu. Duże logo salonu na środku, niżej „Działa od 1999 roku”, a pod tym zdjęcie młodej Moniki Szybuk z imponującą fryzurą. Na odwrocie zamieszczono listę usług; połowa była dla Wieri zupełnie niezrozumiała. Ulotka została wydrukowana na ładnym papierze, w wersji „na bogato”. „Ile ona może zarabiać?”, pomyślała Wiera, machinalnie przesuwając dłonią po równym stosie ulotek.

– Auć! – syknęła, kiedy papier przeciął jej opuszkę palca.

Wykonała zbyt energiczny ruch dłonią i kupka się rozsypała. Kolorowe kartki spadły na kafelki, część dostała się w szczelinę – między blat biurka a szafę.

Westchnęła i kucnęła. Biurko było, zwłaszcza jak na takie wąskie pomieszczenie, spore, więc musiała się wczołgać, żeby wyciągnąć wszystkie ulotki. Przy okazji mogła sprawdzić, że Szybukowa nawet tu miała czysto – gdy sięgnęła ręką w najdalszy kąt, na jej palcach nie zabrał się kurz.

Wysunęła się spod blatu; zebrane karteczki ułożyła z powrotem w stos i zaczęła go wyrównywać. Już prawie, klepnęła jeszcze górną ulotkę. I wtedy wyczuła coś pod palcami. Jeszcze raz przejechała dłonią – na kartce było coś odcisnięte. Podniosła ją z kupki – wyglądało, jakby ktoś użył jej jako podkładki, pisząc coś innego. Zapaliła lampkę stojącą na biurku, ale bez efektu. Akurat tu Szybukowa nie była pedantką – lampa albo się zepsuła, albo żarówka się przepaliła.

Zabrała ulotkę i przeszła do salonu. Podeszła do okna. Tak, na ulotce, na samym dole, został ślad po tym, że była podkładką dla innej kartki, na której pisano. Próbowwała odszyfrować litery, ale siła nacisku była nierówna i znaczki przypominały hieroglify. Może Szybukowa robiła sobie listę zakupów przed wizytą

na targowisku, a może zapisywała, że skończyła się jej odżywka i musi ją zamówić. Może to było zupełnie bez znaczenia.

Mimo wszystko podeszła do biurka i otworzyła dolną szufladę. Wyjęła z niej pudełko z kredkami. Z górnej – bloczek kartek samoprzylepnych. Odkleiła jedną i przyczepiła ją do ulotki. Z opakowania wyjęła czarną kredkę i zaczęła cieniować powierzchnię kartki. „Ty, Wiera, rysujesz tak, jakbyś w ziemi ryła”, upominała ją w podstawówce pani od plastyki. Teraz zrobiła to samo – zbyt mocno szorowała po kartce, nic się nie odznaczyło. Odkleiła ją, wzięła kolejną. Tym razem bardziej się przyłożyła, czyli mniej dociskała kredkę. Na mglisto czarnym tle coś się pojawiło. „...OWI ...ZE ...GRY.

– Owi że gry – przeczytała na głos.

Bez sensu. Zwłaszcza ci „owi”. I „gry”.

– Gry... – przeczytała jeszcze raz.

A może to miało coś wspólnego z hazardem Nęckiego? Z tymi jego sesjami w pokera i z długami? Może było coś więcej i Szybukowa o tym wiedziała, i chciała postraszyć kochanka? Albo chciała na nim wymusić oddanie pieniędzy, skoro ich związek i tak nie rokował na „żyli razem długo i szczęśliwie”?

Wzięła do ręki ulotkę. Nic więcej niż to, co się odbiło na kartce, nie była w stanie przeczytać, zresztą odcisnięte litery znajdowały się na dole ulotki i reszta pisanego tekstu już się na niej nie odznaczyła.

– Owi że gry.

Albo „ze”, bo nie było widać kropki.

– Gry... gry...

I nagle zrozumiała.

ROZDZIAŁ 23

„Powinna być aktorką, nie fryzjerką”, pomyślała Wiera.

Monika Szybuk patrzyła na nią ze zdziwieniem. Gdyby Jezierska miała ciągoty do hazardu i jednocześnie nie miała wiedzy na temat tej sprawy, to postawiłaby spore pieniądze, że to zdziwienie nie było udawane.

- To jest ulotka z pani zakładu, z zaplecza. Dużo osób poza panią tam bywa?
- Ostatnio tylko pani sierżant.

Tego Jezierska się nie spodziewała. Kobieta nagle zmieniła front, jak ścigany, przyparty do muru, który wie, że drogi ucieczki odcięte, to przynajmniej się odgryzie na koniec. W oczach Moniki Szybuk pojawiło się coś nieprzyjemnego.

„Może to jednak Przyzwan ma rację?”, pomyślała Wiera.

– „Zabity R. N. lubił pożyczać pieniądze i nie zwracać. Oddawał się hazardowi w barze Gryz. Sprawdźcie niebieskie auto”. – Podsunęła fryzjerce kopię anonimu. – Taki list, niepodpisany, drukowanymi literami, przyszedł na komendę. Akurat tak się złożyło, że było to zaraz po tym, gdy policja zaczęła się interesować panią jako osobą potencjalnie uwikłaną w śmierć Roberta Nęckiego. A teraz, też przypadkiem, w pani salonie znajdujemy coś takiego. – Obok kopii wylądowały ulotka i żółta karteczka samoprzylepna z odznaczonymi literami, które idealnie pasowały do tekstu z anonimu.

- Nie mam pojęcia, co to jest i kto to pisał. Ani dlaczego to się u mnie znalazło.
- Szybukowa wciąż była nastawiona konfrontacyjnie, ale trochę już spuściła

z tonu. – Naprawdę – dodała.

– To jak to pani wytłumaczy?

– Ulotki trzymam na zapleczu, to znaczy w większej ilości, bo kilka, kilkanaście zawsze leży na ladzie recepcji albo na stoliku przy fotelach. Sukcesywnie dokładam, z zaplecza właśnie. W wakacje rozwożę je po pensjonatach czy barach, poza sezonem rzadko, bo i po co? W sumie to i tak większość klientów jest stała, no ale nie odpuszczam rynkowi. – Popatrzyła na Wierę.

Jeziarska była pewna, że Szybuk ma wprawę w nieodpuszczaniu.

– Kto oprócz pani wchodził na zaplecze?

– Oprócz tego razu, to podaję, żeby odpowiedź była prawdziwa, czyli oprócz naszego spotkania, to ja tylko, no bo kto? Normalnie to Kaśka, znaczy druga fryzjerka, ale ona od ponad dwóch miesięcy jest na zwolnieniu, bo jest w ciąży. No to teraz wchodzi tylko ja, ewentualnie czasem Zygmunt... – Urwała.

„A może to on?”, pomyślała Wiera.

– A może... może to on? – Trudno było ocenić, czy Szybukowa pyta siebie, czy Wierę. – Bo Zygmunt czasem bywa w salonie, z obiadem na przykład się zjawiał, wtedy szedł do tej mojej kanciapy. Albo przywoził pranie z domu, albo coś zabierał.

– A kiedy był ostatnio?

– W tamtym tygodniu, co i pani sierżant była. Zupełnie mi przywiózł. Ogórkową.

Szybukowa mówiła tak, jakby sama się przysłuchiwała każdemu wypowiedzanemu przez siebie słowu.

– Pani mąż wszedł wtedy na zaplecze?

– Wszedł. To znaczy nie widziałam, że wszedł, ale był w salonie. Mógł wejść. Został na chwilę, dziesięć minut może, bo ja poszłam do apteki. Lek już był do odbioru, dostałam telefon, to skoro akurat Zygmunt się zjawiał, a ja miałam chwilę przerwy... Apteka jest blisko, a ja wolałabym nie mieć żylaków. – Przejechała dłonią po łydce.

– Ile pani mąż wiedział na temat pani romansu z Nęcim?

Kobieta westchnęła.

– Zanim to wszystko się tak pokomplikowało, tobym odpowiedziała, że nic nie wiedział. W końcu jest takie powiedzenie, że to żona się dowiaduje ostatnia – próbowała zażartować. – Pani mnie pewnie ocenia. – Wyprostowała się i spojrzała Wierze w oczy. – Ale pani jest młoda, zresztą... – Machnęła ręką. Tylko te kolorowo-brokatowe paznokcie były śladem dawnej Moniki Szybuk. – Więc sądziłam, że nie wie, że nic nie wie. I tak było dobrze, po co się niepotrzebnie ranić. Nie wiedziałyby, nic by go nie gryzło. Coś mu tam czasem mówiłam, ale na zasadzie, że mi duszno, że wolałabym inaczej, a nie, że kogoś mam. Ale teraz to już nie mam pojęcia, bo on jest taki, że nawet w obecnej sytuacji nie zapytał, jakby nie było sprawy, chociaż ja tu siedzę. Z drugiej strony... Zygmunt to dobry człowiek, poczciwy, mógłby zrobić coś, żeby mi, w swoim mniemaniu, pomóc.

– Pani go nakłoniła, żeby dał pani fałszywe alibi?

– Ja powiedziałam, tak niby od niechcienia, że policja będzie pytała o ten dzień, co mnie głowa bolała i niedługo po dwunastej wróciłam. „Po dwunastej”, a on przytaknął.

– Wiedział, że pani kłamie?

– Nie, nie wydaje mi się. Może był zmęczony? Albo coś mu się pokręciło? Czasem tak ma, jak za szybko idzie po tych naszych schodach. Czwarte piętro, windy nie ma. Zresztą może on naprawdę nie pamięta, godzina w te czy wewte w życiu emeryta, kiedy wszystkie się zlewają...

– W tamten wtorek dokądś wychodził?

– Na chwilę tylko wyszedł – śmieci wyrzucić i przy okazji nogi dokoła bloku rozprostować.

– To było po pani powrocie?

– Przed tym. Właściwie to w tym samym czasie. Ja zdążyłam do drzwi dojść i patrzę, że on idzie.

To była nowość.

– Spacer? To nie czekał z tymi gołąbkami na Kwadrans dla rolnika?

– Gołąbki na pewno robił. W całym domu dawało kapuchą i sosem pomidorowym, nawet na korytarz przeszło.

– Ale nie było go w domu, kiedy pani się zjawiała? Przyszedł za panią? – Wiera zaczęła się irytować.

– Rany, no polazł gdzieś się przewietrzyć, skoro już się z tymi śmieciami zebrał. Rundka dokoła bloku czy tam wszystko jedno gdzie, tak powiedział, a ja nie drażyłam, bo po co? On przecież taka ciapa, co by miał robić, tylko spaceruje albo ryby łowi, albo gotuje. Zresztą ja wtedy wróciłam w takich emocjach po tej rozmowie z Robertem, że mnie nie interesował zupełnie. Po rozmowie, bo myśmy tylko rozmawiali, to też powtórzę, bo pojąć nie mogę, co się z tego wszystkiego porobiło...

– Czy mąż mógł wiedzieć, że pojechała pani wtedy do Spytkowa?

Oczy Szybukowej się zaokrągliły.

– Zygmunt? A skąd?

– Z podsłuchanej rozmowy, telefonu zostawionego na stole, od kogoś – tak jak to zwykle się romans wydaje.

– E, nie. – Machnęła ręką. – On chyba nawet nie potrafiłby mojego telefonu obsłużyć, sam ma starą nokię, z takimi dużymi przyciskami. Pani chyba nie wie, jak tacy ludzie... – Nagle urwała. – Śmieci.

– Co: śmieci?

– Powiedział, że poszedł wyrzucić śmieci, a wieczorem wyszedł znowu. Drugi raz z workiem. Nam się tak szybko nie zbiera, więc... Ale to przecież niemożliwe, żeby on. Nawet niechby wiedział, to co by z tego miało wyniknąć? Kiedy mu powiedziałam, że czuję się zmęczona, że nam się życia rozjechały, to kwadrans potem spokojnie zapytał, czy chcę herbaty. Rozumie pani, czy chcę herbaty, tak zapytał.

– A może herbaty zrobię? – Zygmunt Szybuk doskonale się czuł w roli gospodarza. – Skoro pan posterunkowy prawie skończył pracę...

Remigiusz Staroń już przez telefon powiedział jej, że niczego nie znalazł. „A wiesz, ile tego tu jest?”, poskarżył się. „Pięćdziesiąt metrów, a więcej rzeczy niż w archiwum”.

To była prawda. Wiera miała wrażenie, że całe to mieszkanie jest jakimś miejscem treningowym dla majsterkowiczek hobbystów, którzy upodobali sobie pawlacze, schowki, skrytki, półeczki, wszystko po to, by jak najbardziej wykorzystać całą dostępną przestrzeń do przechowywania zupełnie niepotrzebnych przedmiotów.

– Nic chyba. Do auta też zaglądałem, ale na moje oko niczego tam nie ma, toby musiał Motyka z tymi swoimi zabawkami...

– Czarną czy zieloną? Ja wolę czarną, takie przyzwyczajenie, ale młodszy różnie piją. Mam też malinową, taką prawdziwą, z zielarni, nie udawany zapach – Gospodarz wrócił z kuchni z trzema różnymi pudełkami herbat.

– Naprawdę dziękujemy. Mam za to pytanie. – Wiera wyciągnęła z kieszeni kartkę z kopią anonimu, złożoną na cztery. Rozprostowała ją i podała Szybukowi. – Widział pan to już kiedyś?

– Zaraz, tylko wezmę okulary. – Pokiwał głową i podreptał do kuchni.

Litery były duże, ksero jeszcze je wyostrzyło. Szybuk musiałby nosić denka od butelek, żeby nie móc bez nich czytać. Wrócił w okularach, zwyczajnych, niezbyt grubych.

– Niebieskie auto... Nie, nie wiem, co to jest.

– Czyli to nie pan napisał?

– Ja? Skądże. – Uśmiechnął się.

– Ulotki reklamujące salon pana żony pan zna?

– Znam, pewnie – zdziwił się nagą zmianą tematu.

– Wie pan, gdzie one leżą?

– No, w różnych miejscach. Moniczka zamówiła, bo, jak to się mówi, reklama dźwignią handlu. Sama zaprojektowała, punkt w centrum wydrukowała. Trzysta sztuk chyba. Z połowa już się rozeszła, może nawet więcej?

- A reszta gdzie jest?
- W salonie, to znaczy na zapleczu.
- Bywa pan tam?
- Czasem. Pomagam żonie w różnych drobnych sprawach.
- A ktoś jeszcze tam bywał?

Spojrzał na nią wzrokiem zranionej łani. Odchrząknął.

– Ja już powiedziałem, że mnie te... informacje czy może insynuacje nie interesują, więc...

- Czyli ewentualnie ta insynuacja, a oprócz tego żona i pan. Ktoś jeszcze?
- Nie, chyba nie. – Wzruszył ramionami.

– A ma pan jakąś koncepcję, w jaki sposób tekst z tego anonimu mógł się podczas pisania odcisnąć na ulotce znalezionej na zapleczu u pana żony? – Teraz podsunęła mu telefon pod nos. Zrobiła zdjęcie tej żółtej karteczki.

Wziął od niej telefon. Wciąż miał założone okulary, a mimo to podsunął sobie aparat pod nos i całkiem wprawnym ruchem kciuka i palca wskazującego powiększył obraz.

„Jak na technologicznego dinozaura radzi sobie całkiem nieźle”, pomyślała Wiera.

– Nie mam pojęcia, naprawdę. No, jedyne wyjaśnienie to to, że ktoś musiał podrzucić, no bo jak inaczej?

- A może żona napisała? – zapytała.
- Nie, żona nie jest taka. Jak coś jej na sercu leży, to mówi. – Uśmiechnął się.
- No tak. – Jezierska schowała telefon do kieszeni.

Staroń był milcząco obecny podczas tej wymiany zdań.

– To na razie tyle, ale proszę się spodziewać wezwania na komendę. Musimy oficjalnie spisać pana zeznania.

- A Moniczka?...
- Jeśli chce pan pomóc żonie, to proszę poszukać adwokata.

Kiwnął głową. I tyle.

Wiera spojrzała na Staronia.

– Tak, to tyle. Na razie. Dziękujemy. – Szatkując tekst, przesunął się na korytarz.

– Zapalę, bo ciemno. – Szybuk włączył im światło w małym i mrocznym, bo mocno zabudowanym przedpokoju. O chwilę za późno, bo Wiera potrafiła trampkiem jakąś foliówkę, która zachręściła jej pod stopą.

– Śmieci. Przygotowałem sobie do wyrzucenia, bo teraz ciepło, szybko się psują.

– Często pan wyrzuca śmieci?

– Często? No jak trzeba. Raz na dwa dni. Chyba tak.

– A wtedy, w tamten wtorek, to nawet dwa razy dziennie. Bo raz, kiedy robił pan te gołąbki, to wyszedł pan ze śmieciami, i potem jeszcze wieczorem.

– A! – Rozjaśnił się. – Śmieci to raz, znaczy z kubelka pod zlewem. Bo drugi raz to plastiki były, wyselekcjonowane, przydają się podczas łowienia. W garażu sobie trzymam.

– Macie państwo garaż? – Staroń wreszcie się odezwał.

– Mamy, czemu nie?

– Bo auto żony stoi pod blokiem.

– No, Moniczki, tak. Moje jest w garażu.

– Ma pan auto? – Staroń nie patrzył na Wierę.

– Mam. Poloneza. Swoje lata ma, ale wiernie służy. Może te zachodnie ładniejsze i nowocześniejsze, ale Polak też potrafi.

– A dlaczego pan nie wspomniał o drugim aucie? – Staroń wciąż wpatrywał się w Zygmunta Szybuka.

– Bo pan nie pytał.

– Pytałem, pytałem o samochód, którym państwo jeździcie. – Głos posterunkowego wszedł na wyższe rejestry.

– No, to corsa, niby to żony, ale ona jeździ nim do pracy i tak w ogóle. I jeśli razem, to też corsą, bo żona prowadzi, nie lubi oddawać kierownicy. Więc

samochód, którym jeździmy, to corsa.

Wiera za to nie spuszczała wzroku ze starszego posterunkowego.

– To jest... – zaczął Remek.

– To jest kolejne miejsce, które chcielibyśmy obejrzeć – dokończyła za niego. – Auto i garaż.

Zygmunt Szybuk lekko się skrzywił.

– Ja teraz chciałem coś małego zjeść, bo muszę pilnować cukru, więc... – Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Kolega poczeka na zewnątrz, nie ma problemu. – Jezierska wciąż pomijała Remka w tych ustaleniach. Powiedziała mu: „Przeszukaj dom, samochód i co tam jeszcze mają”. Przecież nie może chodzić za nim krok w krok i non stop patrzeć mu na ręce.

– No tak, ale potem to myślałem, że może się zajmę formalnościami, bo przecież nie może być tak, żeby niewinny człowiek, to znaczy Moniczka...

– Możemy też wrócić z nakazem. Szybko. I długo przeszukiwać. – Czują, że zaczyna się irytować.

– Nie, no przecież ja chcę współpracować. Dobrze, to zaraz, naprawdę zaraz, tylko kilka kawałków ziemniaka zjem i już. – Gospodarz spokorniał.

– Poczekamy na zewnątrz. – Wiera wyminęła Staronia i wyszła z mieszkania.

– To chyba nie jest dobry moment, żeby zapytać, jak przekopywanie dokumentów w sprawie zaginięcia Eweliny Krzysztofik? – Wiera wbiła w Staronia ironiczne spojrzenie.

Oczywiście, że to nie był dobry moment, oboje to wiedzieli.

– Nie, no jeszcze nie zdążyłem... – Mimo wszystko Remek zaczął się tłumaczyć.

– Bo byłeś zajęty Szybukiem, jasne.

– Wiera, mój błąd, ale przecież się zdarza. Każdemu.

Nie wiedziała, czy powiedział to celowo, czy przypadkiem. Staroń sprawiał wrażenie, jakby też się teraz nad tym zastanawiał. Tak czy owak, to ją

przystopowało. Gdyby chciał, gdyby się odważył, miałby jej co wytknąć. Bez sensu się na nim wyżywała, ale nie potrafiła zachować odpowiedniego dystansu. Wciąż i wciąż się spinała; całe życie jechała na emocjach, nie potrafiła być spokojna, a już na pewno nie wtedy, gdy kluczyła, nie mogąc rozwiązać sprawy.

– Dobra, sorry – powiedziała. – Sorry – powtórzyła, bo posterunkowy wciąż miał wzrok wbity w kostkę brukową.

– Okej. – Wreszcie na nią spojrział. – Masz rację, moja wina, nie sprawdziłem wszystkiego.

– To teraz nadrobisz. Nie wiem, czy coś znajdziesz, ale na razie tyle tylko nam zostało. Mamy same poszlaki, a w sprawie dziewczyny nie mamy nic.

– Wczoraj widziałem plakat. Matka musiała rozwiesić. Zobacz.

Wyciągnął z kieszeni telefon i pokazał jej zdjęcie. „Zaginęła bez wieści... ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... zrozpaczona matka”. A pomiędzy tymi czerwonymi literami zdjęcie Eweliny z pokoju – delikatnej, wrażliwej, spokojnej.

– Dzwoniła do ciebie? – zapytał.

– Nie.

W sumie to ją zabolął brak kontaktu z Krzysztofik. Fakt, że kobieta nie zasypywała jej telefonami, pytaniami, że jej nie nachodziła, że nie była namolna, świadczył o jednym – nie wiązała z nią dużych nadziei. Nie wierzyła, że sierżant Jezierska odnajdzie jej córkę.

– Gdzie masz te dokumenty?

– Na biurku, wszystko na biurku. Zacząłem już i jak tylko skończę tu, to...

– Skup się na Szybuku. Ja wracam do roboty, zabiorę się do tych materiałów. Jutro rano ci je oddam. Pasuje? – dodała na końcu pojednawczo.

Pokiwał głową.

Szła do domu. W zamrażalniku znalazła rano pizzę, powinna być jeszcze dobra, w końcu co się może zepsuć w mrożonej bule. Plany zdrowego żywienia padły; znowu przegrały z prozą życia. Pod pachą niosła teczkę, którą zgarnęła z biurka

Staronia. Rzeczywiście, zaczął ją przeglądać, bo materiały miał porozkładane. Upchnęła je z powrotem w tekturowej oprawie.

Wolała w spokoju się rozłożyć na kanapie, zrobić sobie to toksyczne jedzenie, popijać je colą i przeglądać papiery. Chciała pobyć sama, bo miała nadzieję, że w ten sposób łatwiej będzie się jej skupić.

„Co się z tobą stało?”, myślała, idąc w kierunku swojego bloku. Lekko przymknęła oczy, bo słońce cholernie mocno ją raziło, a okulary przeciwsłoneczne zostawiła w samochodzie. „Co się z tobą stało?”, ponownie się zapytała. Pod powiekami miała zdjęcie Eweliny Krzysztofik. Spokojnej, jasnowłosej dziewczyny, przed którą było całe życie i która powinna teraz chodzić na plażę, wpaść do jakiejś koleżanki albo umówić się z chłopakiem, oczywiście fajniejszym niż Tomczyk, kręcić się po osiedlu...

– Przepraszam. – Tak się zamyśliła i tak ją to słońce zamroczyło, że nie zauważyła młodej kobiety, która przed chwilą musiała dojść do jej alejki boczną ścieżką, bo wcześniej Wiera jej nie widziała, a teraz ją potrąciła. Długa, granatowa spódnica, brązowe rzymianki na bosych stopach, jasny warkocz... Aż się wzdrygnęła. „Przecież to niemożliwe...”, pomyślała.

Kobieta się odwróciła.

– Jezu – wyrwało się jej.

To było jeszcze bardziej niemożliwe.

ROZDZIAŁ 24

– Matka umarła? – To było pierwsze, co przyszło Wierze do głowy.

Pierwsze i jedyne możliwe. Poczowała, jak gardło się jej zaciska; nie potrafiła nic powiedzieć. Poczowała, że płacze. Nie spodziewała się tego, zawsze, gdy sobie wyobrażała ten moment, widziała siebie opanowaną. Przecież ta forma życia, w której matka funkcjonowała przez ostatnie lata, to była tylko jakaś kulawa namiastka normalnej egzystencji, zresztą w dawnym życiu wydarzyło się tyle, że też nie było normalne... Nie, nie planowała płaczu, a jednak cienka strużka już pokonała linię obojczyka i wsiąkała w ściągacz szarego T-shirtu.

– Nie, nie, byłam u matki rano, wszystko dobrze. Wszystko dobrze. – Kobieta nieporadnie ją objęła.

– Żyje? – Wiera momentalnie oprzytomniała. Wyszwoleciła się z objęć i odsunęła o krok. – No to co się stało?

Kobieta chwilę jeszcze postąpiła z dziwnie ułożonymi rękoma, które przed momentem obejmowały ramiona Wiery.

– Anka, co się stało, do cholery?! – Wiera nie wytrzymała w końcu napięcia i wybuchła.

– Chodzi o coś... innego. O coś, czego ci nie mogłam powiedzieć przez telefon.

Anna Jezierska stała na środku dużego pokoju i patrzyła na siostrę. Wierze przelatywały przez głowę różne myśli: „Odeszła z zakonu, bo ma jakiegoś faceta. Chociaż jak by go znalazła? A może to jakiś ksiądz?”.

Anka rozglądała się, jakby na ścianach szukała inspiracji do przemowy. Dłonie splotła na brzuchu.

„I do tego jest z nim w ciąży”, Wiera utkwiała wzrok na wysokości tych dłoni, ale siostra wciąż była szczupła, a nawet wklęsa w tym miejscu, gdzie powinna być wypukłość.

„Chociaż raczej nie, bo zawsze była taka niewyrywna w stosunku do mężczyzn, nawet wtedy, kiedy jeszcze mogła. To może jest lesbijką?... Albo chce rzucić zakon”. To ostatnie natchnęło Wierę chwilową otuchą. Zawsze uważała, że religijność to był przejaw ucieczki Anki. Nie radziła sobie z życiem, z rzeczywistością, to się przeniosła do innego, nieprawdziwego świata. A teraz chce wyruszyć w drogę powrotną. Dobrze, to w końcu jak wrócić do żywych. „Tyle że wraca z niczym. Nie ma pieniędzy, zawodu. Nie ma gdzie mieszkać”.

– Ładnie tu u ciebie. Malutkie to mieszkanie, ale przytulne.

Nigdy u siebie nie były, to znaczy w środku, bo Wiera przecież raz pojechała pod tę furkę i kiedyś pokazywała Ance, z daleka, blok, w którym mieszka. Jeśli Anka uważa, że to mieszkanie jest przytulne, to musiała tkwić w jakiejś piwnicznej celi. Albo specjalnie tak mówi, od razu zaznaczając, że warunki jej odpowiadają.

– U nas też przyjemnie, ale tu jest tak inaczej, domowo. Nie, nie tęsknię do świeckiego życia, wręcz przeciwnie. – Uśmiechnęła się.

„Wręcz przeciwnie, to może chce pójść do jakiegoś zamkniętego klasztoru, gdzie się nie odzywa, tylko modli”. Wiera zrobiła to, co często ostatnio – pogubiła się.

– Słuchaj... – zaczęła, dość ostro. Chciała, żeby siostra jak najszybciej wydusiła z siebie, po co przyjechała. Żeby to nie było nic poważnego, nic, co mogłoby Wierę zbyt mocno zaangażować – a może ma częściej bywać u matki?... Więc żeby Anka to z siebie wydusiła i już sobie pojechała. Spojrzała na stół, gdzie odłożyła tekturową teczkę. Ani ona, ani Staroń jej nie podpisali; głupie przeoczenie, do szybkiego nadrobienia, ale może i znak, że nie dali z siebie w tej sprawie tyle, ile mogli?... Tym bardziej niech Anka się streszcza i pozwoli jej

pracować. – Bo ja mam dużo pracy. – Ruchem głowy wskazała na stół. – Skoro nie wydarzyło się nic... niedobrego, to powiedz, z czym przyjechałaś, a potem... – Znowu spojrzenie w kierunku teczki. – Gdybyś dała znać, uprzedziła, inaczej bym to jakoś...

– Zawsze masz dużo pracy. – Anka się uśmiechnęła. – Dlatego nie dzwoniłam, tylko po prostu przyjechałam, bo pewnie trudno by nam było się umówić.

Wiera nie zaprzeczyła, po co kłamać, zwłaszcza siostrze, i do tego zakonnej?

– Tak, mam sprawę, o której bym chciała z tobą porozmawiać.

– Jasne. – Wiera spasowała. – Zrobię nam coś do picia. – Tak powinna zaproponować dobra gospodyni i osoba ciesząca się z niezapowiedzianej wizyty krewnej. Żadne z tych określeń nie charakteryzowało starszej Jezierskiej. – Na co masz ochotę?

– A masz mleko?

No tak. Anka zawsze lubiła mleko. Wiera – tylko w postaci przetworzonej.

– Jogurt. Zwykły, biały. Albo herbatę, też zwykłą, tyle że czarną.

Anka znowu się uśmiechnęła.

– Zawsze byłaś zabawna. To znaczy zawsze potrafiłaś odpowiedzieć żartem. „Żeby nie ześwirować”.

– Poproszę ten jogurt. I wody w szklance.

Wiera kiwnęła głową i poszła do kuchni.

– Poczekaj, pójdę z tobą. – Siostra wsunęła się za nią do mikroskopijnego pomieszczenia.

Wiera czuła się nieswojo z jej wzrokiem na swoich plecach. Do tej pory Anka tylko mogła sobie wyobrazić, jak jej starsza siostra żyje, a teraz widziała całą tę mizerotę – mieszkanie służbowe, bez żadnych oznak zadomowienia się, smutną, musztardowobeżową rzeczywistość. Brudne kubki w zlewie i oszronioną, pustą lodówkę.

Włączyła czajnik. Nie miała ochoty na herbatę, ale nie chciała, żeby było tak cicho. Podała siostrze szklankę z wodą i butelkę jogurtu. Po chwili namysłu

sięgnęła po filiżankę, żeby nie piła z gwinta, bo wydawało się jej, że zakonnice tego nie robią.

– Siądź. – Anka delikatnie dotknęła dłoni Wiery, gdy ta stawiała przed nią fajansowe naczynie z uszkiem.

Wiera się spięła. Wzięła głębszy oddech i usiadła naprzeciwko.

„A może ona jest chora? Tak poważnie, śmiertelnie?”, przeleciało jej przez głowę. Patrzyła na siostrę, ale nie, wyglądała dobrze, zdrowo.

– Dużo się u nas ostatnio dzieje w zakonie – zaczęła Anka. – Dwa miesiące temu zmarła siostra Leonida, nagle ją Pan powołał. A była jedną z młodszych, czterdzieści osiem lat. Siostra przełożona się zmartwiła, bo mało jest nas tych w pełni sił, przed którymi jeszcze wiele lat posługi. Takie czasy – bardziej wymagające tego, żeby wypełniać dzieło Boże, a osób, które by wzięły na siebie ten trud, ale i tę radość, i satysfakcję jednocześnie – mniej. – Westchnęła.

Wiera milczała. Co ją to obchodziło? To miała być ta sprawa? Bo chyba Anka nie sądziła, że Wiera pomoże jej naganiać nowe siostrzyczki albo w ogóle sama wstąpi do zakonu. Aż się uśmiechnęła do siebie – Ance mogłoby coś takiego przyjść do głowy, tak bardzo była odklejona od rzeczywistości.

– A pracy u nas coraz więcej, tak jak ci mówiłam. Nie tylko tej podstawowej, fizycznej, która też się Panu podoba, ale i takiej, jak to siostra przełożona mówi, formacyjnej. Ludzie potrzebują teraz Boga, choć nie zawsze sobie zdają z tego sprawę.

Wiera się poruszyła, ale to jednak nie był przytyk w jej stronę. Anka wciąż była bardzo miła, co wprowadzało do dyskusji element napięcia, jak każde odstępstwo od standardu.

– Widziałam ostatnio w telewizji program o tym, że i policja się boryka z brakiem powołań...

Fakt, Wiera odczuwała tego skutki, pracując ze Staroniem.

– Zgadza się – odparła, wykazując czynne zainteresowanie rozmową.

– Właśnie. Można pomyśleć, że to dlatego, że ludzie wolą wygodne życie, bez większych wymagań czy poświęceń, i to może po części prawda, ale jest też tak, że coraz nas mniej. Ubywa nas, jako narodu, coraz mniej dzieci się rodzi.

„Zwariowała do końca”. Wiera poczuła, że noga zaczyna jej chodzić. Siostra przyjechała do niej, żeby ją promacierzyńsko nawracać. Absurd podwójny, bo sama uciekła od „powołania kobiety”, zamykając za sobą furkę.

– Posłuchaj... – zaczęła.

– Nie, nie, poczekaj, to tylko tak na marginesie, nie o tym chciałam rozmawiać.

– Anka wyciągnęła rękę przez stół, w stronę dłoni Wiery, ale ją cofnęła. – To był tylko wstęp. Więc wracając do tego, z czym przyjechałam... Pamiętasz, pytałam cię przez telefon o tę sprawę z gazety.

– Sprawę z gazety? – Wiera w pierwszej chwili nie skojarzyła, pewnie dlatego, że siedziała tu w oparach absurdu. I gotującej się wody. W kuchni zrobiło się jeszcze cieplej, niż było. – A, no tak, oczywiście, że pamiętam. I właśnie nad nią pracuję, dlatego... – Uśmiechnęła się znacząco.

– Tak? – Anka się poprawiła na krześle. – A to nie jest zamknięta sprawa?

– Nigdy nie wierz dziennikarzom.

„Prostolinijna, dobra Anka”, westchnęła Wiera w duchu.

– Ale przecież było napisane, że zatrzymano podejrzaną osobę.

– Od podejrzanego do skazanego droga bywa długa i wyboista.

Nie zamierzała tłumaczyć siostrze, że podczas tej drogi może się także okazać, że podróżnik jest źle wytypowany.

– No dobrze, to teraz ci powiem. Zacznę od początku, żebyś miała pełny obraz sytuacji. Już wspomniałam, że ubywa sióstr w naszym zgromadzeniu. Kiedyś młode dziewczyny same się zgłaszały, a teraz...

– Słucham cię, słucham, tylko sobie herbaty zrobię.

Wiera się podniosła i stanęła przy blacie, tyłem do Anki. Otworzyła szafkę, wyjęła z niej kubek z logo Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. „Ciekawe, czy Anka i jej siostry ją wspomagają?”, pomyślała, wyciągając z pudełka herbatę.

Lubiła mocną, żadne tam okrągłe poduszcзки, z których dawało się wycisnąć tylko słomkową wodę bez aromatu.

– ...trzeba wychodzić do ludzi. Z Ewangelią, ale i zachętą, a nawet ogłoszeniami...

Świecący na czerwono przycisk czajnika kliknął i odskoczył. Przód plastikowego korpusu pokrył się kropelkami wody. Wiera poczuła ścisnięcie żołądka, a potem ciche burknięcie. Była głodna. Rozgrzanie piekarnika to z piętnaście minut, drugie tyle na odpieczenie tej buły. Naprawdę chciała już sięść i zająć się sprawą Eweliny Krzysztofik, najlepiej wciągając te puste, tłuste kalorie. W samotności.

– ...w kościele nie dały efektu, bo parafia nieduża. Były też ogłoszenia z ambony w całym dekanacie i na tablicach w kościołach, ale...

Mogłaby teraz zaproponować Ance tę pizzę na spółkę, ale ona na pewno odzwyczaiła się od takiego syfu, a poza tym Wiera lubiła jeść podczas pracy. Po prostu to lubiła – cisza, spokój, ona, coś do gryzienia i robota. Podniosła czajnik; za dużo wody wlała, wrzątek niebezpiecznie się zakołysał, podchodząc do pociemniałego od osadu dzióbka; kilka kropli się przelało, jedna spadła na jej dłoń. Zakłuło, jak igła. Delikatnie, mimo chęci podrapania się, odstawiła czajnik na blat. Potarła zaróżowione miejsce. W pierwszym momencie poczuła szybko narastającą irytację, ale wzięła kilka głębszych oddechów. Anka pogada i się zmyje. Wiera siądzie do papierów i na pewno wpadnie na to, co wtedy przeoczyli.

– ...i dopiero to ogłoszenie dało efekt. To był bardzo dobry pomysł.

Znowu sięgnęła po czajnik. Tym razem podniosła go powoli i delikatnie. Już prawie się wyłączyła; to była jedna z cenniejszych lekcji od życia – umiejętność odcinania się od rzeczywistości, przy jednoczesnym sprawianiu wrażenia, że jest się tu i teraz.

– Ma duży nakład i mimo że to z diecezji warszawsko-praskiej, to egzemplarze trafiają w różne miejsca, na szczęście do Giżycka też.

Rękę z czajnikiem zawiesiła nad kubkiem.

– I to właśnie dzięki „Idziemy”...

Wrzątek wpływał do kubka, błyskawicznie zabarwiając wodę na brunatny kolor. Wiera drgnęła. To była jedna z tych chwil, gdy intuicja wyprzedzała rozum.

– ...zgłosiła się do nas...

– Ewelina Krzysztofik – dokończyła Wiera.

W ręku wciąż trzymała plastikowy biały czajnik.

– Przyjechałaś w sprawie tej zaginionej dziewczyny, prawda?

Poczuła, że głos jej drży; ręka też. Odstawiła czajnik na blat szafki i odwróciła się w kierunku siostry.

Anna Jezierska pokiwała głową.

ROZDZIAŁ 25

– A tak naprawdę to chciałam ci opowiedzieć o tej sprawie ze źwirowiska. – Anka wstała od stołu i podeszła do siostry.

Wiera nie przesunęła się nawet o milimetr. Po tym, gdy Anka kiwnęła głową, znieruchomiła, przyklejona plecami do szafki kuchennej. Nie była w stanie się ruszyć. „O co w tym wszystkim, kurwa, chodzi?”, ta jedna myśl wzięła ją we władanie.

– Chodź, usiądź, porozmawiamy.

Tym razem dała się jej dotknąć; siostra delikatnie pociągnęła jej ramię. Wiera zajęła jeden z taboretów.

– Więc, tak jak ci już powiedziałam, to był efekt tego ogłoszenia w „Idziemy”, o naborze do nowicjatu. Najpierw żadnego przełożenia, ale potem pojawiła się u nas w zakonie nowa siostra, to znaczy kandydatka na siostrę. To radość, bo sióstr ubywa, też już mówiłam. – Anka miała spokojno-kojący głos i właśnie ten ton sprowadził Wierę z powrotem do rzeczywistości.

„Dlaczego nie poszłam tym tropem? Dlaczego nie wzięłam na serio tego, że ta dziewczyna jest mocno wierząca? Dlaczego mi nie przyszło do głowy, że jedynym miejscem, dokąd może pójść mało przebojowa, młoda, zapalona katoliczka bez pieniędzy, jest jakiś kościelny przytułek?”

– Jest w ciąży? – zapytała.

– W ciąży? – Teraz to Anka się zdziwiła. – Ach, rozumiem. Nie, to była pomyłka, dużo stresów, w szkole i w domu. Bo tak w ogóle to...

– To co?

– To bardzo dobra dziewczyna. Pełna wiary, prawdziwa córka Kościoła.

– Córki Kościoła też miewają ochotę na seks.

Znajome pulsowanie w skroni, rytm wybijany czubkiem trampka.

– Ja nie... Nie sądzę... Nic nie... – Anka pokręciła głową. – Więc to sprawa miniona. Ale wracając do tematu – Ewelina się u nas zjawiała, powiedziała siostrze przełożonej, że chciałaby dołączyć do naszego zgromadzenia.

– Tak z marszu? Po prostu? Przychodzi ktoś z ulicy i mówi „zostaję”, i tyle? Bez przygotowania, sprawdzenia?

– Jak mówiłam, mało nas... – Anka odchrząknęła. – Zresztą Ewelina jest pełnoletnia, właśnie zdała maturę, nie było powodów, by odmówić. Widać było, że jest smutna, jakby skrzywdzona przez los.

– Na pewno to właśnie los ją skrzywdził? Bo mamy też zabitego. Nie był miłym człowiekiem, ale to nie powód, żeby go mordować. – Wiera już nie próbowała się opanowywać.

Sprawa Nęckiego właśnie przymierzała się do fikołka. Może to jednak nie duet Szybuków maczał place w tym morderstwie?

– Poczekaj, proszę. – Anka poparła tę prośbę ruchem dłoni.

Wiera prychnęła, ale kiwnęła głową.

– Siostra przełożona przypuszczała, że może rodzina nie godziła się na jej życie zakonne. Że może ją zniechęcali, albo oni, albo jacyś... teraz te wszystkie ideologie się rozpychają w naszym życiu... Więc powiedziała, że na troski najlepsza praca i modlitwa. I Ewelina została. Dużo było jednego i drugiego, a ja cały czas jej towarzyszyłam, na życzenie siostry przełożonej. Sporo ze sobą rozmawialiśmy, chyba się polubiłyśmy i po kilku dniach ona mi wyznała, że prawdziwy powód jej zjawienia się u nas to nie było wcale powołanie. To znaczy jest wierząca, bardzo, ale inaczej planuje życie, tylko że właśnie coś się stało. Coś

takiego, że musiała nagle wyjechać z domu. Powiedziała, że bardzo poważnie się pokłóciła z partnerem matki.

– Powiedziała o co?

– Wiedziała, że on mamę zdradza, nie tylko kiedy jest w domu, ale też kiedy wyjeżdża do pracy. Że bierze od niej pieniądze, mimo że mama ma niewielką pensję, a jeszcze mówiła, że chciała wesprzeć Ewelinę podczas studiów. Że bywa arogancki albo nawet zapalczywy, jak... – Anka się zawahała.

Fala gorąca nieprzyjemnie ścisnęła brzuch Wiery. Obrazy znowu wróciły.

Obleśny, patrzący na nią tak lubieżnie. Jego śmiech i gwałtowne szarpnięcie, kiedy próbowała protestować. I jeszcze mocniejsze, kiedy próbowała mu się wyrwać. Przyparł ją do ściany, coś mówił, a ona krzyczała. To znaczy chciała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. W jej głowie rozlegał się najstraszniejszy, najboleśniejszy z krzyków, ale jej struny głosowe zamarły.

Nic nie powiedziała, Anka zamilkła.

– Ewelina powiedziała, że najgorsze z tego wszystkiego było to, że ten mężczyzna zaczął też ją, Ewelinę, zaczepiać. W domu, kiedy mamy nie było. Zaczepiać tak, tak... seksualnie, rozumiesz?

„Facet jest jak pies, kobieta jak suka. Bierze, kiedy chce, rozumiesz?”

On mógł mówić. I mówił. I to bolało tak samo jak to, co robił.

Rozumiała. A Anka nie? Nie pamiętała ich „rodzinnego” życia, wyparła wszystko? Nie wiedziała, że....

– A potem podsłuchiwała, że on się umawia z tą swoją kochanką. Wróciła do domu, musiał tego nie usłyszeć. W łazience był, mówił głośno. Usłyszała, że w Spytkowie, że w południe. Pojechała tam wcześniej, busem, bo przecież nie wiedziała dokładnie, gdzie to. Stała po drugiej stronie drogi, w końcu zobaczyła jego auto. Zaparkował, a ona poszła za nim, tak żeby nie zauważył jej od razu. Chciała się rozmówić, powiedzieć, że wyzna matce prawdę, że nie da mu żyć u nich, że nie zgadza się, żeby on do niej... Chciała, żeby on po prostu zniknął. Tylko tyle – nic nie powie mamie ani nikomu innemu, tylko niech on odejdzie, zostawi je.

On stał, czekał. Ewelina chciała mu to powiedzieć, zanim przyjdzie ta kobieta. Podeszła, on się tylko trochę zdziwił, ale on podobno taki był – że nic go tak naprawdę w życiu nie poruszało. Powiedziała mu to wszystko, a on się tylko roześmiał i odparł, żeby się nie wtrącała w sprawy jego i matki. I że ona... – Anka się zawahała – ...kręci go taka zdenerwowana. Kręci, rozumiesz?...

– A ty rozumiesz?

– Ja... – Anka najpierw pokiwała głową, a potem nią pokręciła. – Więc on podszedł do niej, zaczął ją... to znaczy włożył jej ręce pod bluzkę, ona zaczęła się szarpać, odskoczyła od niego, chciała uciec, ale on się śmiał coraz bardziej. A najgorsze było to, że ruszył w jej stronę, a wtedy...

– Wtedy Ewelina Krzysztofik wyciągnęła nóż – dokończyła Wiera.

– Tak, ale w odruchu. W odruchu samoobrony. To są sytuacje, kiedy nawet Pismo....

– Pismo chyba zaleca miłosierdzie i nadstawianie drugiego policzka – prychnęła Wiera. – Ewelina Krzysztofik przyjechała tam z nożem. Nie wydało ci się to dziwne? Albo inaczej: znaczące? Sugerujące zamiary?

Tak naprawdę to była zła na tę dziewczynę – że tam w ogóle pojechała. Że wzięła ten cholerny nóż. Że teraz się zacznie korowód dowodzenia, że ona jednak, mimo wszystko, jest ofiarą, choć cios zadała jej ręka.

– Ona się bała. Już wcześniej w domu czynił jej niestosowne uwagi, więc po prostu, na wszelki wypadek... Ale nie chciała, nie planowała tego, naprawdę.

Wierze przypomniało się, jak w myślach zabijała ojca. Nie nożem, tego nawet w wyobraźni nie potrafiła zrobić. Poduszką. Dociskaną do jego ust, z których wiecznie wydostawały się opary alkoholu. I jak się na jawie pilnowała, by jednak nie przenieść tych obrazów w rzeczywistość. Była zbyt dobra czy zbyt słaba?...

– On się śmiał – ciągnęła Anka. – Mówił, że sama za nim przyjechała, że jest taka, jak inne kobiety, zresztą jest dorosła i będzie słowo przeciwko słowu... Szedł w jej stronę, a ją ogarnęła panika. Wyobraź to sobie.

Świetnie potrafiła to sobie wyobrazić.

Panika, krew z łoskotem przewaliła się przez tętnice. Ale tym razem miało być inaczej, przecież tak sobie postanowiła. Tym razem to nie ona będzie ofiarą.

– Zamachnęła się i... on się zgiął, ale po chwili wyprostował, jakby chciał ją gonić, ostatecznie jednak odpuścił. Stał i patrzył na nią tak dziwnie, jakby sam nie wiedział, co chce zrobić. „Policzymy się”, powiedział, a ona się przeraziła do końca.

– I wtedy dokończyła to, co zaczęła.

Wierze zrobiło się smutno. Fakt bycia policjantką nie zmienił jej w osobę widzącą wyłącznie finalne fakty – przed nimi była przecież gęsta siatka motywacji i emocji. Gdyby Ewelina Krzysztofik sięgnęła po nóż tylko w tym geście samoobrony... To by się dało wybronić. Ale rozwalić kamieniem głowę?...

– To znaczy? – Anka się zdziwiła.

– A co ci jeszcze powiedziała? – Wiera zbyła to pytanie, nie będzie przekazywać Ance szczegółów na temat zbrodni. Co za popaprana sprawa! Czyli to jednak nie Szybukowa. Przyzwan się pomyliła. Ale jak to było? Najpierw Ewelina, napaść, kłótnia, nóż, potem musiał być ten plaster, który zobaczyła Szybuk, a potem dziewczyna wróciła. Nęcki nie mógł powiedzieć kochance o pasierbicy, to sobie złomiarza wymyślił. „Zły układ dla tej dziewczyny”, pomyślała. „Afekt się oddala. Dobiła go z premedytacją”.

– Że nie chciała w to wciągać mamy, bo mama i tak miała trudne życie. Że nie miała do kogo się zwrócić, po prostu znikąd pomocy. Jedyne, co jej przyszło do głowy, to nasz zakon. Przypomniała sobie zachęty do nowicjatu, właśnie w „Idziemy”, pomodliła się solennie i pojechała. Następnego dnia po prostu wzięła torebkę i poszła. Nikomu nic nie powiedziała, nawet telefon zostawiła, żeby przypadkiem jej nie namierzyć. Żyła w strasznym lęku i poczuciu winy, bo jednak wystąpiła przeciwko przykazaniom... Nie miała pojęcia, co będzie. A kiedy się okazało, że on nie żyje...

– A skąd ona wiedziała o jego śmierci? Skoro uważa, że go nie zabiła, to dlaczego uciekła?

– Najpierw to się bała zemsty, że on ją zgłosi na policję, przedstawi inny przebieg wypadków. „Słowo przeciw słowu”, tak ją przecież straszył, więc bała się, że jej słowo będzie mniej ważne. Że z tego wyniknie jakaś okropna sprawa. Niby minął jeden dzień, ale to nic nie znaczyło, więc kiedy przypomniało się jej to ogłoszenie, to po prostu przyjechała. A już na miejscu zobaczyła informację, że on nie żyje, to znaczy, że znaleziono ciało na zwirowisku, i to musiał być on, choć nie mogła pojąć, jak to możliwe, bo ona przecież...

– A gdzie zobaczyła tę informację? Telefon zostawiła w domu, „Gazety Olsztyńskiej” chyba nie prenumerujecie? – Wiera wciąż łapała Ankę na niejasnościach.

– Mamy w świetlicy stanowisko z komputerem, ona po prostu szukała informacji z Giżycka, będziesz mogła sprawdzić, że to robiła, to się przecież jakoś zapisuje, prawda?

„Dziewczyna ewidentnie nie powiedziała Ance całej prawdy. Chyba że... Że co?” Czy finał mógł być inny, czy to podświadomość Wiery starała się na niej wymusić odmienny, uniewinniający Ewelinę przebieg wypadków?

– A potem dalej sprawdzała, żeby zobaczyć, czy będzie jakieś wyjaśnienie, bo naprawdę nie miała z tym nic wspólnego, a w obecnej sytuacji to wyglądało tak, jakby to ona była główną podejrzaną, bo przecież była w tym miejscu, trzymała w ręku nóż. No co by policja miała sobie pomyśleć? Co ty byś sobie pomyślała?

„Że wciąż nie wiem, jak to było”.

– Zatem kiedy zobaczyła tę informację, że zatrzymano podejrzaną osobę, to wreszcie poczuła ulgę, ogromną ulgę. Wtedy zwierzyła mi się ze wszystkiego, bo wcześniej nie chciała mnie obciążać. Gdybym wiedziała, a nie przekazała tego odpowiednim służbom, byłabym w to uwikłana. Ale teraz rzecz ma się inaczej, ta śmierć to nie jej wina, sprawa się rozwiązała, można powiedzieć.

A jednak się przestraszyła. Nie potrafiła go zabić. Choć był takim potworem, nie potrafiła pozbawić go życia. Wszystko, co sobie ułożyła w głowie, nie wytrzymało prawdziwej próby.

On był zły, w niej było za dużo dobra.

Wiera wstała i podeszła do blatu. Niewyjęta saszetka z herbatą zabarwiła wodę na brunatno. Nie wyciągając torebki, wzięła duży łyk. Napój był letni i gorzki. Smakował podle, ale znowu trochę upiła. I znowu. I znowu, aż w kubku została tylko pękata torebka z ciemnobrązową zawartością.

Odwróciła się w stronę siostry. Wciąż nie potrafiła zebrać myśli. Co ją zdziwiło bardziej – czy to, jednak mroczne, rozwiązanie sprawy zaginięcia Eweliny Krzysztofik, czy absurdalne wplątanie się w historię Moniki Szybuk, czy może jednak fakt, że jej siostra – praworządna do mdłości – ukrywała przestępczynię. Owszem, i ofiarę, ale jednak z nożem w ręku, wziętym celowo. A potem do tej ręki trafił kamień.

Chyba.

– Dlaczego zwlekałaś? Dlaczego nie poinformowałaś mnie czy policji od razu, kiedy poznałaś fakty? – zapytała tak, jakby mówiła do obcej.

Chciałaby, żeby Anka była obca. Co za durna ironia losu! Po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy znalazły się całkiem blisko i akurat w tej sytuacji to było cholernie niedobrze.

– No bo sprawa się rozwiązała, więc nie było pośpiechu. Poza tym Ewelina powiedziała mi to w tajemnicy, w zaufaniu, więc...

– Zakon to nie konfesjonał, tajemnica spowiedzi cię nie obowiązuje. – Wiera poczuła znajome pulsowanie w skroni. – Poza tym sprawa wcale się nie rozwiązała, a ty znasz tylko jej część. I nie jesteś od tego, by o prawdzie orzekać, to sprawa dla policji. I dla sądu.

Tak, od prawdy był sąd – przypomniała sobie Wiera.

Gdyby go zabiła, to by ją zniszczyło.

On i tak na pewno niedługo umrze, przecież sam się prosi. Jeśli nie zabije go jego sposób życia, to zrobi to ktoś inny, komu bardziej zaszedł za skórę.

Jeśli na tym cholernym świecie jest sprawiedliwość, to tak się stanie.

– I... – „Gdzie się podziewała twoja sprawiedliwość, gdy byliśmy razem, w domu, i ojciec lał matkę, a mnie...”

Nie powiedziała tego.

Przez chwilę, gdy dowiedziała się o jego śmierci, wpadła w panikę.

A potem poczuła bezgraniczną ulgę. Cokolwiek się teraz wydarzy, nie będzie gorsze od niego.

– Ale teraz przecież wszystko będzie dobrze, prawda? To wszystko da się spokojnie, logicznie wytłumaczyć. Ewelina czeka w zakonie, wie, że pojechałam do ciebie, wie, że zajmowałam się tą sprawą, więc...

– Więc co? Więc co, Anka? Po pierwsze, jesteś wplątana w tę historię. Sama się wpisałaś na listę powiązanych z tym morderstwem. Po drugie, jesteś moją siostrą, a to znaczy, że ja powinnam się odsunąć, wymiksować z dochodzenia. I jeszcze to się będzie za mną ciągnęło. Więc może chciałaś dobrze, ale wyszło jak zawsze.

Anna Jezierska patrzyła na nią w milczeniu.

Wiera poczuła, że do dygotu dołączyły wilgotne oczy.

Rozdzwonił się jej telefon. Przeszła do pokoju i podniosła aparat. To był Staroń.

Odchrząknęła i odebrała.

– No hej, co tam? – zapytała, starając się o swobodny ton.

– Słuchaj, Wiera, mamy coś. – Posterunkowy w ogóle nie zwrócił uwagi na jej nastrój, bo był podekscytowany. – Coś znalazłem, w poldku, znaczy w polonezie Szybuka. Możesz teraz przyjechać?

Wiera obróciła się w stronę kuchni.

– Mogę. Będę niedługo.

Wróciła do siostry. Anka siedziała nieporuszona.

– Wpadłaś w bagno, ciągnąc mnie ze sobą. Oddaj mi telefon, zamykam drzwi na klucz. Dokończymy rozmowę, jak wrócę.

ROZDZIAŁ 26

– No popatrz. No. – Remigiusz Staroń był mocno podekscytowany. Stał przy otwartych drzwiach wypucowanego na błysk bordowego poloneza na starych tablicach rejestracyjnych. Wiera nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała czarne blachy. Myślała, że wyposażone w nie auta już dawno rozpadły się ze starości. Egzemplarz należący do Zygmunta Szybuka prezentował się świetnie, zwłaszcza w mocnym świetle czterech długich lamp na świetlówki, zamontowanych na obu ścianach garażu. Tu też zresztą było błyszcząco i sterylnie – na metalowych regałach starannie poukładano plastikowe pudła i pudełka. Szybuków wiele dzieliło, ale łączyło ich zamiłowanie do porządku.

Remigiusz Staroń chyba czytał jej w myślach.

– Cacuszko, nie?

W emocjach pozwalał sobie na te „nie” i „tak” na końcu zdania, za które Jezierska go opieprzała. Teraz jednak było jej wszystko jedno. Poczekaj, aż Staroń powie, co ma, a potem... Nie bardzo wiedziała, co potem.

– Jak z Muzeum Techniki czy tam Muzeum Motoryzacji. – Uśmiechnął się. – No dobra – otrzeźwiał, jakby sobie przypomniął, po co tu są. – Zobacz, co znalazłem. – Gestem dłoni poprosił, żeby podeszła bliżej.

Zrobił jej miejsce, lekko się odsuwając.

– Jest tak czysto, jak pewnie nawet fabryka nie dała. Ten facet ma obsesję na punkcie czystości. Moją mamę przerasta, i to z okresu przed świętami...

Wiera spojrzała na wnętrze poloneza. Fakt, było dopuconane do granic możliwości, a nawet poza nie. Na ciemnoszarej tapicerce w ukośne, cienkie, białe paski trudno było wypatrzeć ślady jakiegokolwiek użycia. Podobnie prezentowały się matowoczarne plastiki. Skóra, którą owinięto kierownicę, była gładka i błyszcząca, nawet w zwyczajowo najczęściej dotykanych miejscach.

– On w ogóle jeździ tym autem? – Odwróciła się do Staronia.

– Jeździ. I wiesz, dokąd pojechał? – Posterunkowy miał triumf wypisany na twarzy. – Jeździ tam, gdzie jest żwir. Zobacz.

Podszedł; zrobiła mu miejsce. Nachylił się nad filcowym dywanikiem umieszczonym pod fotelem kierowcy. Delikatnie go podniósł i przysunął jej do twarzy.

– Tu. – Pokazał palcem w lateksowej rękawiczce. – Widzisz?

Nachyliła się. Rzeczywiście, w miejscu, gdzie dywanik był obsyty mocną, syntetyczną nicią, tkwił kawałek żwiru.

– Widzę.

Staroń uśmiechnął się i odłożył dywanik na miejsce.

– Zaraz go schowam do worka, zdjęcie też już zrobiłem, chciałem ci tylko pokazać. Tak wyczyszczone, tak wycacuszowane, a tu nie zauważył. Przez tę nitkę. Wczepiło się.

– No dobra, to rzeczywiście żwir. I może pochodzić z tamtego żwirowiska, ale to jeszcze nie znaczy...

– Poczekaj, bo najlepsze zostawiłem na koniec.

Staroń podszedł do zamontowanego na ścianie kontaktu i nacisnął go. Światłówki kliknęły i w garażu zrobiło się ciemnawo. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej latarkę. Włączył ją, kierując snop bardzo mocnego światła na drążek zmiany biegów. Wiera zobaczyła delikatne kropelki, jakby mgłę, która osiadła na drążku.

– No. Widzisz?

– A skąd to masz? – Wiera patrzyła teraz na przedmiot w jego ręku, zdziwiona niecodzienną inicjatywą starszego posterunkowego.

– To ojca. Latarka na postrzałka.

– Na postrzałkę? – Nie rozumiała.

– Na postrzałka. No, na postrzelone zwierzę, tak się mówi – postrzałek. I to jest latarka, dzięki której można iść po śladach krwi. Ojciec poluje. Ja nie – dodał szybko, jakby się usprawiedliwiając. – To żaden dowód, znaczy nieużyteczne dowodowo, ale Mariusz na pewno to potwierdzi, jak tu przyjedzie ze swoim sprzętem. Więc mamy i żwir, i krew, i myślę, mogę się nawet założyć, że jak się tę krew zbada, to się okaże, że to...

– Znalazła się Ewelina Krzysztofik – przerwała mu. Niech to już wybrzmi.

– Co? Jak? Kiedy? – Wyraz twarzy gwałtownie mu się zmienił. Triumf przeszedł w zdumienie. Został brutalnie wybity z rytmu.

– Dziś się znalazła. Dowiedziałam się, kiedy zadzwoniłeś.

– Dlaczego dopiero teraz mówisz?

– Bo najpierw mówiłeś ty. O tym, co znalazłeś i co ma znaczenie dla śledztwa.

– No ma, bo jest żwir i krew. I wcześniej się okazało, znaczy ty się połapałaś, że oni kręcą z tym alibi, bo ona wróciła później i jego w sumie też nie było, więc wychodzi na to, że razem chyba Nęckiego załatwili.

– Ewelina Krzysztofik przyznała się do zaatakowania Roberta Nęckiego nożem. Teraz do zdumienia dołączyła bezradność.

– Przyznała się? Do zaatakowania? No a do zabicia, znaczy do kamienia czy czegoś innego, to się nie przyznała?

– Nie.

– Ale to się kompletnie już kupy nie trzyma. Ją też trzeba docisnąć. Przesłuchać. Gdzie ona w ogóle jest?

– To jest... – Zamyśliła się. Wszystko mu powie, musi, zresztą należy mu się, są partnerami, ale to za chwilę. Jeszcze za chwilę. Najpierw skończą to, co tu mają,

potem zadzwoni do Przyzwan, potem pójdzie do starego, a potem... Nie miała pojęcia, co będzie potem.

– Opowiem ci, jak skończymy z Szybukiem. W każdym razie żyje i nic jej nie jest.

– Ale...

– Remek – uciszyła go gestem dłoni. – Potem, dobra? Wszystko ci wyjaśnię, zrozumiesz.

Kiwnął głową, choć całym sobą pokazywał, że jest zawiedziony.

– Szybuk jest w mieszkaniu?

– Tak. Otworzył garaż i zapytał, czy może wrócić do domu, boby się chętnie położył. Myślisz, że zwiął? – nagle się przestraszył.

– Nie, myślę, że nie.

– A co tam się naprawdę stało, na tym zwirowisku? – zapytał. – Wiesz już?

Zawahała się. Rozbolała ją głowa. „Napięciowy ból”, zdiagnozowała ją kiedyś internistka w przychodni. „Ze stresu. Nie może się pani denerwować”. Wtedy się zirytowała, że to porada jakości NFZ-u, ale w sumie lekarka miała rację.

– Chyba wiem, co się nie stało. Chodźmy.

Zygmunt Szybuk wyglądał na zrelaksowanego. Szybko otworzył im drzwi, poruszał się całkiem zwawo.

– Krótka drzemka potrafi człowieka zregenerować – oznajmił, jakby byli umówieni na popołudniowe pogaduchy.

– Znał pan Roberta Nęckiego – powiedziała Wiera od razu, w tym ciasno-ciemnym przedpokoju.

– Proszę wejść. Do salonu – Trochę się zmitygował, ale fasonu nie tracił. – Z widzenia – powiedział, gdy weszli do dużego pokoju. – Herbaty może?

Oboje pokręcili głowami. Wiera pomyślała, że albo ona się myli, albo on jest wytrawnym graczem. Miała nadzieję, że prawdą, choć niespodziewaną, okaże się to drugie.

– A ostatni raz widział go pan na żwirowisku, gdzie potem znaleziono go martwego?

Zygmunt Szybuk właściwie nie zareagował. Powolnym ruchem dłoni strzepnął jakiś paproch z kremowego bieżnika położonego na stole. Westchnął.

– Cóż, nie ma sensu już dłużej ukrywać, że wiedziałem o słabości żony do tego mężczyzny – powiedział z pogodnym smutkiem. – Ale, jak już wspominałem, umiem się pogodzić z nieuchronnością losu. Zresztą kocham Moniczkę, chcę, żeby była szczęśliwa. Ale on... – Zamyślił się. – On nie był jej wart.

– Jakby był, toby od pana odeszła. Zresztą z nim też chciała. – Ból ścisnął jej głowę coraz mocniejszą obręczą.

– Chciała, nie chciała... – Szybuk się zadumał. – Słowa sobie, życie sobie. Myślę, że by tego nie zrobiła.

– Ale wolał pan się nie przekonywać, prawda? A z martwym trudniej odejść.

Staroń patrzył na nią. Nie wiedział, czy blefuje, czy mówi serio. Zresztą Jezierska sama tego nie wiedziała.

– Żona nie wróciła do domu od razu po pracy. I nie o wpół do pierwszej. Zjawiała się ponad godzinę później. I pana też nie było w domu. I to nie dlatego, że wyszedł pan na chwilę wyrzucić śmieci, ale dlatego, że odstawiał pan samochód do garażu.

Staroń mimowolnie pokiwał głową.

Zygmunt Szybuk milczał.

– Oboje byliście na żwirowisku.

Staroń znowu mimowolnie przytaknął.

– W tym samym miejscu, ale nie razem.

Zygmunt Szybuk lekko drgnął.

– Świetnie pan wyczyścił auto, ale do tych dywaników wszystko się przyczepia. Żwir też.

– No cóż, przyznam się. Do miłości się przyznam. – Zygmunt Szybuk powoli usiadł na krześle. – Tak, byłem tam. Śledziłem Monikę. Nie po to, żeby mu coś

zrobić, ale żeby ją przed nim chronić. Była zdenerwowana, widziałem kilka dni przed tym spotkaniem i domyślałem się powodu. A jak jest zdenerwowana, to potrafi być stanowcza. Bałem się, że gdyby doszło do rękoczynów... I doszło. Doszło. – Pokiwał głową.

Nie patrzył na Wierę, tylko przed siebie, na regał obficie zastawiony domową, lekko tandetną galanterią.

– Widziałem ich kłótnię, to, że rozmawiali gwałtownie, w emocjach. On coś powiedział, ona go odepchnęła, rękoma, o tak – wykonał ruch, jakby odbijał piłkę siatkową – a on się przewrócił. Ale wstał, potem wstał. To znaczy szybko wstał. Otrzepał się i już, a Moniczka go zostawiła, odeszła. Tak było.

– A pamięta pan początek tego spotkania? Co robili?

– Co robili? No, rozmawiali, tak jak powiedziałem.

– I nic więcej? Robert Nęcki nie... – zawahała się – ...nie rozbierał się przed pana żoną?

Szybuk się uśmiechnął. Wiera złapała zdumione spojrzenie Remka. Posterunkowy wciąż jeszcze nie wiedział, jaki będzie finał tej rozmowy. Wiera zaś była go już prawie pewna.

– Ja wiem, co pani ma na myśli, ale to nie było tak. To tylko takie pozory. On po prostu chciał jej coś pokazać. Ja to wiem, bo ja się schowałem kawałek dalej, w takiej zbitej kępie krzaków, i wtedy on akurat w moją stronę wykonał obrót. Rozpiął koszulę, żeby zobaczyła, że jest ranny.

– I zobaczyła?

– No, zobaczyła, ale widać nie uwierzyła, że to na poważnie.

– A było na poważnie?

– To pani sierżant nie wie? Oj, przecież była na pewno sekcja. – Zygmunt Szybuk uśmiechnął się filuternie. Widać było, że wraca mu pewność siebie.

– Była. Co jeszcze pan zobaczył na żwirowisku?

– Tam był jeszcze ktoś.

Wiera wiedziała, co zaraz usłyszy, ten fragment układanki znała.

– Ja się zjawiłem wcześniej. Najwcześniej z nich wszystkich. Czekalem. Najpierw przyjechał on, znaczy Nęcki. Zaraz potem zjawiła się jakaś młoda kobieta. Dziewczyna właściwie. Taka podobna do tej z komunikatu o zaginięciu, który wisi na parterze w komendzie, i jeszcze go widziałem niedaleko targowiska. Ona do niego podeszła. Szybko zaczęli się kłócić. Wpierw pomyślałem sobie, że on się z nią umówił na schadzkę, i nawet zrobiło mi się żal Moniczki, bo to takie upokarzające, a jednocześnie chyba bym wolał, bo wtedy może by do końca przejrzała na oczy... Ale nie, to było inaczej. On, znaczy Nęcki, pchał się do niej z łapami, swołocz jedna, bo ona tego nie chciała. W końcu zamachnęła się na niego. W pierwszej chwili myślałem, że go uderzyła, ale on się zgiął, a potem przyłożył palce do tego miejsca. I wtedy zrozumiałem, że ona miała w ręku nóż albo coś ostrego. Dziewczyna uciekła, a on wyciągnął coś z pederastki, chyba chusteczkę, a później poszedł w kierunku auta. Myślałem, że pojedzie do lekarza czy coś, ale on dość szybko wrócił. Okazało się, że po plaster poszedł, bo koszulę podniósł i coś tam jeszcze majdrował. I dopiero potem przyszła Moniczka. Dopiero potem, kiedy on już był ranny. I on jej tę ranę, zaklejoną, pokazywał. Pchnęła go, a on się podniósł. Stał, gdy ona odchodziła, jak państwo tu stoicie. Upadł na miękkie podłoże, bo w tym miejscu tylko trawa i ziemia. I dopiero później, na pewno od tej rany, on się przewrócił, teraz już sam. Podeszedł do tego głębokiego wyrobiska, nie wiem po co, może się po prostu zastanawiał, co dalej. A może myślał, że Moniczka wróci? Ale ona już nie wróciła, do domu jechała. Więc on zrobił kilka kroków i nagle jakby się zachwiał, jakby mu się w głowie zakołowało, i runął jak długi. Spadł do tego wielkiego dołu. Ja to wszystko widziałem. Tak było! – Szybuk uderzył się zaciśniętą dłonią w piersi.

– I nic pan nie zrobił? Nie zawiadomił policji, pogotowia? Skazał go pan na śmierć?

– Wyszedłem z tej swojej kryjówki i podeszedłem na skraj urwiska. Zobaczyłem, że on tam leży, bez życia. A na koszuli plama krwi, w miejscu tej rany. Zresztą to wysoko, tam na dole są kamienie. Ręce i nogi rozrzucone jak u szmacianej lalki. Nie żył.

– Nie zszedł pan na dół, żeby to sprawdzić? – zapytała Wiera.

– Nie. Jemu już nie można było pomóc. A ja się bałem pytań, oskarżeń i jeszcze by Moniczkę w to wplątano.

– A pan nie chciał, żeby żonę w to wplątano. Pan chciał, żeby jak najdalej odsunąć od niej podejrzenia... Ten anonim o Nęcim, przekierowujący naszą uwagę na bar i pokera, to też pan?

Po chwili wahania kiwnął głową.

– To wszystko z miłości. – Westchnął.

– Tak... – Uśmiechnęła się. – Z miłości... Wszystko w porządku, mówi pan prawdę, ale jedna rzecz się nie zgadza.

– Mianowicie? – Poruszył się.

– Nie mógł pan zobaczyć z tak daleka plamy krwi na jego koszuli.

Szybuk drgnął.

– Nie mogłem? Ale zobaczyłem. Tak było.

– Nie mógł pan i pan nie zobaczył.

– Ale on nie żył. Ten nóż, upadek, zresztą pisali o tym w gazecie. Że był nóż. Wszystko się zgadza.

– Zgadza się dużo. Ale nie zgadza się to, że pan patrzył na niego tylko z góry.

Poruszył się na krześle.

– Zszedł pan na dół.

Nic nie powiedział.

– Znaleźliśmy ślady.

Zygmunt Szybuk obrócił się w stronę Staronia.

– Włos. Na koszuli Nęckiego. – Posterunkowy zabrzmiał całkiem przekonująco. – Siwy i tej długości, co u pana. A w pana samochodzie ślady krwi. Zbadamy obie próbki i jesteśmy pewni, że potwierdzą nasze przypuszczenia.

– No dobrze... – Szybuk wstał i powoli podszedł do okna. Chwilę stał milcząco. Odwrócił się do nich. – Prawda, zszedłem na dół. To był impuls. Obszedłem wyrobisko, tam z drugiej strony jest łagodniejsze zejście, taką uklepaną

ziemią. Więc podszedłem do niego... czy ja wiem – po ulgę? Satisfakcję? Chciałem na niego takiego popatrzeć. Nieżywego. Taka chwila... – zawahał się – ...triumfu. Jego już nie było, ja byłem. Wróciły dawne czasy.

– No to mamy sprawę włosa wyjaśnioną. – Wiera przejęła pomysł Remka. – A krew?... Skąd krew?

– Cóż, trochę wstyd, ale... Sięgnąłem po kamień. On już nie żył, bo ten nóż i ten upadek, poleciał w dół i do końca się pogruchotał, a mnie to uderzenie kamieniem w głowę przyniosło ulgę. To jest brzydkie, wiem, ale niekaralne, prawda? Nie da się przecież zabić nieżywego.

– Nieżywego nie, ale on jeszcze wtedy żył. Aresztujemy pana pod zarzutem morderstwa Roberta Nęckiego.

W życiu nie widziała tak zdumionego spojrzenia.

ROZDZIAŁ 27

– No, no, no! – Maria Przyzwan kilka razy uderzyła dłonią o dłoń. To miały być gratulacje, szczere, więc Wiera zmusiła się do uśmiechu.

– Dość nieoczekiwany obrót sprawy, fakt. – Odchrząknęła.

– Patrz, tak się pomylić... Byłam mocno przekonana, że to Szybukowa. Od a do zet. Tymczasem ona zaczęła, a skończył on. Chciała się uwolnić od męża i prozę: powiedziała, ma. Kochanek nie żyje, ale to akurat żadna strata. A jej samotność może się przysłużyć. Jak wyjdzie. Ale i tak odzyska wolność wcześniej niż on.

– To nie do końca... – zaczęła Wiera.

Remigiusz Staroń jeszcze bardziej pochylił się nad klawiaturą. Wstukiwiał coś z takim oddaniem, jakby jego życie od tego zależało.

– To zupełnie nie tak. – Wiera wstała zza swojego biurka. Obeszła je i zatrzymała się przed prokuratorką. Maria Przyzwan wciąż siedziała na krześle. Nie podniosła się, ale zaczęła ruszać stopą w fuksjowej szpilce. Patrzyła pytająco na Wierę.

– Roberta Nęckiego zaatakowała Ewelina Krzysztofik. Pojechała przymusić go do opuszczenia ich mieszkania. Matką pomiałał, do niej się dobierał. Na tym zwirowisku także chciał. Wywiązała się szarpanina, ona, w obronie, wyciągnęła nóż. Dźgnęła go i uciekła. On poszedł po plaster. Przyszła Szybukowa. Też się pokłócili, ona go tylko popchnęła. Odjechała. Nęcki zbliżył się do wyrobiska. Może zakręciło mu się w głowie, może się potknął, w każdym razie spadł. I wtedy

do akcji wkroczył Szybuk. Przekonany, że tłucze nieżywego, zabił Roberta Nęckiego.

– Skąd wiesz o Krzysztofik? – Przyzwan była zdumiona.

– Tak zeznała. To znaczy w ten sposób opowiedziała o całej historii, bo zeznań jeszcze od niej przyjąłem, znaczy nie przyjęliśmy. Wciąż jest w zakonie sióstr oblatak.

– Ale skąd, do cholery? – zaczęła prokuratorka – W jaki sposób... – Urwała.

Wiera spojrzała na nią ze smutkiem, wstydem, ale i z uznaniem. Była bystra. Szybukowa ją zmyliła, ale to była jedna, mała pomyłka.

– W jaki sposób ty się w to wplątałaś? I twoja siostra? Bo to o nią chodzi?...

Podniosła się. Na tych szpilkach górowała teraz nad Jezierską.

– Tak, ale to zupełny przypadek. Ewelina Krzysztofik po prostu wybrała ten zakon na przeczekanie, ucieczkę. Tam poznała Ankę. Wszystko jej opowiedziała, kiedy zobaczyła artykuł o zatrzymaniu Szybukowej.

– Czyli kilka dni temu. Od kiedy o tym wiesz?

– Od kilku godzin.

– Gdzie one są? Ta dziewczyna w zakonie, a twoja siostra?

– U mnie w domu. Zamknięta na klucz.

Staroń ani razu nie spojrzał w ich stronę. Wiera czuła, że ma wilgotne dłonie.

– Wiesz, co masz teraz zrobić? – Przyzwan ani się nie wkurzyła, ani nie była smutna. Była profesjonalnie opanowana.

Wiera kiwnęła głową.

– Pójdę – powiedziała.

Tyle tylko, bo co tu było więcej mówić?...

– Wiera... – Usłyszała, gdy była już przy drzwiach. – Miałaś intuicję. Miałaś rację. Szkoda, że tak wyszło.

Szkoda.

– Dobrze, że ta sprawa wreszcie ma finał. Żeby to było takie zamotane, to daj spokój... – Zbigniew Król pokręcił głową i zaplótł dłonie na wydatnym brzuchu. –

A tu miłosierdzie było widać. No. W zakonie może to przeważać, choć nie mówię tego oczywiście jako stróż prawa, żeby była jasność. Na służbie trzeba przede wszystkim przestrzegać przepisów i regulaminu, bo gdzie byśmy wylądowali, gdyby tak nie było?... Na dywaniku u przełożonego, a ja już za stary jestem, żeby klęczeć, chyba że w kościele. Emerytura nie za długo... No. W każdym razie dobrze, że nie wybrałyście odwrotnie profesji, boby był galimatias. A ten Szybuk... taki w żonę wpatrzony...

– Zaburzony w tym wpatrzeniu. I jeszcze jest sprawa pieniędzy. Bo że on wziął telefon Nęckiego, to jestem pewna, ale facet miał jeszcze tę gotówkę od Krzysztofik, której nie oddał właścicielowi Gryza. Szybuk mógł mu ją zabrać, może żeby upozorować rabunek. Trzeba go docisnąć, to krwawica tej kobiety.

Komendant kiwnął głową. Wstał. Ona też się podniosła. Popatrzył na nią i westchnął. Po raz drugi w odstępstwie pół godziny czuła się taka mała.

– Odsuwam cię, to oczywiste. Remek dokończy sprawę.

Kiwnęła głową.

– Ten zakon w Zbuczynie, tak?

Znowu kiwnęła.

– Zaraz zorganizuję powrót tej dziewczyny. Czy odpowie z wolnej stopy, to się zobaczy. A twoja siostra aby jej nie poinformowała?

– Nie. Mam jej telefon. Czeka, aż wrócę.

– To wróć. Z Remkiem. Niech ją od razu przesłucha. Doradź jej, żeby wszystko i od razu zeznała. To dla jej dobra. A ty zostań dziś w domu. Dla twojego dobra.

Szli w milczeniu. Remek zaproponował, że może podjadą, ale poprosiła go, żeby wybrali spacer; to w końcu kilka minut od komendy, a Anka nie będzie robić żadnych kłopotów, tego była pewna.

Wiera pomyślała o białej kopercie ze swoim nazwiskiem; po raz pierwszy od dawna. Zepchnęła ją w niepamięć, a teraz to do niej wróciło. Komendant się mylił – Wiera też miała pokusę „miłosierdzia”. I jej uległa. Co więcej – może było tak, że i Wiera się myliła, oceniając siostrę. Może więcej je łączyło, niż dzieliło?

Nie chciała o tym myśleć, choć wiedziała, że ucieczka od tych myśli nie będzie łatwa.

– A, słuchaj, Wiera, matce trzeba powiedzieć, że córka się znalazła. – Posterunkowy nagle się zatrzymał. Stali na wysokości garaży.

– Trzeba. Poinformuj ją. Na razie oszczędnie, że żyje, to jej przede wszystkim powiedz.

– A ty nie chcesz? To w końcu dzięki tobie?... – Wyciągnął telefon w jej stronę.

– Nie. – Pokręciła głową. – To twoja sprawa.

– Ja... – zaczął.

Uciszyła go gestem dłoni.

Wybrał numer.

– Dzień dobry, Remigiusz Staroń z komendy. Dzwonię, żeby powiedzieć, że odnaleźliśmy pani córkę. Jest cała i zdrowa. Nie, nie w Giżycku. W pewnej odległości. Jest bezpieczna. Nie, niech pani nie przyjeżdża, my ją przywieziemy. Nie do domu, ponieważ... ponieważ musi być przesłuchana w sprawie napaści na Roberta Nęckiego. Nie, nie w sprawie morderstwa, tylko napaści. Więcej naprawdę nic, zadzwonię ponownie, kiedy... – Staroń przebijał się przez kolejne, chaotyczne wypowiedzi Joanny Krzysztofik. – Kto? Sierżant Jezierska. Czy jest?... – Spojrzał na Wierę.

Zamachała rękoma w geście zaprzeczenia.

– Jest. Na krótką chwilę, bo jest bardzo zajęta.

Z przepaszającą miną podał Wierze telefon. Wiedziała, że chciał dobrze. Oni wszyscy przecież chcieli dobrze.

– Jezierska, słucham.

– Ja... Boże, jak ja pani dziękuję. – Krzysztofik łamał się głosem. – Ja byłam ostatnim razem trochę... niemiła, ale niech pani zrozumie matkę.

– Rozumiem. Przepraszam, ale...

– Tak, wiem, tylko jeszcze jedno. Ja to muszę pani powiedzieć, bo może zabraknie mi odwagi. Bo to jakby przeze mnie. Pani to widziała, a ja się opierałam. A teraz Ewelinka wpadła w te okropności przeze mnie. Kiedy zobaczyłam, że on nie jest ideałem, zaczęłam go wybielać. Raz, drugi, szłam dalej. Było mi głupio przed sobą, przed córką, ale wciąż w to brnęłam. Nawet kiedy Ewelinka powiedziała, że on... że on ją... że ona nie chce z nim zostawać w domu, to ja też jeszcze... No i córka zaraz miała jechać na studia. Pragnienia potrafią oślepić. Bałam się, że Ewelina ma więcej odwagi niż ja, że ona go... i dlatego zniknęła. I że zrobiła to wszystko po to, żeby mnie chronić, a to przecież ja powinnam chronić ją – rozsłochała się.

Do tej pory jej historia była taka, jak historia Eweliny.

Już pierwsze spotkanie z matką, gdy w czwartkowe popołudnie zgłaszała zaginięcie córki, coś w niej uruchomiło; kamyczek wspomnień, które siłą woli, dzięki upływowi czasu, w geście samoobrony, jakoś udało jej się zepchnąć w najdalszy kraniec pamięci. Wraz z pojawieniem się Joanny Krzysztofik i zaginięciem Eweliny Krzysztofik lawina ruszyła.

To, czego nie chciała pamiętać, atakowało ją.

Znowu było jej tak cholernie żal siebie.

I może żal, że jej jednak w końcu zabrakło odwagi?... Może to nie dobro, tylko strach? Przed karą, przed tym, że nie potrafiłaby potem żyć?

Nie docisnęła poduszki.

Poszła pracować w policji.

Matka nie zdążyła jej już przed niczym ochronić.

Ewelina wciąż miała szansę na inne rozwiązanie.

– Nie mogę tego słuchać. To znaczy nie mogę teraz rozmawiać. Zresztą to już nie moja sprawa. Starszy posterunkowy Staroń będzie z panią w kontakcie. – Kliknęła na czerwony przycisk i oddała telefon Remkowi. – Idziemy? – Popatrzyła na niego.

– Tak.

Była mu wdzięczna za to krótkie „tak”.

– Rozumiem, że musisz tak postąpić.

Anka wyglądała tak, jakby przez tych kilka godzin przygotowywała się na ich przyjście. Była spokojna, nawet się lekko uśmiechnęła.

– Postaraj się zrozumieć, że ja też musiałam tak postąpić. – Odwróciła się jeszcze do niej w drzwiach.

Wiera weszła do kuchni. Usiadła przy stole. Nie było już na nim ani szklanki, ani filiżanki, obie stały umyte, na ociekaczu. Przy pustej butelce kefiru leżała karteczka. „Nie wiem, gdzie wyrzucasz plastiki. A”.

Wiera poderwała się z taboretu, złapała butelkę i siepnęła ją do kosza pod zlewem.

– Do śmieci wywalam! – krzyknęła.

Zjechała, plecami osuwając się po froncie szafki, na wykafelkowaną podłogę. Płakała. Spazmatycznie, urywanie, za te wszystkie lata. Miała mokre policzki, ciekło jej z nosa. Obtarła twarz wierzchem dłoni. Znowu otworzyła drzwiczki i wyciągnęła z niego tę butelkę. Postawiła ją obok.

„To już nie moja sprawa”, w głowie obijały się jej słowa, którymi zakończyła rozmowę z Joanną Krzysztofik.

„To zawsze będzie twoja sprawa”, pomyślała.